

Poznaj Świat

4

2011

Cena 9,95 zł (w tym 8% VAT)

UKAZUJE SIĘ OD 1948 ROKU

Felietony:
Rosiak, Mazurek
Badowski

str. 60

Rybicki, Mularski
AFGANISTAN

str. 42

Mirosław Osip-Pokrywka
FILIPINY

str. 50

Marcin Kołpanowicz
ETIOPIA

LICZY SIĘ SWOBODA str. 18 DUCHA

ISSN 0032-6143 INDEKS 369802



9 177003216141001 04

+

KOŁOSY ZA 2010 • ZAGUBIENI W CZASIE: POLACY W BRAZYLII • GIGANT W POTRZASKU



Hannah
OUTDOOR EQUIPMENT

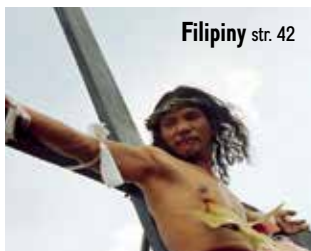
RIVER: przestronny stabilny namiot z materiałów o wysokiej jakości. Szeroki zakres użytkowania w każdych warunkach pogodowych. Trzy drążki, dwa wejścia do jednego przedsionka, jedna absyda.

seria: Comfort
ilość miejsc: 4
waga: 4 300 g
wymiar po spakowaniu: 21 x 45 cm
wodoodporność: tropik 3000 mm / podłoga 7000 mm

www.sklep.hannah.pl
www.hannah.pl



Berlin str. 18



Filipiny str. 42



Afganistan str. 60



Singapur str. 88



Grecja str. 74

Nasz świat **FotoForum Czytelników** str. 5**Siostry Świętej Doktryny** str. 14Jako pierwsi publikujemy najnowsze opowiadanie
Wojciecha Albińskiego**BERLIN** str. 18Berlin jest trudny dla turysty. Ma zbyt dużo do zaoferowania.
Ale prawdziwe oblicze miasta kryje się gdzieś po kątach...
Zajdźmy tam. **Tekst Elżbieta Stasiak**Tam, tam i inne kierunki **felieton Dariusza Rosiaka** str. 30

Geoskop str. 32

Navigator str. 37

FILIPINY str. 42Wielki Tydzień to czas szczególny dla mieszkańców Filipin.
Jest to jedyny kraj, w muzułmańskim tyglu Dalekiego Wschodu,
gdzie dominuje chrześcijaństwo.
Tekst Mirosław Osip-Pokrywka**ETIOPIA** str. 50Na niewielkiej wysepce na jeziorze Tana ortodoksyjni
kapłani chrześcijańscy przechowują przedmioty kultu
religijnego sprzed tysiąca lat. **Tekst Marcin Kołpanowicz**Mazurek na wynos **felieton Roberta Mazurka** str. 58**AFGANISTAN** str. 60Dolina na pograniczu Tadżykistanu, Chin i Pakistanu, wciśnięta
między góry Pamiru i Hindukuszu, tylko formalnie pozostaje
pod zwierzchnictwem władzy w Kabulu.
Tekst Jakub Rybicki, Krzysztof MularskiZ perspektywy **felieton Ryszarda Badowskiego** str. 72**GRECJA** str. 74Atrakcje wyspy Nisyros, która jest najmłodszym z głównych
wulkanów Morza Egejskiego. **Tekst Marian Lenz****KOŁOSY** str. 80

Spotkania Podróżników.

Poznaj Świat w delegacji str. 87

SINGAPUR str. 88Jedna z najbogatszych wysp Azji. Wyhodowana jak w donicy
przez Lee Kuan Yewa, kreatora Miasta Lwa. Wizyta w tym
sztuczno-globalnym świecie budzi skrajnie sprzeczne uczucia.
Tekst Józef BaranJak nas widzą **Spotkanie z przewodnikiem** str. 97**BRAZYLIA** str. 98Na południu Brazylii, żyją zagubieni w czasie potomkowie
polskich emigrantów. **Tekst Henryk Dumin**Świat jest kobietą **felieton Agnieszki Bartusiak** str. 106

Outdoor str. 108

ROZTOCZE str. 110Ciągnie się od Wisły i Sanu aż po sam Lwów.
Usypana z miękkich lessowych piachów, łatwo
ulegała naporowi czasu: pomarszczyły ją wąwozy
i pocięły meandry rzek. **Tekst Grzegorz Kapla**

Polska, której nie ma str. 121

NA OKŁADCE:
Dzisiejszy Berlin to
miasto młodości
i swobodnego
stylu życia.



BLIŻEJ ŚWIATA

Znowu to samo... Trzy dni pełne magii podróżowania, która co roku ściąga tłumy. Jak ćmy do płonącej świecy – tak i my lgnjemy do nich wszystkich – podróżników i zdobywców – po nowe opowieści, które tkwią w nas potem jak marzenie.

Dla większości – takimi pozostaną. Co roku jednak w sercach i głowach (nie tylko młodych) ludzi dojrzewa decyzja, by wyruszyć.

A więc – w świat, po przygodę, na nieznane lądy, na spotkanie odległych dziś jeszcze ludzi, którzy tak prędko stać się mogą naszymi przyjaciółmi. Za opowieści tych, którzy sami świata doświadczyli i go przeżyli. Za te oczarowania, inspirujące do czynu – Kolosom wieczna chwała.

Janusz Czerwiński

REDAKTOR NACZELNY



Paweł Chara

CHINY

Jak w Pieninach

Fotografia wykonana w 2009 roku, w prowincji Guangxi nad rzeką Li. Kilkanaście kilometrów od miasteczka Yangshuo tajemnicze formacje krasowe dają doskonałe tło do fotografii. Odpowiedni kąt obiektywu względem słońca oraz punktowe dopalenie lampą pozwalają na właściwe doświetlenie pierwszego planu. Duża głębia ostrości pozwoli wydobyc szczegóły, istotne dla wyrazu fotografii.

Fragment wystawy pt:
„W krainie Mao”







Mariusz Lewicki

STANY ZJEDNOCZONE

Fala

W pobliżu granicy stanów Arizony i Utah znajdują się kolorowe, faliste formy zbudowane z chropowatego piaskowca. Znane jako The Wave, są ulubionym obiektem fotografów. Według naukowców są to zbite w skałę wydmy, które poddane erozji przez wiatr, słońce i deszcz utworzyły w ciągu milionów lat zachwycające krajobrazy.

Powierzchnia piaskowca jest bardzo krucha. Chodzenie po tych skałach wymaga wielkiej ostrożności. Obszar, gdzie występują niezwykle skały objęty został ochroną jako rezerwat przyrody. Trudno tu dotrzeć. Nie wytyczono żadnych szlaków, nie ma drogowskazów. Można wystąpić o oficjalne zezwolenie władz rezerwatu, które wydają zaledwie 20 wejściówek dziennie. Kto próbuje dotrzeć tu na własną rękę, musi przejechać przez pustynię. Wśród jej bezdroży łatwo pobydź. Z tego powodu fantastyczne skały dla wielu podróżników wciąż pozostają mirażem.

Przyślij zdjęcie! Na nasz adres: redakcja@poznaj-swiat.pl przysyłajcie zdjęcia w formacie jpg. W tytule piszcie FOTOFORUM. Inny sposób na przesłanie zdjęcia to wypełnienie formularza na naszej stronie: www.poznaj-swiat.pl. Dzięki FOTOFORUM wszyscy zobaczą, jak wygląda nasz wspólny świat.



Katarzyna Rojek

CYPR

Kicia z kitą

Na cypryjskiej Plaży Gubernatora spotkałam uroczą modelkę. Niespiesznie przechadzała się po plaży, podziwiając piękno krajobrazu, a ja zachwyciałam się jej urodą i naturalną gracją.



Zenon Płachta

INDIE
Odpoczynek

Zmęczona grupka hinduskich kobiet, które udały się z wycieczką do Tadź-Mahal w Agrze, odpoczywa po wielu godzinach zwiedzania.



Prześlij zdjęcie! Na nasz adres: redakcja@poznaj-swiat.pl przysyłajcie zdjęcia w formacie jpg. W tytule piszcie FOTOFORUM. Inny sposób na przesłanie zdjęcia to wypełnienie formularza na naszej stronie: www.poznaj-swiat.pl. Dzięki FOTOFORUM wszyscy zobaczą, jak wygląda nasz wspólny świat.



Michał Kochańczyk

ZANZIBAR

A na plażach...

Mało kto wie, że ta niewielka wyspa u brzegów Tanzanii słynie z eksportu goździków, przypraw i wodorostów. Kobieta zbierająca morskoczyn to typowy widok na tutejszych plażach.



Kazimierz Jarosław Rzeniewicz

HISZPANIA

Światło i perspektywa

Wrześniowy, słoneczny poranek w Santiago de Compostella.
Kolumnada magistratu usytuowanego naprzeciwko katedry.
Krótco po porannym myciu posadzki.



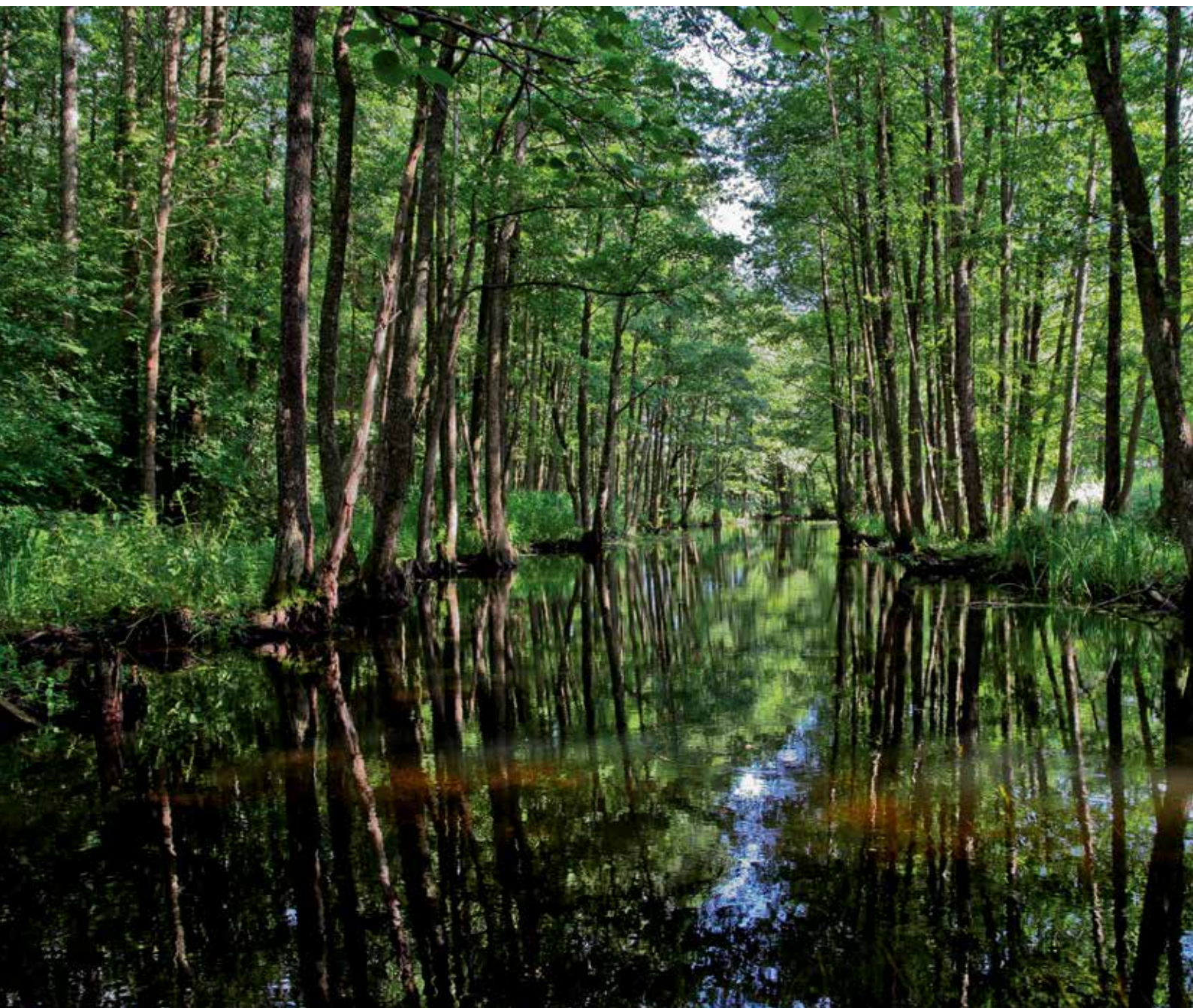


Mariusz Lewicki

POLSKA

Rzeką przez puszcę

Z Puszczy Boreckiej wypływa rzeka Ełk, zwana w górnym odcinku również łązną Strugą – raj dla kajakarzy spragnionych dziewiczych krajobrazów. W górnym biegu biegnie przez pagórkowate pojezierze, przecinając zwarte kompleksy leśne, w dolnym przez podmokłe łąki. Prawie na całej długości rzeki woda jest przezroczysta.



Zenon Płachta

BANGLADESZ

Mydło szczypie w oczy

Życie mieszkańców Dhaki toczy się na ulicy. Tu zamiast pokoju kąpielowego, wystarczą dwa garnki. Żółty kubek na wodę z powodzeniem zastąpi kabinę prysznicową.



Przyślij zdjęcie! Na nasz adres: redakcja@poznaj-swiat.pl przysyłajcie zdjęcia w formacie jpg. W tytule piszcie FOTOFORUM. Inny sposób na przesłanie zdjęcia to wypełnienie formularza na naszej stronie: www.poznaj-swiat.pl. Dzięki FOTOFORUM wszyscy zobaczą, jak wygląda nasz wspólny świat.





Wojciech Albiński

SIOSTRY ŚWIĘTEJ DOKTRYNY

Ten obyczaj noszenia sandałów powinny tu porzucić. Złe dla stóp. Z hotelowego tarasu obserwowałem cztery siostry zakonne maszerujące przez główny plac w mieście. Widziałem ich niewygodę i zaambarasowanie.

Niełatwo jest, będąc młodą dziewczyną, znaleźć się w zupełnie nowym otoczeniu, nie odpowiadać na uśmiechy i łakome spojrzenia mężczyzn w kolorowych koszulkach.

Usłyszałem, jak wymieniają między sobą kilka francuskich słów, przybyły więc z Belgii albo Francji.

Były bardzo białe, taką biel produkuje tylko północna Europa. Za tydzień lub dwa słońce zrobi swoje i religieuses nabiorą rumieńców. Nauczą się bronić swojej cery kremami, ochraniać stopy. Dwie z sióstr wyglądały na chłopskie córki, powinny wiedzieć co nieco o higienie. Deszcze spadają tu z wielką regularnością, w błocie rodzi się wszelkiego rodzaju złośliwe życie, czepia nóg, wpełza między palce.

Silny wentylator wydmuchiwał z apteki zapachy perfum, przeterminowanych leków. A także lakierów do upinania fryzur i wybielania skóry, środków do powiększania biustu i zmniejszania stóp. Zdarzało się, że jedno lekarstwo spełniało wiele zadań. Siostry zakupiły proszki do prania i brązowe mydło w kostkach. Obok sklepu z bielizną przeszły z kamiennymi twarzami.

Taras hotelu „Capitol” był jedynym miejscem, gdzie mogły chwilę odpocząć, toteż nie zdziwiłem się

słyszając za plecami przesuwanie metalowego stolika, a potem pytanie kelnera o imieniu Filomen:

– *Czy potrzebne panu te dwa fotele?*

Fotele były druciane, siedzenie i oparcie pokrywały cienkie plastikowe poduszki. Ciągnięte po kamienniej posadzce, wydały ostry skrzek.

Na podłużnym kredensie starszy kelner przygotowywał dzban z wodą zabarwioną sokiem. Dwaj chłopcy szykowali się, aby wrzucić do niego kilka kostek lodu, przetrzeć szklanki i powitać nowo przybyłych gości.

– *Czy mogę zapytać, do jakiej siostry należą Kongregacji?* – spytałem.

– *My mówimy Zgromadzenie* – poprawiła mnie najstarsza z czterech kobiet. Pozostałe nazywały ją Matka Luisa. – *Wywodzi się ze Zgromadzenia Świętej Doktryny.*

– *Domyślam się, że siostry uczą, przekazują... doktrynę?*

– *To jest nasze główne zadanie. Oprócz tego pomagamy miejscowym szpitalom.*

Na środku stołu pojawił się dzban z mętą wodą, na dnie leżały kostki lodu. Przeliczone, na każdą z zakonnice wypadały dwie. Bez zachęty Matki Luisy żadna z siostr nie wyciągnęła dłoni po szklankę

– *Chciałbym poczęstować siostry miejscowym sokiem* – zaryzykowałem, i nie czekając na pozwolenie, przywołałem kelnerów każąc im zabrać ze stołu dzban z mętym płynem. Zamiast tego dostarczyli zimne butelki z naklejką „Rajski sok”.

– *Wytwarzany na miejscu* – wyjaśniłem. – *Miejscowa siła robocza, co może być ważne... Owoce zbierają kobiety, gdyż mają delikatniejsze palce. Wślizgują wąskie dłonie pomiędzy gałązki kolczastych krzaków...*

Na twarzach młodszych zakonnice odbiło się rozczarowanie. W dzbanie było dużo więcej płynu, niż w wąskich butelkach. Chłodną kostkę lodu można długo trzymać w ustach. Jej schrupanie byłoby jedną z cudowniejszych chwil, na które warto było czekać. A ten gbur jest typowym kolonialistą, który brzydzi się Murzynem i pije wyłącznie napoje, na które tubylców nigdy nie byłoby stać!

Wiedział, że Matka Luisa rozumiała go, ale te trzy młodsze?

Twarzyczki czyste i otwarte na przygodę. Wyglądały, jakby jeszcze tydzień temu siedziały w ławkach prowincjonalnego uniwersytetu, na którym wykłada się nauki społeczne.

– *Proszę mi wybaczyć ciekawość...* – zaryzykowałem pytanie – *mamy tu niewiele szpitali... Gdzie siostry będą pracowały?*

Fort Amelia. Tam czekają na nas! – wyrwała się siostra, która nazywała się Christine.

– *Fort Amelia? Miejsce nie cieszy się dobrą sławą... Błaznane dachy bardzo się nagrzewają. Brak dobrych dróg. Wokół swampsy, malaria...*

Dodałem po chwili wahania: – *Powtarzają się wieści o trądzie. Nie wiem, czy sprawdzone.*

– *Dlatego tam jedziemy* – rzuciła siostra Christine.

– *Oczywiście, oczywiście. Wszyscy szukamy zadań trudnych. Zadania łatwe nas nie interesują.*

– *Właśnie.*

Czas uwolnić je od mojej obecności, pomyślałem. Przywołałem kelnera przybranego wstęgą. Dumnie prezentował wyhaftowane imię: Filomen.

Tknięty nową myślą, wróciłem do stolika czterech kobiet. Położyłem przed Matką Luisą kartkę ze swoim adresem i telefonem.

– *Gdyby z jakichś powodów siostry potrzebowały pomocy, proszę się ze mną kontaktować. Mam landrovera, który wszędzie dotrze. Dwa inne wozy też mogą się przydać.*

Widząc, że już na pewno odchodzę, zakonnice pozeźnały mnie zyczliwiej.



Przez dwa miesiące nic się nie stało. Żyliśmy w spokojnym kraju i jeśli nawet coś się wydarzyło, wiadomość o tym grzęzła w piasku, albo spływała do bagien wraz ze strugami deszczu. Przed świętami, kiedy robiło się naprawdę gorąco, dostarczono mi do biura pogniecioną kopertę. Na odwrocie koperty: „Matka Luisa, Fort Amelia”. Tekst był krótki: „Jeśli masz Boga w sercu, przyślij nam kota, lub dwa. Kota i kotkę”.

List był pisany w pośpiechu, na kopercie znać było palce posłańca. Patrzyłem na te litery ze zdumieniem. Słońce. Za dużo słońca. Uprowadzałem je, nie chciały wierzyć. Teraz chcą kota. Kota i kotkę. Chcą je głaskać? Namawiać do kopulacji? Wierzą, że obcowanie ze zwierzętami uspokaja nerwy? Szkoda, że nie widziałem posłańca, zapytałbym, co tam się dzieje. Siostrzyczki pożarły się między sobą, czy upał pada im na nerwy?

Tego samego popołudnia zepsuł mi się land-rover. Na ostatnim zakręcie przed domem pękł

przewód chłodnicy. Gruba, gumowa rura nie wytrzymała ciśnienia. Buchnęły kłęby pary, wyglądało, jakbym wyhamowywał wóz, który stanął w płomieniach.

Zbiegli się robotnicy, wycinający przydrożne krzaki i trawy. Pochylił się nad otwartą maską samochodu. W grubej kauczukowej rurze brakowało środkowej części. W otworze bulgotały wrzątek i para.

– Rura skruszała – stwierdzili.

– Pięknie buchnęło! Jak bomba! A może nawaliła pompa wodna?

Wśród przechodniów zdania były podzielone.

Reperacja systemu chłodzenia landrovera zajęła kilka dni. Mechanik kładł palec do rozerwanej tuby. Wyciągał stamtąd grubą warstwę brązowego osadu.

– Jak masło. Można tym smarować chleb.



– Co pan tu robi?

Usłyszałem znajomy głos, to była siostra Luisa. Chodniki przed hotelowym tarasem były jeszcze bardziej nagrzone, niż kiedy spotkałem zakonnice po raz pierwszy.

– Gdzie? Na tym placu? W tym kraju?

– Prawda – odpowiedziała siostra – Tu każdy wykonuje jakiś zawód.

Takie wrażenie można odnieść, jeśli się widzi tylko białych... Jeden jest urzędnikiem w banku, bywają księgowi, zdarzają się lekarze i hodowcy... Z wyjątkiem czarnych, oni tu po prostu mieszkają! Są. Bez zawodu, zadania, usprawiedliwienia. Są i tyle.

– Spaceruję. To mój sobotni spacer. Pora zakupów. Teraz zapraszam na drinka. Taras jest nad nami.



– Zostało nam tylko kilka groszy na benzynę... Wszystko poszło...

– Na żywność dla kota?

Nie był to stosowny dowcip. Z reakcji siostry Luisy, z nagłego ściemnienia jej twarzy, z zamknięcia siostry Christine, pojąłem, że bolesny.

– Tak – przyszyła odpowiedź.

– Siostra pytała, co robię w tym kraju... Mapy. Bardzo dokładne, duże. Plany dróg, pogody, plany katastralne, drukujemy je potem na gładkim papierze.

Podobnie jak przed kilkoma tygodniami, znaleźliśmy się na tarasie hotelu, chyba przy tym samym drucianym stole.

– Mapy, plany... Zdawałoby się, że to jest to samo... – zdziwiła się siostra Christina.

– A jednak mapy różnią się od planów...

– Niech pan nam tego nie wyjaśnia – wtrąciła Matka Luisa.

– To samo podać? Najpierw dzban wody z lodem, a potem soki? – zapytał z uśmiechem kelner. – A te inne dwie siostry? Przedtem było was cztery?

Kobiety spojrzały na niego ze zdumieniem. Cóż za pamięć! Ile przyjaźni! Jego intencje musiały być szczerze.

– Siostra Irene i siostra Clotilde opuściły nas... To znaczy zakon.

– Odeszły, nikomu nic nie mówiąc. Bez specjalnej dyspensy – wyjaśniła siostra Luisa. – Nie będziemy na nie teraz czekać.

– Oh!.. – zmartwił się Filomen. Takie imię miał na tabliczce przyklepionej do fartucha. Na głowie miał modnie wystrzyżony zarys włosów.

– To przykre... To bardzo smutne. Czy coś zabraly odchodząc? Coś zginęło?

– Nic – odpowiedziała siostra Christine. – Niczego nie brakuje.

Kelner Filomen rozpromienił się.

– Więc może wróć! Teraz podam soki i dzban. Jak zeszłym razem!

Oczekiwanie na powrót Filomena przerwała Matka Luisa.

– Gdyby pan przysłał wtedy tego kota, siostry Clotilde i Irene byłyby teraz z nami... Ludzie nie wiedzą, co się dzieje o tysiąc kilometrów od nich.

– Albo i nie chcą wiedzieć... – uzupełniła siostra Christine, patrząc na mnie kwaśno. – Po prostu ich to nie interesuje.

Brzmiało to jak gorzki wyrzut. Siostry nie ustępowały w udzielaniu mi bolesnej lekcji, na którą z pewnością zasłużyłem.

– Co się stało? Do czego był potrzebny wam kot? Czy siostry zrobiłyby z niego lekarstwo?

Rzuciłem do Filomena:

– Pośpiesz się! Nie chcemy wody z lodem!

– Do Fortu Amelia schodzą się trędowaci... Sflęwają z sąsiednich krajów. O tym nikt nie mówi, nie ma gazet, które by o tym pisały. Wieść rozeszła się, że przyjmujemy wszystkich, ludzie ściągają, idą czasami kilka dni. Matki przynoszą na plecach dzieci, sadowią się w korytarzach

i pod drzewami. Szpital, a więc to tak musi być. Dzieci ze zmartwiałymi palcami u stóp, z plamami na ciele. Ohydne białe plamy, ślady trądu.

– Koty nie leczą trądu.

Pojawił się Filomen z dużą mosiężną tacą. Stały na niej chłodne butelki i szklanki, przetarł je przewieszoną przez ramię serwetą.

– Palce dzieci trzymają się na strzępkach ścięgien, są zmartwiałe...

– Nerwy w nich obumarły – ciągnęła Matka Luisa. – Nocami podkradają się myszy, stada wygłodzonych gryzoni... Czujne, bezczelne. Wychodzą ze wszystkich nor. Czekaają...

– Na co czekają?

– Na odpowiednią chwilę... Kiedy na sali zapadnie cisza i robi się mrok. Palce u nóg niemowląt są ich żerem. Bezszelestnie i bez bólu ogryzają je aż do kości... Rankiem matki wpadają w rozpacz, podnoszą krzyk! Chcą, żebyśmy zobaczyły, cośmy narobiły! To nasza wina! Mamy sprawić, aby te palce im odrosły, obnażone kostki pokryły się znowu zdrowym ciałem...

Matka Luisa zamilkła na chwilę, piła podany napój.

– Czy lód, który tu podają jest robiony z gotowanej wody? – spytała.

Odpowiedziałem, że nie wiem, dwoma palcami wyjęła kostkę upuściła ją na kamienną posadzkę.

– Przychodzą do nas kobiety z dalekiej północy... – ciągnęła – W tych niedostępnych rejonach pamięta się

jeszcze o dziwnych obyczajach... Oskarżono nas, że obgryzłyśmy paluszki ich dzieci. Takie paluszki to podobno wielki przysmak. Krzyczały, że widziały nas w nocy na sali i przysięgały zemstę!

– I dlatego siostry Irene i Clotilde odeszły?

– Długo każdej nocy odpędzały gryzonia, więc oskarżenie musiało paść na nie. Nie odchodziły od łóżek dzieci, w końcu padały zmęczone. To musiało wzbudzić podejrzenia.

– Bały się, że zostaną otrute?

– Nic nagłego... żądźbło trawy, rozrute ziarno, kropla rosy zabarwiona krwią. Z każdym dniem starzałyby się słabsze i bielsze. Jedna z nich, ta mniej wytrzymała, straciłaby wzrok. Udzielano by im dobrych rad, nawet stróż radziłby odpoczynek. Ale ludzie wiedzieliby, że spotkała je kara. Ludzie zawsze wiedzą...

– A wy się nie boicie?

– Siostra Christine nie wchodzi na salę niemowląt. Jak dotąd nic jej nie grozi.

– A kto opiekuje się niemowlętami?

– Ja.

Matka Luisa pochodziła z chłopskiej rodziny. Była w niej niezwalczona twardość.

Uśmiechnięty Filomen zapewnił, że jest gotowy przyjąć dalsze zamówienia. Gdy będziemy gotowi, prosi, aby go zawołać. Dodał, że jego największym marzeniem jest ożenić się z siostrą zakonną. Mają wiele zalet, największa to ta, że szanują mężczyznę. Idealnie nadają się na żony.



O Autorze...

Wojciech Albiński (urodzony w 1935 roku w Warszawie) od najmłodszych lat pasjonował się literaturą. Podczas studiów geodezyjnych na Politechnice Warszawskiej był jednym z założycieli pisma „Współczesność” – wraz ze Stanisławem Grochowakiem, Ireneuszem Iredyńskim, Romanem Śliwnikiem – na jego łamach publikował swoje wiersze i opowiadania. Należał też do Koła Młodych przy Związku Literatów Polskich. W 1963 roku wyjechał za granicę, mieszkał

w Paryżu, a później w Genewie, współpracował z paryską „Kulturą”. W roku 1969 wyjechał do Afryki, przez wiele lat pracował jako geodeta w Botswanie i RPA.

W 2003 roku opublikował w Polsce tom opowiadań „Kalahari”, który otrzymał nagrodę im. Józefa Mackiewicza i został nominowany do nagrody Nike. Od tego czasu Albiński wydał: „Królestwo potrzebuje kata” (2004), „Antylopa szuka myśliwego” (2006), „Lidia z Kamerunu” (2007) i „Achtung! Banditen!” (2009).

NASTĘPNE OPOWIADANIE WOJCIECHA ALBIŃSKIEGO W NUMERZE MAJOWYM

METROPOLIE ŚWIATA | Berlin

LICZY SIĘ SWOBODA DUCHA

Tekst: **Elżbieta Stasik**



Berlin jest trudny dla turysty.
Jest za duży i ma zbyt dużo
do zaoferowania. Na wszystko
nikomu nie wystarczy czasu.
W zrozumieniu fenomenu miasta
może więc pomóc opuszczenie
utartych, turystycznych tras
i odwiedzenie mniej znanych
miejsc. Nawet, jeżeli jest to tylko
spacer po parku.





ZDJĘCIE: SHUTTERSTOCK

WIADOMO, BERLIN

To miejsce znają wszyscy. Starszemu pokoleniu Brama Brandenburska kojarzy się z rokiem 1945 i zwycięstwem nad faszyzmem. Młodym – niekoniecznie.

Pewnego lata postanowiłam rozgryźć pomniki w Tiergarten. To niełatwe. Ukryte są po kątach parku, często zarośnięte krzakami. Na wielu z nich odkryć można jeszcze ślady kul z II wojny światowej. Dopiero w ubiegłym roku miasto zdecydowało, że do 2020 roku pomniki zostaną skatalogowane i odrestaurowane. Tak spóźniona interwencja nie jest tu niczym nadzwyczajnym. Berlin ciągle odkrywa się od nowa.

TO, CO NAJWAŻNIEJSZE

Pomników jest 54, wśród nich – jak na stolicę Niemiec, a wcześniej – Prus, zadziwiająco mało pomników przywódców. Jest oczywiście Bismarck i pomniki wielkich duchem: Goethego, Lessinga, Fontane i Wagnera, ale przede wszystkim alegoryczne monumenty przypominające, że park był pierwotnie łowczym terenem elektorów pruskich. W tak zwanym pomniku kompozytorów uwiecznieni zostali Mozart, Haydn i Beethoven. Swoją pomnik ma ukochana przez lud pruska królowa Luiza. Już wybór osobisto-

ści, przed którymi chyliło i chyli czoło miasto, świadczy o tym, co naprawdę jest dla niego ważne. Myśl, kreatywność, wolność ducha. Nawet, jeżeli rdzenny, szorstki i proletariacki berlińczyk wydaje się być o setki kilometrów oddalony od tak wzniosłych wartości – wolność ducha jest dla niego najważniejsza.

Warto zobaczyć przynajmniej kilka z tych pomników. Ot, mały spacer po Tiergarten, przy okazji oglądania Bramy Brandenburskiej, pomnika Holocaustu, czy też przed zwiedzaniem Placu Poczdamskiego. Może też lepiej zrozumiemy Berlin, jeżeli uświadomimy sobie, że parku właściwie już nie było. Spośród 200 tys. drzew wojnę przetrwało zaledwie 700, a i te poszły na opał w czasie blokady Berlina. Ale jednocześnie, już podczas blokady, zaczęto sadzić nowe. Sadzonki przylatywały słynnym mostem powietrznym.

METROPOLIA MIASTECZEK

Berlin jest trudny do ogarnięcia, w gruncie rzeczy jest zlepką małych miasteczek, dlatego każda z dzielnic ma swój własny charakter.



W 2008 roku sześć modernistycznych kompleksów mieszkaniowych Berlina zostało wpisanych na listę światowego dziedzictwa kultury UNESCO. Wśród nich Miasto-ogród Falkenberg w Bohnsdorf, zespół mieszkaniowy Britz, Białe Miasto w dzielnicy Reinickendorf. Każdy z nich jest fantastycznym kawałkiem historii architektury, ale któremu turyście przyszedłoby do głowy wyprawa na bezpłatowy Reinickendorf, czy drobnomieszkański Britz? Czasem warto.

Spotkałam kiedyś studentów architektury z Polski, którzy opowiedzieli mi, że kilka godzin ze swojego krótkiego pobytu w mieście poświęcili na wyjazd do schroniska dla zwierząt, w położonej na skraju Berlina dzielnicy Falkenberg. Do schroniska pielgrzymują też fotografowie, kręcą tam filmowcy. Wszystko to ze względu na jego futurystyczną architekturę. Powtórzmy: Berlin jest nie do ogarnięcia. Prawdziwe oblicze miasta kryje się gdzieś po kątach, gdzie niełatwo trafić turystom.

DZIURY DO OGLĄDANIA

Czasem spędzam urlop w Berlinie, aby odkryć go od nowa. Nie bez powodu Berlin cieszy się mianem najsłynniejszej nieukończonyj stolicy na świecie. Jednych to irytuje, innych fascynuje. Kiedy trwała budowa dworca głównego, Hauptbahnhof, ludzie przyjeżdżali, żeby oglądać gigantyczny plac budowy. Podobnie było podczas narodzin Placu Poczdamskiego. Teraz „dzieje się” na nowym, gigantycznym placu budowy – Humboldthafen, tuż przy dworcu głównym. Koszty, jak zwykle, szybko przekroczyły pierwotne plany, ale budowa się rozpędza, kiedyś tam pojawi się kompleks mieszkaniowo-hotelowo-handlowy, troszkę



ZDJĘCIA: BE&W

ODKRYJ TE PERŁY

Zamek Charlottenburg (u góry) i Gendarmenmarkt (u dołu) – jeden z najpiękniejszych placów Europy. Warto je odnaleźć, aby docenić ich urodę.



ZDJĘCIA: BE&W



ZDJĘCIE: BE&W

GÓRĄ WSCHÓD

Najwyższa budowla dzisiejszych Niemiec, wieża telewizyjna o wysokości 368 metrów, pochodzi z czasów, gdy Berlin był stolicą tylko NRD.

na miarę Placu Poczdamskiego. Może się podobać, nie musi. Ale pierwsi turyści, ciekawi gigantycznych dziur w ziemi, już przyjeżdżają.

Tam, gdzie budowa jeszcze nie dotarła – królują bary i miejskie plaże z widokiem na urząd kanclerski. Też bardzo berlińska mieszanka i też kwestia gustu. Ale właśnie ta mieszanka, ten stan tymczasowości pociąga i tworzy ów mit tolerancji. Każdemu to, co lubi.

MIT CZY RZECZYWISTOŚĆ?

Mit czy nie – bez tolerancji Berlin nie byłby Berlinem. Wielki Elektor, Fryderyk Wilhelm ściągnął do Prus prześladowanych Hugenotów. Bardziej niż z litości – z pragmatycznych względów, do odbudowy państwa zrujnowanego po wojnie trzydziestoletniej. Największa ich grupa osiedliła się w Berlinie i musiało minąć kilka pokoleń, zanim miejscowi zaakceptowali Francuzów. Ale jak już – to na dobre. Trzy pokolenia po przybyciu pierwszych uchodźców – 70 procent hugenockich małżeństw stanowiły mieszane, francusko-niemieckie pary. Po Hugenotach został przepiękny Gendarmenmarkt, berlińska „Boulette” i nieznanie tu wcześniej szparagi. Dopiero francuscy uchodźcy wprowadzili do Berlina ogródki kawiarniane. Dziś szanująca się kawiarnia serwuje chętnym kawę na zewnątrz, nawet przy minusowych temperaturach – a do kawy gruby, ciepły pled. Filiżanka kawy czy gorącej czekolady u Fassbendera & Rauscha z pledem na kolanach i widokiem na Gendarmenmarkt – to jest to!

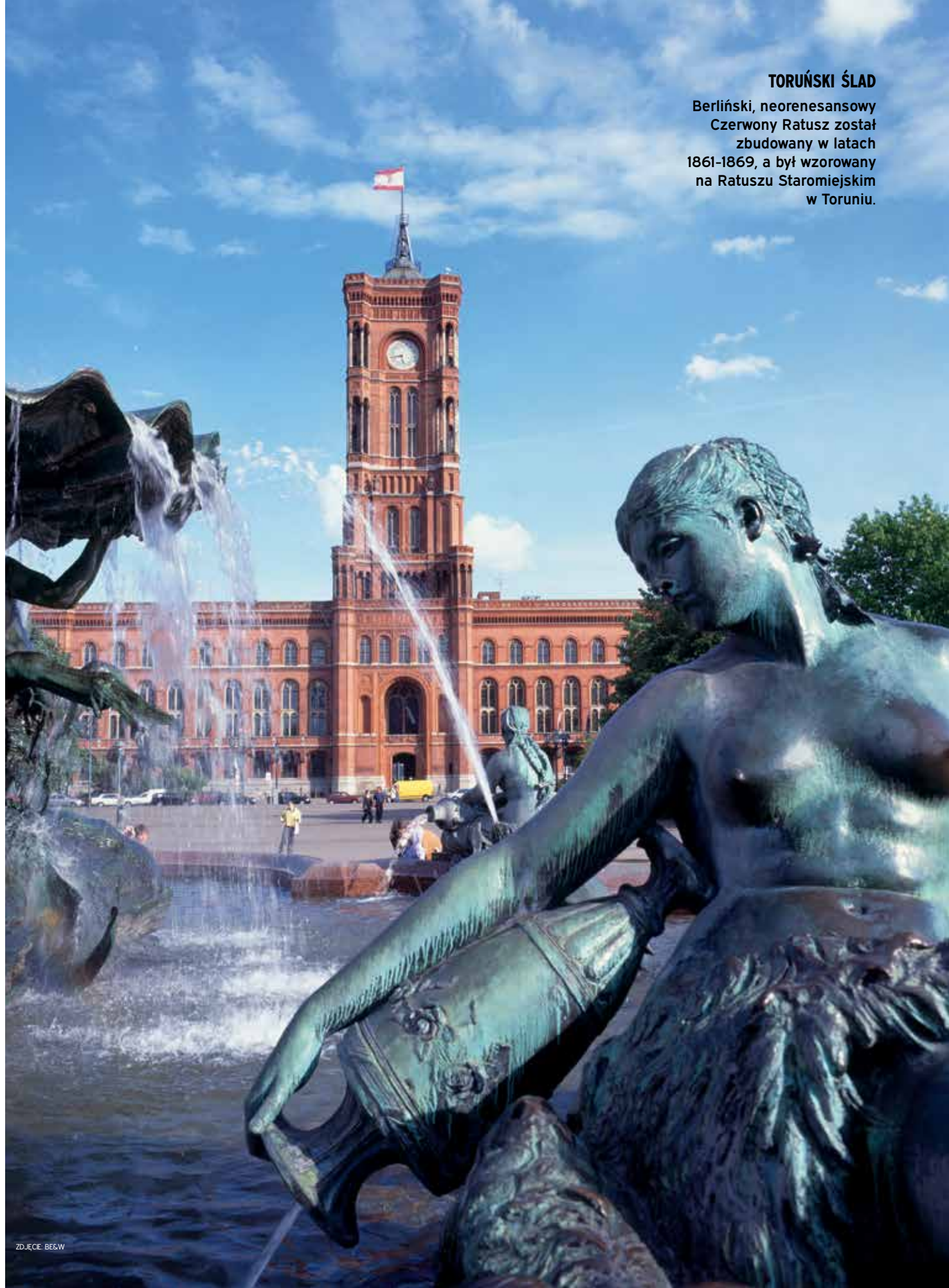
Trzy wieki po Hugenotach Niemcy ściągnęły Turków. Też ze względu na brak rąk do pracy. I też część nowo przybyłych osiedliła się w Berlinie. Dziś miasto byłoby ubogie bez tureckich straganów, rynków, kebabów. Za chlebem przyjeżdżali do Berlina i Polacy. I tak dalej, i tak dalej. Szacunkowo, co czwarty mieszkaniec Berlina jest imigrantem.

TURYSTYCZNA PUŁAPKA – PRENZLAUER BERG

Fenomen tak często przywoływanej wielokulturowości Berlina tworzą nie tylko cudzoziemcy. Po zjednoczeniu boom zaczęła przeżywać wschodnia część Berlina, zwłaszcza Prenzlauer Berg. Mieszkania były tanie, atmosfera luźna, dzielnicę szybko opanowali młodzi ludzie, głównie z zamożnego południa Niemiec: Badenii-Wirtembergii, Hesji

TORUŃSKI ŚLAD

Berliński, neorenesansowy
Czerwony Ratusz został
zbudowany w latach
1861-1869, a był wzorowany
na Ratuszu Staromiejskim
w Toruniu.



PARK TIERGARTEN

Po wojnie parku właściwie już nie było. Spośród 200 tys. drzew wojnę przetrwało zaledwie 700, a i te poszły na opał w czasie blokady Berlina. To, co widać, to młody park.



i Bawarii. Berlin był dla nich szokujący, egzotyczny, inny, niż jakiegokolwiek znane im niemieckie miasto.

Dzisiaj Prenzlauer Berg jest turystyczną pułapką. Nadal kwitnie, co prawda, nocne życie – ale młodzi gniewni obrośli w piórka, zmieszczanieli. Uciekli ci naprawdę kreatywni. Dziś – jeżeli ciekawe knajpki, koncerty, offowe sceny – to w dzielnicach Friedrichshain-Kreuzberg, Neukölln, powoli też np. w Schöneweide. Niepostrzeżenie sztuka wchodzi do hangarów dawnego lotniska Tempelhof. Zmiany następują szybko, szukając ciekawego, ekscytującego Berlina, trzeba trzymać rękę na pulsie. Drogę pokazują miejskie magazyny – Tip i Zitty, internet, propaganda ustna.

SZTUKA

Berliński luz, przestrzeń życiowa (czynsze są ciągle jeszcze dość przystępne), niezmiennie przyciągają ludzi sztuki. Młodym artystom miasto pozwala na eksperymenty, a renomowaną już sztukę – pielęgnuje. Nie bez powodu tylko galerii jest

w Berlinie kilkaset; szanujący się artysta powinien wykazać się przynajmniej kilkutygodniowym twórczym pobylem nad Szprewą. Wielu zostaje. Berlińczykiem z wyboru jest jeden z najciekawszych artystów współczesności Olafur Eliasson, został tu Artur Żmijewski, kurator przyszłorocznego Biennale Sztuki Współczesnej.

Chociażby z doskoku – warto zajrzeć do meki sztuki współczesnej – Hamburger Bahnhof, do Bunkra, zerknąć na okno wystawowe daadgalerie w okolicach Checkpoint Charlie. Obowiązkowo powinno się poświęcić trochę czasu na Martin-Gropius-Bau. Jeszcze nie widziałam tam nieciekawej wystawy. W tym roku, do końca maja, pokazywane są rysunki ze zbiorów nowojorskiego Museum of Moderne Art.

SKARBY ŚWIATOWEGO DZIEDZICTWA

Tak typowe dla Berlina ciągłe zmiany nie omijają też miejsc – wydawałoby się – już okrzepłych, jednoznacznie określonych. Dla turysty oznacza

to potrzebę ciągłego odkrywania miasta. Dopiero w lutym br. do Starego Muzeum (Altes Museum) wrócił ulokowany dotąd w Pergamonie zbiór greckiej sztuki antycznej. W ubiegłym roku wrócił, też rozparcelowany dotąd po różnych miejscach, zbiór sztuki etruskiej i egipskiej.

Jak i co zwiedzać? Trudno wybrać. Może, zamiast turystycznego zaliczania, lepiej pozwolić sobie na luksus spokojnego odwiedzenia np. Wyspy Muzeów? A przy okazji kolejnych wizyt – Forum Kultury (Kulturforum) i Berggruena? Tylko w Gemäldegalerie w Kulturforum czekają dzieła Rembrandta, Rubensa, Rafaela, Tycjana, Dürera, Caravaggio. W Muzeum Berggruena, przy zamku Charlottenburg, można oglądać wystawę „Picasso i jego czasy”.

SPACERKIEM

Kiedy na Placu Paryskim powstawały gmachy Deutsche Bank i nowej ambasady USA, architekci musieli uważać, aby budynki były wkomponowane w charakter miejsca. Nie mogły np. przewyższać Bramy Brandenburskiej. Frank Gehry, twórca gmachu Deutsche Bank, wybrnął z konserwatorskiego dylematu decydując się na

KRÓTKA CHWILA SŁAWY

Wschodnia część Berlina, zwłaszcza Prenzlauer Berg, przeżyła boom po zjednoczeniu. Jednak dzisiaj jest to turystyczna pułapka. Młodzi gniewni mieszczańscy. Najbardziej kreatywni – uciekli. W tym mieście zmiany są nieustanne.





NOWA ERA NA POTSDAMMER PLATZ

Plac Poczdamski od dawna kojarzy się z koleją. Od paru lat, wychodząc z podziemnej stacji metra lub dworca kolei regionalnej – wkracza się na awangardowo zabudowaną przestrzeń centrum handlowego.

skromną, piaskową fasadę. Skrzydła rozwinął dopiero we wnętrzu gmachu. O amerykańskiej ambasadzie tygodnik „Die Welt” napisał, że z gmachów przedstawicielstw dyplomatycznych brzydsza jest jeszcze tylko ambasada Chin. Słusznie. Poza konkurencją w rankingu brzydoty jest natomiast budynek byłej ambasady RP przy Unter den Linden 70-72. Ale o niej mówią jeszcze tylko czasami polskie media. Inni machnęli już ręką.

Mimo tej architektonicznej polskiej hańby, spacer po Unter den Linden jest zawsze miły. Najlepiej wczesnym rankiem, kiedy większość turystów jeszcze śpi. To właściwie jedyny moment,

żeby bez tłumów pogapić się na architekturę. A jest na co, zwłaszcza od wysokości Uniwersytetu Humboldtów w kierunku Alexanderplatz.

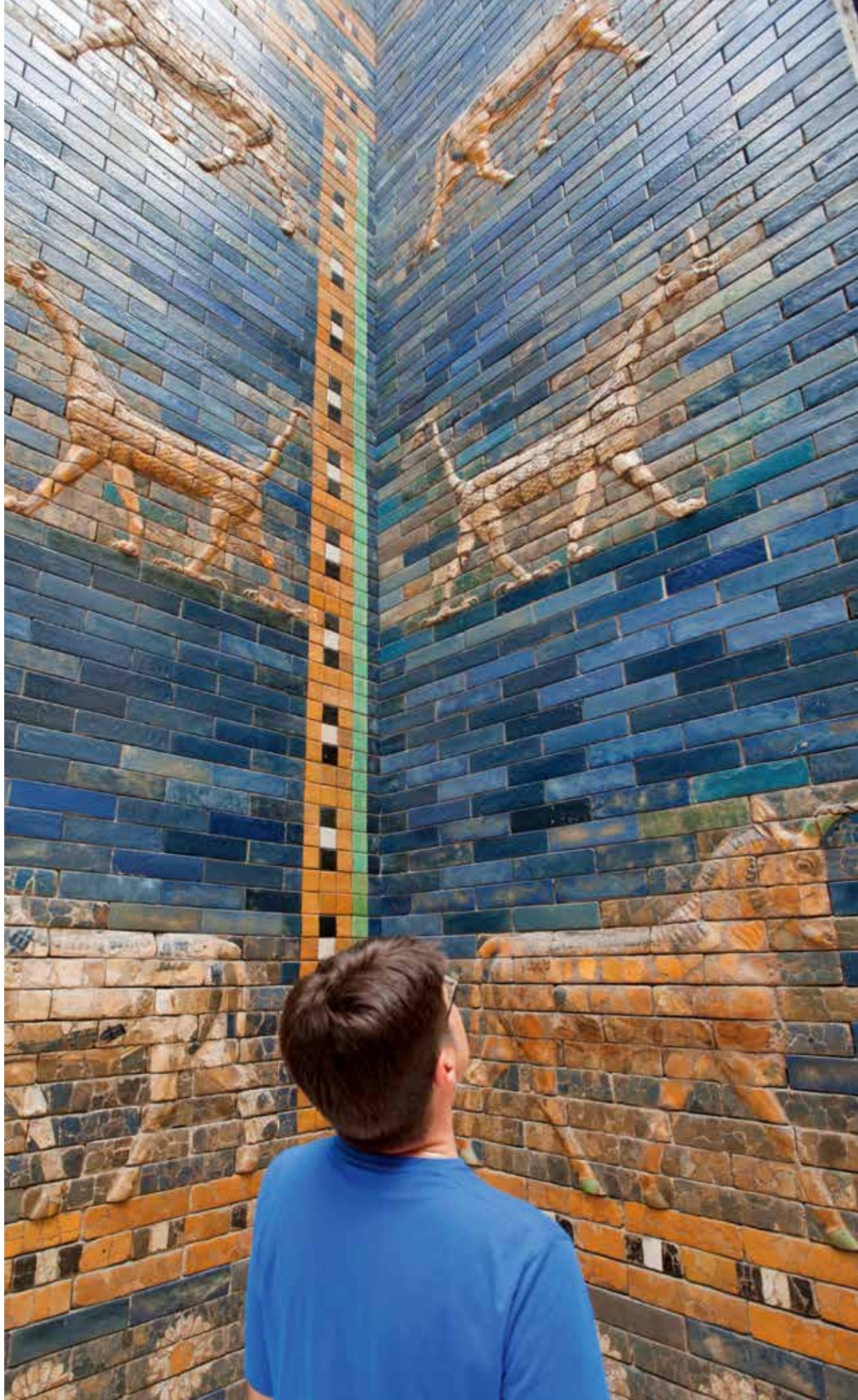
Moich gości w Berlinie prowadzę na Dorotheenstädtischer Friedhof z grobami Heinricha Manna, Bertolta Brechta i Anny Seghers, Heinera Müllera, Karla Friedricha Schinkela.

Już sam cmentarz, w samym centrum miasta jest urokliwy; przypomnienie postaci znaczących dla sztuki, dla literatury, które wybrały właśnie to, a nie inne miasto, wydaje mi się ważne dla zrozumienia jego ducha. W Berlinie, z jego skomplikowaną przeszłością, na pewno nie jest to łatwe. Spróbować jednak warto. ○

RUCH W MUZEACH

Ciągłe zmiany nie omijają muzeów. W lutym br. do Altes Museum wrócił, ulokowany dotąd w Pergamonie, zbiór greckiej sztuki antycznej. Wrócił też, rozparcelowany dotąd po różnych miejscach, zbiór sztuki etruskiej i egipskiej.

Autorka jest dziennikarką, współpracuje z Radiem Berlin-Brandenburgia, w którym mieszkańcom Niemiec stara się przybliżyć Polskę. Jest też korespondentką polskiej redakcji Deutsche Welle, w którym Polakom stara się przybliżyć Niemcy. W Berlinie mieszka od połowy lat 80.



Turystyka przygraniczna

Berlin – metropolia na każdą porę roku



Stolica Niemiec to jedno z najciekawszych miast w Europie. Prawdziwy tygiel najróżniejszych stylów życia, trendów i kultur. Ta tętniąca przez 24 godziny na dobę metropolia pełna jest kontrastów i sprzeczności, i jak magnes przyciągająca miliony turystów z całego świata. Warto więc wykorzystać pierwsze promienie słońca i udać się na wiosenną wycieczkę do Berlina. Pozwiedzać, zrobić zakupy, posiedzieć w cieniu kasztanowca w ulicznej kawiarence i wsłuchać się w rytm miasta. Zapraszamy do odkrywania słonecznej i przystrojonej wiosennymi kwiatami stolicy Niemiec.

SZTUKA I ARCHITEKTURA

Około 180 muzeów, galerii sztuki, wspaniałych wystaw i renomowanych domów aukcyjnych sprawia, że Berlin to Mekka dla miłośników sztuki. Tu krajobraz muzealny tętni pełnią życia – powstają nowe muzea, odnawiane są zabytkowe domy a dotychczasowe zbiory przenoszone są do nowoczesnych budynków. Latem w

ramach międzynarodowej współpracy kulturalnej po raz trzeci w Berlinie gościem będzie Nowy Jork. 25 sierpnia 2011 w Muzeum Bodego (Bodemuseum) na Wyspie Muzeów będzie można podziwiać wystawę „Oblicza renesansu”, która zaprezentuje 150 dzieł mistrzów włoskiego renesansu pochodzące z nowojorskiego Metropolitan Museum of Art, Berlińskiej Galerii Malarstwa (Berliner Gemäldegalerie) oraz innych wielkich muzeów świata – między innymi dzieła takich mistrzów, jak Botticelli, Pisanello i da Vinci. Równie inspirująca co sztuka jest architektura Berlina. Na historyczny obraz stolicy wpłynęli swoim pruskim klasycyzmem tacy słynni architekci jak Schinkel czy Knobelsdorff. Z kolei architekci naszych czasów jak Daniel Libeskind czy Renzo Piano stali się synonimem Berlina nowoczesnego, w doskonały sposób wkomponowując współczesne budynki w zabytkową architekturę miasta. Najlepszym przykładem architektonicznej symbiozy tego, co stare i nowe, jest Plac Poczdamski, Reichstag, Wyspa Muzeów czy Muzeum Żydowskie.

ODKRYWANIE BERLINA

Zwiedzanie można zaplanować autobusem turystycznym poruszającym się wzdłuż najważniejszych zabytków miasta. Większość przewoźników oferuje dwugodzinną wycieczkę objazdową non-stop. Istnieje jednak możliwość wykupienia całodziennego biletu pozwalającego na wsiadanie i wysiadanie na 16 stacjach, co umożliwi zaplanowanie indywidualnego programu zwiedzania we własnym tempie. Warto zapytać, czy w autobusie jest przewodnik audioguide w języku polskim: www.sightseeing.de Dodatkowo można skorzystać z doskonale rozbudowanej sieci metra, kolejek podmiejskich S-Bahn lub autobusów numer 100 i 200 kursujących na trasie od ogrodu zoologicznego do Alexanderplatz. Mimo, że Berlin ma ponad 3 mln mieszkańców, sieć doskonale rozbudowanych i oznakowanych ścieżek rowerowych pozwala na łatwe i szybkie przemieszczanie się po mieście. Rower można wypożyczyć na kilka godzin lub na cały dzień. Warto zapytać o gotowe programy zwiedzania z przewodnikiem: www.berlinonbike.de

Nie każdy wie, że Berlin ma więcej mostów niż Wenecja. Dzięki licznym kanałom i rozległej sieci dróg wodnych do romantycznych zakątków Berlina można dotrzeć na statku wycieczkowym: www.sternundkreis.de.

PROPOZYCJE DLA RODZIN

Dzieci to prawdziwi odkrywcy, wspaniali tancerze i artyści. Berlin stoi dla nich otworem i proponuje wiele możliwości poszukiwania przygód. Wycieczka do stolicy Niemiec to wspaniałe chwile dziecięcego szaleństwa dla całej rodziny, bo Berlin to prawdziwy plac zabaw! Przygoda rozpoczyna się na stacji kolejki miejskiej S-Bahn, Wuhlheide. Tu startuje ciuchcia, która jedzie do dziecięcego rajy nr 1 – centrum rozrywki i wypoczynku Wuhlheide, zwane krótko FEZ. Tam na dzieci czekają tematyczne place zabaw, zjeżdżalnie, krater i ściany wspinaczkowe. Na 100.000 (!) m² znajduje się też muzeum dla dzieci, teatr Astrid-Lindgren, dwie sale koncertowe, namiot cyrkowy, basen oraz jezioro, w którym można się kąpać. Od 5 lat istnieje w Berlinie miniaturowy świat LOXX Miniatur Welten, który na powierzchni 800 m² zaskakuje wspaniałymi modelami i technicznymi nowinkami. Do utworzenia tego miniaturowego świata przedstawiającego miasto w najdrobniejszych detalach wraz z instalacjami świetlnymi i muzycznymi potrzeba było około 400.000 godzin. Dziś miejsce to cieszy się ogromną popularnością a odwiedza je około 850.000 gości rocznie. Krokodyle, ogromne żółwie i pluskające się słonie – wśród nich płynące na łódkach dzieci – mokre od stóp do głów, ale szczęśliwe jak nigdy dotąd. Zjeżdżalnie, huśtawki, kolejka linowa, mini ścianka wspinaczkowa i domek na drzewie. Tu na 4.000 m²

zabawa nie zna granic. Polecamy też wiele innych, ciekawych i przyjaznych rodzinie miejsc, jak berlińskie zoo, Muzeum Gier Komputerowych czy Legoland Discovery Centre, gdzie nie tylko dzieci, ale także rodzice doskonale będą się bawić, a spędzone wspólnie chwile zapamiętają na zawsze.

ZAKUPY

Od eleganckich butików z najmodniejszymi wzorami przez pełne uroku pchle targi aż do bezcennych antykwariatów – tu można kupić każdy towar. Robiąc zakupy w Berlinie warto pamiętać, że w tym roku Kurfürstendamm – ulubiony pasaż handlowy miasta – kończy 125 lat. Uroczyste obchody tej rocznicy rozpoczną się 5 maja wystawą plenerową. Z okazji jubileuszu na bulwarze odbywać się będą liczne pokazy mody, koncerty muzyczne i prezentacje sztuki kulinarnej: www.berlin-city-west.de

NOCNE ŻYCIE BERLINA

Podczas kiedy w ciągu dnia można odprężyć się w jednym z barów nad Szprewą, w nocy do zabawy zachęcają kluby, dyskoteki i lokale sceniczne. Berlin to miasto, które nigdy nie śpi. Niezliczona ilość klubów oferujących zabawę do białego rana sprawia, że każdy odnajdzie odpowiedni dla siebie styl i muzykę: lata 80, hip-hop, jazz, soul, techno czy dance classics zachęcają do skorzystania z nocnego odkrywania Berlina. Warto zajrzeć do takich klubów, jak Ankerklause, Berghain, Puro, water-gate, Week End czy 40 Seconds, ale także do znanych barów jak Astro Bar, Le Bar du Paris Bar, Newton Bar, Tausend, Würgeengel czy wielu lokali rozsiansych wokół Hackesche Höfe.



WELCOME CARD

Karnet turystyczny Berlin WelcomeCard 2011 to doskonały bilet na wiele atrakcji oferowanych przez niemiecką stolicę, a zarazem najpopularniejszy produkt visit-Berlin. Dzięki temu praktycznemu karnetowi goście mogą łatwo i niedrogo poznawać niemiecką stolicę. Załączony bilet na lokalne środki komunikacji publicznej jest dostępny w wariantach: 48-godzinny, 72-godzinny lub 5-dniowy oraz dla Berlina (strefa taryfowa AB) lub dla Berlina, Poczdamu i okolic (strefa taryfowa ABC).

Autor: Agata Płońska
www.germany.travel



Supported by:



Federal Ministry
of Economics
and Technology

on the basis of a decision
by the German Bundestag



Kto jest największą ofiarą rewolucji w Tunezji, Egipcie i Libii? Jak to kto?! Polscy turyści, którym Arabowie popsuli wakacje, brytyjskie koncerty naftowe pozbawione kontraktów i francuscy politycy, którzy nie będą mogli jeść kuskusu w towarzystwie dyktatorów.

AFRYKANIE SĄ DOROŚLI

Taka interpretacja wydarzeń ostatnich tygodni dominowała w wielu polskich mediach. Aż strach człowieka bierze, gdy pomyśli, że Afryka kiedyś może okazać się kontynentem żyjącym na własny rachunek. Może jednak tytułem eksperymentu spróbujemy to sobie wyobrazić. Oto trzy lekcje dla podróżników – i nie tylko – płynące z wydarzeń w północnej Afryce.

1.

AFRYKA NIE JEST SKANSEM PODRÓŻNICZYM; TAM ŻYJĄ NORMALNI LUDZIE

Proszę mnie dobrze zrozumieć: pokażna część budżetu Egiptu, czy Tunezji zależy od turystyki i dobrze będzie jeśli zagraniczni turyści wrócą do tych krajów. Jednak dla nas bardzo często Afryka jest wyłącznie podróżniczą „destynacją”, miejscem wakacji w słońcu, albo realizacji coraz bardziej idiotycznych „projektów”.

Pokonujemy Czarny Łąd rowerem, na piechotę, łodzią, motorem, albo na jednej nodze. Wymyślamy podróżnicze cuda na kiju, aby tylko zaspokoić własną próżność i zabić nudę codzienności. Gdy nasza wyobraźnia nie sięga zbyt daleko, to zatrzymujemy się w Szarm el Szejk, rozdajemy kelnerom kilkudolarowe napiwki i czujemy się panami świata. Jeśli mamy dużo wolnego czasu i pomysł, jedziemy dalej: czasem zatrzymujemy się, żeby wręczyć „tubylcom” firmowe długopisy, albo cukierki. Małe Murzynki rysują obrazki i jedzą słodycze, a nam wzruszenie ścisła gardło.

Ostatnie trzy miesiące zachęcają aby potraktować Afrykanów jak dorosłych ludzi, a ich aspiracje do życia w wolności – poważnie. Na początek warto np. dowiedzieć się przed podróżą kto też rządzi w kraju, do którego jedziemy i zastanowić się czy aby porządzi dość długo gdyż...



2.

NIC NIE TRWA WIECZNIE, ZWŁASZCZA DYKTATURY

Doświadczeni podróżnicy wiedzą, że najłatwiej podróżuje się po dyktaturach i reżimach autorytarnych. W RPA – jedynym w pełni demokratycznym kraju Afryki – wielu turystów podróżuje w strzeżonych autokarach między safari a hotelem, a zapuszczanie się w nieznanne miasta w nocy może się wiązać z poważnymi kłopotami. Natomiast do niedawna np. w Egipcie czy Rwandzie przestępczość pospolita właściwie nie istniała, gdyż policja trzymała wszystkich potencjalnych przestępców za twarz, a dla władz turysta jest ważniejszy niż własny obywatel. W Rwandzie wizerunek państwa przyjaznego turystom jest tak drogi rządzącym, że miejscowy może wyładować na długie lata w więzieniu za żebranie, albo chodzenie na bosaka po Kigali. Władze, skądinąd słusznie, wychodzą z założenia, że bogaci Amerykanie i Europejczycy, którzy płacą po tysiąc dolarów, by zobaczyć na własne oczy goryla w Parku Wulkanów – nie chcą być nagabywani przez biedaków na ulicach. W sprawnych afrykańskich czy azjatyckich dyktaturach w ogóle wszystko działa lepiej: autobusy przyjeżdżają na czas, ulice są czyste, a prostytutki tanie. Turysta w takich miejscach jest najważniejszy, pod warunkiem oczywiście, że gra według ustalonych dla niego reguł, a nie próbuje chodzić własnymi drogami. Niedawna historia polskich turystów zatrzymanych w Zimbabwie za fotografowanie Roberta Mugabego pokazuje dokładnie, co w dyktaturach bywa akceptowane, a co nie. Wodospady i lwy – owszem. Twarz dyktatora – nie.

Na przykładach Tunezji, Libii, a zwłaszcza Egiptu widzimy natomiast, że cierpliwość ludzka ma granice, a potęgą dyktatu-

ry jest zwykle przeceniana. W Mali ktoś pokazał mi kałużę wypełnioną błotnistą mazią i spytał czy byłbym w stanie wypić taką wodę. Oburzyłem się oczywiście, zaklinając, że nigdy w życiu. To nieprawda, człowiek wypije każdą wodę, nawet najbrudniejszą, pod warunkiem, że będzie wystarczająco spragniony. Tak samo jest z wolnością: zdobywają ją ci, którzy nie mają już nic do stracenia. Właśnie w takiej sytuacji znaleźli się Egipcjanie, Tunezyjczycy czy Libijczycy. Wcześniej czy później inne afrykańskie narody też będą chciały zaczerpnąć wolności. Nie powinniśmy się tego bać, nawet jeśli...

3. REWOLUCJE ZWYKLE KOŃCZĄ SIĘ RZĄDAMI TERRORU. JEDNAK TE, KTÓRE ROZGRYWAJĄ SIĘ W AFRYCE PÓŁNOCNEJ WCALE NIE MUSZĄ TAK SIĘ SKOŃCZYĆ

Wszyscy boimy się powtórki z rewolucji islamskiej w Iranie w 1979 roku, która zamiast wolności przyniosła jednemu z najwspanialszych narodów w historii trzy dekady rządów ajatollahów. Ten strach jest uzasadniony, zwłaszcza w odniesieniu do Egiptu, ale nie wolno nam traktować potencjalnych rządów islamistów jako straszaka przeciwko ludziom, którzy wyszli na ulice. Jedną z najbardziej uderzających wspólnych cech trzech arabskich rewolucji jest podobna reakcja dyktatorów. Każdy z nich, nawet Kaddafi, straszył Zachód, że po nim przyjdzie ktoś gorszy, więc wszyscy mamy wspólny interes by wspierać bandytę, ale za to bandytę przewidywalnego.

Taka reakcja to przejaw strachu przed siłą zwykłych ludzi i braku przekonania, że potrafią oni sami kontrolować swój los. W istocie wierzymy, że np. Egipcjanie są na tyle głupi, by po 30 latach rządów jednego świeckiego despoty, z własnej woli oddać się pod dyktando religijną jeszcze bardziej okrutnych islamistów.

Proszę mi wierzyć, nie jestem naiwnym wyznawcą „ludowej sprawiedliwości”, która zawsze triumfuje. Jednak podejrzewam, że gdy niektórzy eksperci, albo politycy na Zachodzie bronią dziś starego porządku, to nie chodzi o dobro Arabów, ale o potrzebę kontrolowania tego regionu. Niektórym z nas naprawdę wydaje się, że naturalnym stanem dla Afrykanów jest życie w dyktaturze, a naturalnym sposobem współpracy Zachodu z Afryką jest obłaskawianie dyktatorów przy pomocy pieniędzy i oczekiwanie, że w zamian będą realizować nasze interesy. Dla uspokojenia wyrzutów sumienia protestujemy, gdy wymordują zbyt wielu przeciwników politycznych.

Na początku 2011 roku taka wizja Afryki odchodzi w przeszłość. Ten kontynent nie należy do Europy, ani Ameryki, tylko do ludzi, którzy na nim mieszkają. I to jest najważniejsza lekcja z wydarzeń, które rozgrywają się w krajach Afryki Północnej. ○

JEDYNY SŁUSZNY KURS PRENUMERATA!

Poznaj Świat

ZAMÓWIENIA PRZYJMUJEMY CAŁY ROK:

mailem: prenumerata@poznaj-swiat.pl

na stronie: www.poznaj-swiat.pl

telefonicznie: 535 444 980



CENA PROMOCYJNA

99 zł

12 NUMERÓW W CENIE 10

SESJA Z WIELORYBEM



Andoy to najdalej wysunięta na północ wyspa archipelagu Vester-
-len. Na jej północnym cyplu przycupnęło miasteczko Andenes – niegdyś osada wielorybnicza, dziś najbardziej popularne w Norwegii miejsce, które zaprasza na fotograficzne sesje z wielorybem w roli głównej. Niespełna trzydzieści kilometrów od Andenes, gdzie morskie dno przecina głęboka rynn, nazywana Bleik Canyon, znajduje się żerowisko wielorybów, które „pasą się” tu od czerwca do sierpnia. Najczęściej można spotkać kaszaloty,

szukające w głębinach ulubionych kałamarnic olbrzymich. Czasami uda się wypatrzeć, płetwale karłowate, te – żywiąc się planktonem, nie nurkują głęboko, podobnie jak humbaki, które rzadko, ale jednak, przyplływają na tejsze wody.

Spotkanie z wielorybem jest tu niemal pewne – twierdzą organizatorzy morskich foto-safari.

Dwa razy dziennie organizowane są sześciogodzinne rejsy, poprzedzone wizytą w Centrum Edukacji i Badań nad Wielorybami, które stworzyła grupa miejscowych zapaleńców wykorzystując po-

zostałości dawnej bazy wielorybniczej. Morska wyprawa trwa sześć godzin. Statek, wyposażony w urządzenia echolokacyjne wie, gdzie szukać olbrzymów. Jeśli mimo to nie zobaczymy wieloryba, w ramach biletu (830 norweskich koron) można po raz drugi wyruszyć w rejs, licząc na większe szczęście.

Andenes jest atrakcyjne dla turystów nie tylko latem. Od września można tu obserwować zorze polarne. Północne krańce archipelagu Vesteralen to region, gdzie najczęściej w Norwegii występuje to zjawisko.

www.whalesafarii.no



Mapuche w Warszawie

Do czerwca będzie można oglądać w warszawskim Muzeum Etnograficznym wystawę pt. „Mapuche: Ziarno Chile”. To pierwsza taka prezentacja w Europie. Mapuche – lud zamieszkujący południowo-centralną część Chile – najdłużej przeciwstawiali się hiszpańskim najeźdźcom. Wśród kilkuset eksponatów wyróżnia się słynna w świecie artystyczna biżuteria. Uzupełnieniem wystawy są nieznanne w Polsce dokumenty związane z Ignacym Domeyką i jego działalnością w Chile.

Zła sława

Barcelona uważana jest za stolicę... kieszonkowców. Miasto odwiedza przez cały rok miliony turystów. Na internetowych forach turystycznych doliczono się dwadzieścia milionów ostrzeżeń przed kradzieżami. W sezonie policja notuje dziennie około 700 zgłoszeń drobnych kradzieży. Najbardziej niebezpieczne jest barcelońskie metro, ale i inne odwiedzane przez turystów miejsca przyciągają kieszonkowców. Złodzieje, nawet złapani na gorącym uczynku, są zwykle wypuszczani. W Hiszpanii – kara pozbawienia wolności nie obejmuje kradzieży mniejszych niż 400 euro.

Rekord z włosów

Do tureckiego miasta Avos turyści przyjeżdżają, by odwiedzić Muzeum Włosów. To gromadzona od 1979 roku kolekcja mieszkańca miasta – Galipa Körükü. Muzeum mieści się w jaskini. Zbiory liczą ponad szesnaście tysięcy niecodziennych eksponatów – co zostało odnotowane w Księdze Rekordów Guinnessa.

Górskie, ekstremalne

Saalfelden Leogang to największy i najlepiej znany europejski Bike Park. Miejsce dla rowerowych ekstremalistów. Można tu uprawiać różne rodzaje wyczynowego kolarstwa: maratony i cross-country, downhill i free-ride. Od niedawna także slopestyle. To nowa i niezwykle widowiskowa odmiana kolarstwa górskiego. Dla potrzeb uprawiających ją bikerów budowane są wielkie przeszkody – po których i nad którymi mogą oni skakać na swych maszynach.

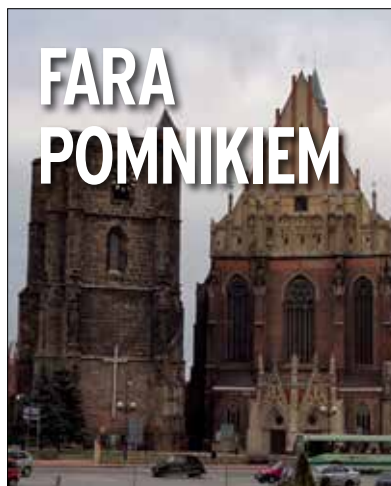
Rowerzyści – wyczynowcy niezwykle sobie cenią dobre oznakowanie tras i szlaków – o bardzo zróżnicowanym poziomie trudności. I sieć wyciągów, która pozwala szybko przemieszczać się na wybrane trasy.



Leogang został otwarty w 2001 roku. Kolejne organizowane tu imprezy przyciągają coraz to lepszych światowych riderów. Czołówka zjeździe tutaj między 27 sierpnia a 9 września 2012 roku na mistrzostwa świata: UCI Mountain Bike & Trials World Championships 2012.



FARA POMNIKIEM

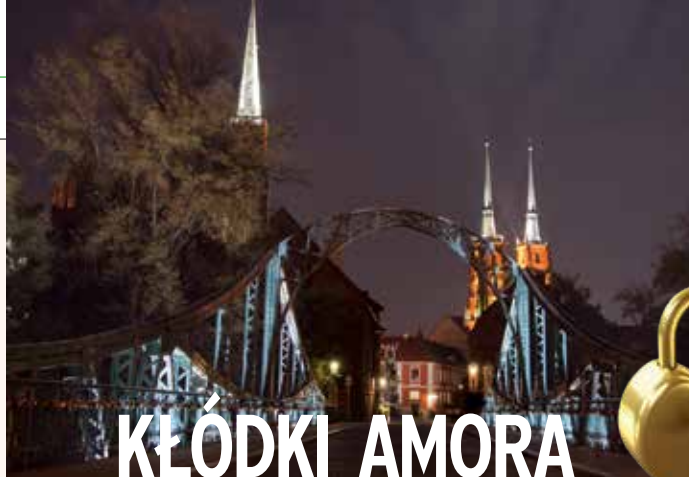


XII wieku sięga historia kościoła Xp.w. św. Jakuba w Nysie. Niszczony, odbudowywany i modernizowany dziś tworzy zespół farny. Należy do niego także XV-wieczna wieża – dzwonnica, w której mieści się galeria sztuki sakralnej. Cały kompleks został uznany za pomnik historii i tym samym znalazł się w grupie 43 najcenniejszych polskich zabytków, takich jak m.in. kopalnia soli w Wieliczce, historyczne zespoły miejskie Krakowa, Wrocławia i Gdańska.

Do klasztoru na... piwo!



Za najlepsze na świecie uważane jest piwo warzone przez trapistów z opactwa św. Sykstusa w Westvleteren we Flandrii. Bracia zajmują się tym od 160 lat. Trunek nazywa się Westvleteren 12, ma ciemnobrązowy kolor i jest dwa razy mocniejszy od standardowego piwa. Można go kupić wyłącznie w kawiarni In De Vrede i w samym opactwie. Uwaga! Mnisi nie sprzedają żadnemu klientowi więcej niż jedną skrzynkę miesięcznie.



KŁÓDKI AMORA

Most Tumski we Wrocławiu od dawna znany jest ze swoich magicznych właściwości. – Dawniej na moście zaczepiano jemiołę, pod którą zakochani mogli się całować – opowiadają miejscowi przewodnicy. Dziś pary mające się ku sobie, przychodzą tu, by łącząc je uczucie przypieczętować zawieszeniem kłódki, klucz rzucając w wodę. To nowa miejscowa tradycja, choć popularna w Europie. Wrocławianie czynią tak wzorem zakochanych paryżan, ale przede wszystkim rzymian, którzy na moście Milwo nad Tybrem zawiesili tysiące kłódek, budząc niepokój wśród władz miasta, obawiających się o bezpieczeństwo budowli. Wzorem Wrocławia serdeczne kłódki zaczęły się pojawiać na mostach w Krakowie i Bydgoszczy.



Husky bratem

Przed siedmioma tysiącami lat ludy żyjące nad Bajkałem z pieczołowitością odnosiły się do psów, które towarzyszyły im w wędrowkach i codziennej pracy. Informuje o tym Discovery News, powołując się na badania kanadyjskiego naukowca, Roberta Losley'a, który opisał archeologiczne znalezisko z tego okresu – grób psa husky. Obok zwierzęcia złożono przedmioty, podobnie jak to czyniono w pochówkach ludzi. W tym samym miejscu, w innych warstwach, znajdowały się kości ludzkie. W opinii naukowca dla ówczesnych mieszkańców nadbajkała pies był istotą społeczną, obdarzoną duszą, żyjącą po śmierci – toteż należało starannie zadbać o miejsce jego spoczynku.





Kros dla każdego

Na kolarski kros w środku miasta zapraszają organizatorzy cyklu imprez AZS MTB CUP 2011. Inauguracyjne zawody odbędą się 9 kwietnia w Warszawie (Forty Bema) i będzie to pierwsza z sześciu zaplanowanych imprez. Kolarze rywalizować będą w cross-country – czyli wyścigu MTB rozgrywanym na krótkich pętach – od trzech do sześciu ki-

lometrów. Zawodnicy, którzy wielokrotnie będą przekraczać linię mety, mogą dostarczyć wielu wrażeń kibicom zgromadzonym wzdłuż trasy.

Impreza ma rangę Akademickiego Pucharu Polski w MTB, ale startować w niej może każdy, bez względu na wiek i przynależność klubową. Podczas tych zawodów amatorzy kolarstwa będą mieli niepowta-

rzalną okazję zmierzyć się z najlepszymi w kraju – łącznie z kadrą Polski. Pula nagród, dla zwycięzców wyścigów oraz wylosowanych uczestników, przekracza wartość 70 tys. złotych.

ZAWODY ODBĘDĄ SIĘ POD PATRONATEM „POZNAJ ŚWIAT”. szczegóły: www.azsmtbcup.com



Nocna tułaczka

Po raz dziesiąty wyruszą na nocną wędrówkę uczestnicy rajdu na orientację „Wiosenny tułacz”. Uzbrojeni jedynie w kompas, mapę i własną wytrzymałość tym razem będą poszukiwać punktów kontrolnych zagubionych wśród kaszubskich wzgórz i jezior.

W zawodach uczestniczyć można indywidualnie i zespołowo (zespół maksymalnie może liczyć 5 osób). Można sprawdzać swoją wytrzymałość na trzech trasach: 25, 30 i 50 kilometrów. Specjalna trasa (50 km) wyznaczona zosta-

ła dla rowerzystów. Start rajdu 2.04. o godz. 21 w Kartuzach, zakończenie 3.04. o godz. 10. Organizatorzy Bractwo Przygody „Almanak” z okazji jubileuszowej edycji Rajdu dla najwytrwalszych Tułaczy przygotowali specjalne niespodzianki.

TEGOROCZNY „TUŁACZ” ODBYWAĆ SIĘ BĘDZIE POD PATRONATEM „POZNAJ ŚWIAT”. szczegóły: www.tulacz.almanak.pl

INCENTIVE

WYJAZDY DLA FIRM

Gwarantując wysoką jakość i kompleksowość usług opartą na międzynarodowych standardach podążamy śladem przygody! Dzięki nieograniczonym, ale zawsze rzetelnie sprawdzonym, pomysłom łączymy cele biznesowe z ciekawym programem turystycznym, tworząc szeroki wachlarz możliwości motywowania, integrowania, zacieśniania więzi czy też nagradzania pracowników i klientów.



VIP

WYJAZDY NA ZAMÓWIENIE

Ekskluzywne obiekty, niepowtarzalne miejsca, unikatowe programy – jednym słowem wakacje szyte na miarę, a więc idealnie dopasowane do Państwa wymogów i oczekiwań. Wyselekcjonowaliśmy dla Państwa najlepsze z najlepszych obiekty, które oprócz wysokiej jakości usług znajdują się w niepowtarzalnych miejscach i dysponują najwymyślniejszymi atrakcjami i udogodnieniami dla najbardziej wymagających klientów. Zaufajcie naszemu doświadczeniu! Przygotujemy Państwa wakacje zgodnie z indywidualnymi wymaganiami oraz zaplanowanym budżetem.



TREKKING

DLA MIŁOŚNIKÓW PRZYGODY

To szczególna okazja dla tych wszystkich, którzy nie mają doświadczenia alpinistycznego, a mimo to kochają góry i towarzyszące tego typu wyjazdom poczucie wolności i niezapomnianej przygody. To niepowtarzalna możliwość zaznajomienia się z życiem obozowym, ujrzenia zapierających dech w piersiach widoków i poznania ciekawych kultur oraz ludzi. Docieramy tam gdzie się nie dojedzie – trzeba dojść na własnych nogach!





Polska



Anglia



Ukraina

NAVIGATOR

Nasze rekomendacje na krótkie wypady



Szwajcaria



Litwa



W STO KONI

50° 05'N 18° 05'E

10 km na zachód od Raciborza, w drodze na Kietrz.
www.pietrowicewielkie.pl

Wielkanocne procesje konne znane są w Szwajcarii, Tyrolu i Niemczech. W Polsce zwyczaj ten kultywowany jest w kilku gminach Górnego Śląska. W Pietrowicach Wielkich od trzystu lat w Wielkanocny Poniedziałek, o godzinie trzynastej sprzed parafialnego kościoła wyrusza konna kawalkada, zwana Procesją Stu Koni. Zgodnie z tradycją prowadzą ją dwaj jeźdźcy, z których jeden trzyma krzyż, a inny fi-

gurę Chrystusa. Na świąteczną okazję lśni sierść starannie wyszczotkowanych wierzchowców. Dosiadają ich jeźdźcy w galowych strojach. Trasa procesji prowadzi do kościółka pątniczego pw. Świętego Krzyża na nabożeństwo odprawiane w intencji pomyślnych zbiorów. Po mszy tradycją jest objazd okolicznych pól, któremu towarzyszą śpiewy i modlitwy, czasem w języku czeskim. Często się bowiem zdarza, że w procesji uczestniczą goście z Czech, gdzie nie kultywuje się podobnych zwyczajów.

W tym roku do Pietrowic Wielkich w świąteczny poniedziałek zapraszają wójt gminy i miejscowy ksiądz proboszcz. Po procesji, nabożeństwie i objeździe pól, dodatkową atrakcją będzie Konny Festyn Wielkanocny, który o godzinie 15 rozpocznie uroczysta parada koni. Będzie można obejrzeć skoki przez przeszkody i pokazy akrobacyjnej jazdy konnej.



Duch polskości

Jedną z najstarszych osad polskich na Podolu jest Jazłowiec. Mimo wielu zniszczeń, wciąż jeszcze można odnaleźć tu atmosferę podolskich miasteczek. Najlepiej spojrzeć na Jazłowiec z wysoka. Przy wjeździe do miasta od strony Buczacza wypiętrza się wysokie wzgórze. Warto się na nie wspiąć, odwiedzając po drodze stary polski cmentarz z pozostałościami kaplicy. Można tu jeszcze odnaleźć pięknie rzeźbione wiekowe nagrobki.

W centrum Jazłowca znajduje się zrujnowany kościół dominikanów, w którym pochowany został (w1609 r.) kompozytor Mikołaj Gomółka. W miasteczku jest też dawna świątynia ormiańska, która dziś służy jako cerkiew.

Nieco na uboczu, też na wzgórzu, nad stromym jarem, znajduje się kościół i klasztor polskich sióstr Niepokalanek. Tu znajdowała się pierwsza prowadzona przez siostry słynna żeńska szkoła z internatem. Dzisiaj Niepokalanek chętnie przyjmują turyści, zarabiając w ten sposób na remont klasztoru.



48°57'N; 25°27'E

na południe od Buczacza
dawne województwo tarnopolskie



Ślad Normanów

Castleton w północnej Anglii cały rok przyciąga turystów. Górujące ponad miastem ruiny zamku Pevensey Castle to pozostałości po jednym z pierwszych normandzkich fortów w Wielkiej Brytanii. Wzniesiono go w 1066 roku dla ochrony znajdujących się nieopodal kopalni ołowiu. Kamienne ruiny wciąż świadczą, że musiała to być potężna warownia. Do dziś przetrwała wieża, na którą warto wejść, żeby spojrzeć na okolicę. W XII wieku wokół rozciągały się królewskie tereny łowieckie. Później wiódł tędy handlowy szlak, którym przewożono sól z Cheshire do Sheffield.

Przez wieki miasto kojarzono z kopalniami ołowiu. Zajęciem okolicznych mieszkańców było wyplatanie sznurów i lin dla potrzeb kopalni. W jednej z pobliskich jaskiń, z których także słynie Castleton, można obejrzeć niewielką wystawę, pokazującą sposoby wytwarzania lin.

Najbardziej imponującą jaskinią z ogromnym wejściem i płataniną korytarzy jest Peak Cavern, nazywana też Devil's Arse („diabli zadek”). Samo miasteczko ujmuje kameralnością. Do niewielkiego rynku prowadzi kilka wąskich uliczek, wzdłuż których stoją zdobione kwiatami domki.



53°21'N; 01°46'W

Środkowa Anglia, Hrabstwo Derbyshire
Najbliższe lotniska: Liverpool, Manchester
www.castleton.co.uk



47°03'N; 08°18'E

www.luzern.com

Najbliższe lotniska: Zurych, Bazylea

Drewniany staruszek

Lucernie mawia się, że jest kolebką Szwajcarii. Miasto powstało w miejscu, gdzie rzeka Reuss wpływa do Jeziora Czterech Kantonów. W zamierzchłych czasach zatrzymywali się tu wędrowcy, którzy, zmierzając na południe Europy, tutaj zbierali siły przed trudami przeprawy przez Alpy.

W XIII wieku, gdy przez przełęcz św. Gotharda poprowadzona została bita droga – w tym czasie był to główny szlak komunikacyjny z północy na południe – na uliczkach Lucerny można było spotkać coraz więcej podróżnych z Anglii, Niderlandów, Niemiec. To wówczas powstał Most Klasztorny (Kappbrucke) – służący do dziś najstarszy drewniany most w Europie.

Litwa Troki

Trzy okna



54°38'N; 24°56'E

28 kilometrów na wschód od Wilna

Troki to obowiązkowy punkt programu podczas wyjazdu na Litwę. Położone nieopodal Wilna przyciągają turystów gotyckim zamkiem z czasów wielkich książąt litewskich – Kiejstuta i Witolda. Odwiedzając Troki, koniecznie trzeba udać się na ulicę Karaimską.

U schyłku XIV wieku Wielki Książę, uczestnicząc w wojennej wyprawie przeciwko Złotej Ordzie, sprowadził z Krymu do Trok kilkaset rodzin karaimskich. Karaimo-

wie, uważani za ludzi uczciwych i niesprzedajnych, mieli strzec księcia i jego siedziby. Przybysze z Krymu osiedlili się w północnej części miasta, ich potomkowie żyją tu do dziś, kultywując zwyczaje przodków. Przy ulicy Karaimskiej wyróżniają się ich kolorowe domy o trzech szczytowych oknach. To symboliczna liczba – jedno okno poświęcone jest Bogu, drugie pamięci księcia Witolda, a trzecie właścicielowi domu.



Przy ognisku

30 kwietnia w Szwecji jest obchodzona Noc Walpurgii (Volborgsmassöften) obchodzona tutaj od prawników. Ta noc, według mitologii nordyckiej, należała do zmarłych. Dla odstraszenia złych duchów i czarownic nocą okoliczne wzgórza rozświetlały ogniska.

Współcześni Szwedzi w tym dniu witają wiosnę. Najbardziej radosnie świętują studenci z Uppsali – gdzie znajduje się najstarszy w Skandynawii uniwersytet, założony w 1477 roku. Na to święto zjeżdżają do swej alma mater absolwenci z całej Szwecji. Senna na codzień Uppsala wypełnia się tłumem. Wieczorem, odwiecznym zwyczajem, na miejskich placach i w parkach, rozpalane są wielkie ogniska. Gromadzą się przy nich Szwedzi i do białego rana śpiewają pieśni poświęcone wiosnie.

 59°51'N 17°38'E

70 kilometrów na północ od Sztokholmu, dokąd można dojechać promem (przystań Nynashamn) bądź dolecieć samolotem.



TRAIL.PL

Znajdź szlaki w Twojej okolicy

SZUKAJ



PASJA WCIAŻ NA NOWO

Tekst i zdjęcia:
Mirosław Osip-Pokrywka

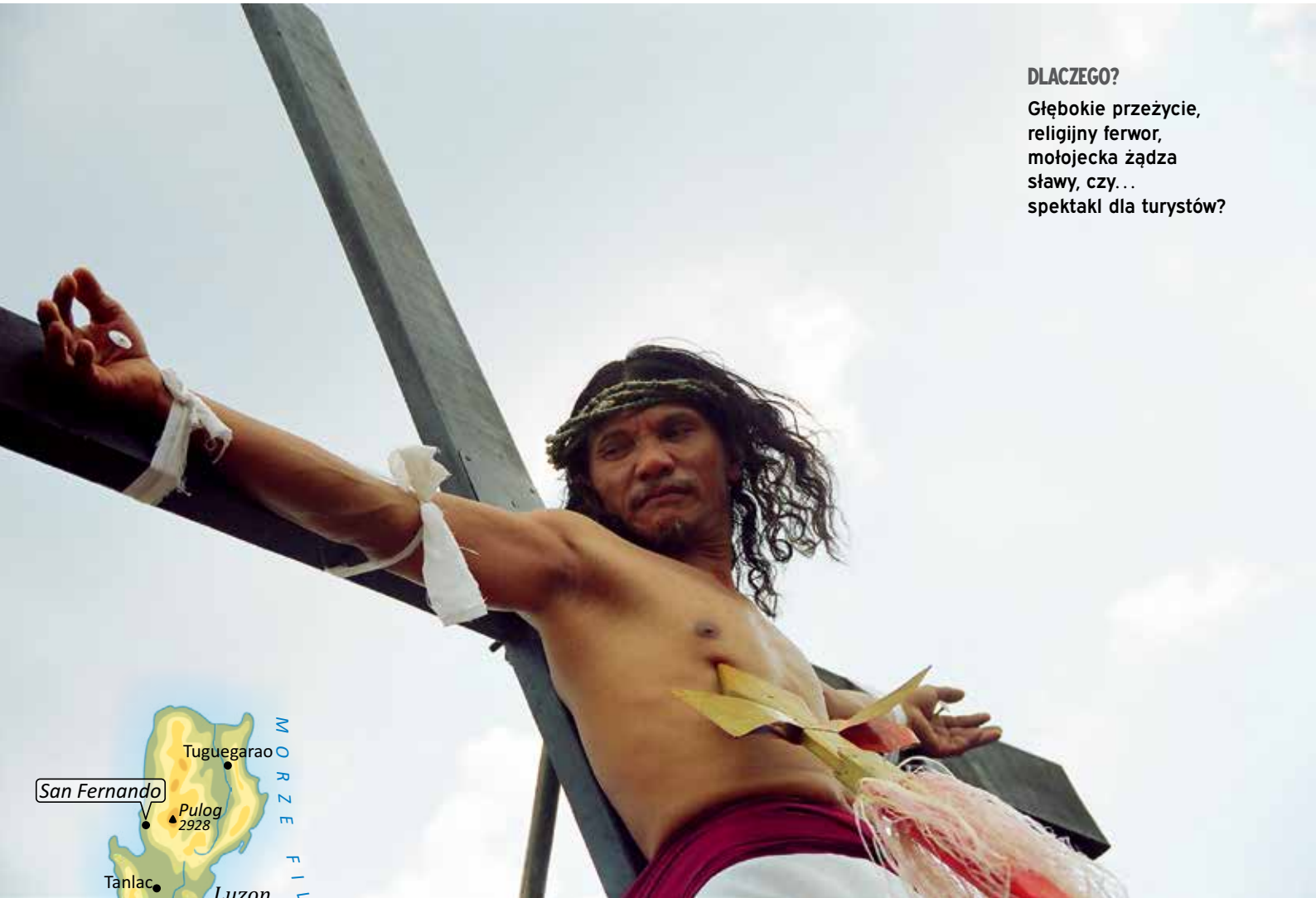


Kilkunastu rosnących mężczyzn podnosi z wysiłkiem masywny drewniany krzyż, na którym wcześniej rozpięli człowieka. Na obnażonym torsie ukrzyżowanego widać ślady po biczowaniu. W przebitych stopach i dłoniach tkwią olbrzymie gwoździe.



DLACZEGO?

Głębokie przeżycie,
religijny ferwor,
mołojcka żądza
sławy, czy...
spektakl dla turystów?



Na śniadej twarzy mężczyzny, pod opadającymi na nią mokrymi włosami, rysuje się grymas bólu. Zgromadzony wokół krzyża tłum gapiów wiatuje. Taką scenę, niczym wyjętą z filmu Pasja Mela Gibsona, można na żywo zobaczyć co roku na wyspie Luzon w północnej części Filipin.

Ten kraj Dalekiego Wschodu rozciąga się na archipelagu liczącym ponad 7 tysięcy wysp. Atrakcji przyrodniczo-turystycznych jest tu tyle, że starczy na kilkumiesięczny pobyt. Najpopularniejsze miejsca wycieczek po archipelagu to: tarasy ryżowe w Banaue, symetryczny wulkan Mt Mayon, czekoladowe wzgórza na Boholu, dzika wyspa Palawan i jeszcze wiele, wiele innych. Jednak turystyczna sława tych miejsc nie-

co błednie, gdy nadchodzi czas Wielkiego Tygodnia. Okres szczególnie w kulturze mieszkańców Filipin. Jest to jedyny kraj w muzułmańskim tygłu Dalekiego Wschodu, gdzie chrześcijaństwo jest wyznaniem dominującym. Katolicy stanowią tu ponad 80 % populacji. To, co można zobaczyć w Wielki Piątek na wyspie Luzon przechodzi wszelkie wyobrażenie.

KIERUNEK – SAN FERNANDO

Po 16 godzinach lotu z dwiema przesiadkami – najpierw w Londynie, a potem w Hongkongu – ląduję na lotnisku w stolicy Filipin – Manili. Jest środek Wielkiego Tygodnia, a dokładnie: tuż przed północą rozpoczynającą Wielki Piątek. Mimo późnej pory temperatura oscyluje w granicach 30°C.

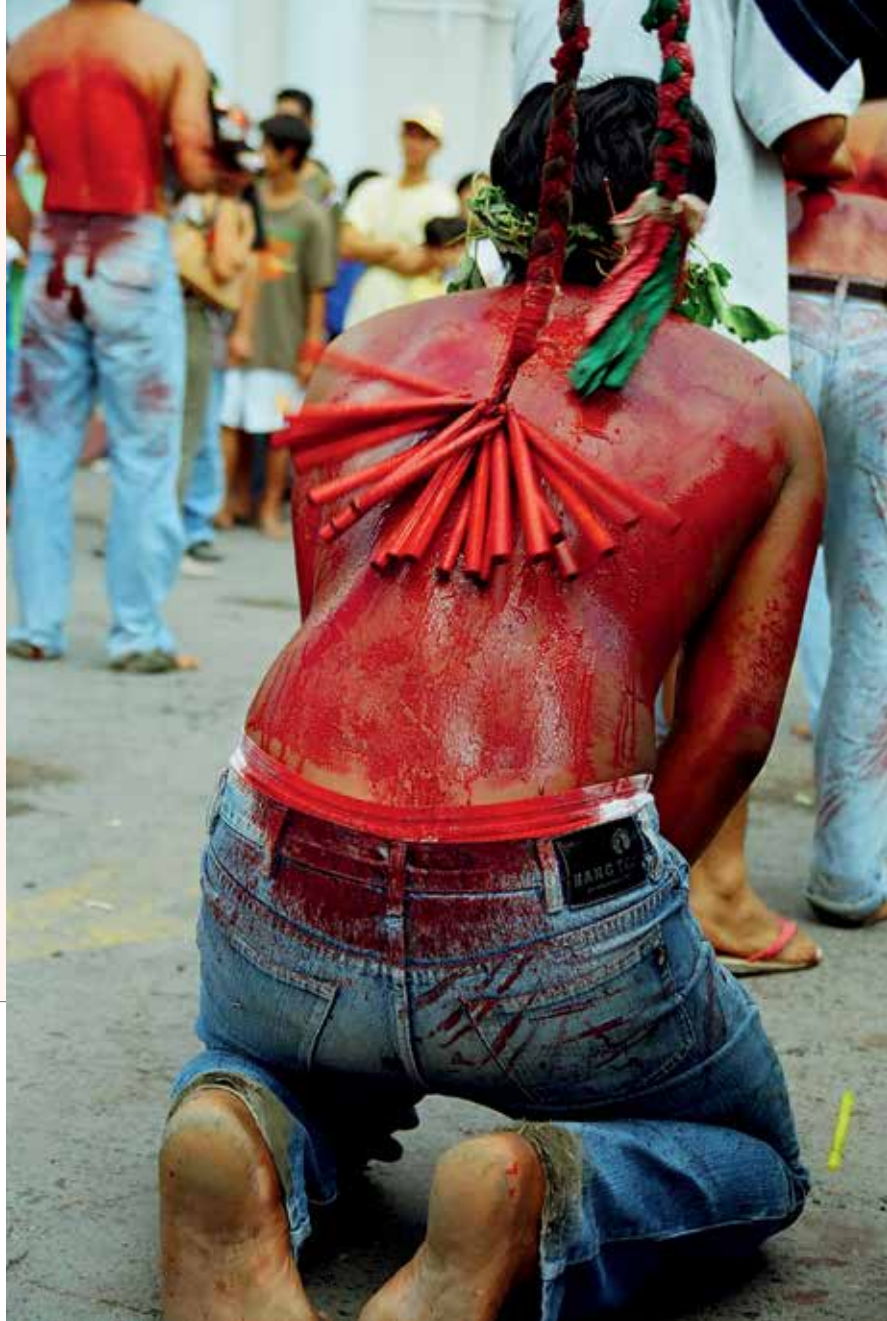
WIELKANOC WE KRWI

Na Filipinach Wielkanoc to najważniejsze święto wyznaniowe. Tysiące wiernych biorą udział w całonocnych czuwaniach, łączonych z rozważaniami nad Biblią. W czasie Wielkiego Tygodnia nasila się ruch pielgrzymkowy. Filipińczycy tłumnie wyruszają w drogę, nawiedzając kościoły i przydrożne kapliczki. W Wielki Czwartek i Piątek ludzie zbierają się, by wspólnie celebrować Mękę Pańską. W niektórych miasteczkach na północy kraju wielu wiernych biczuje się do krwi, a niektórzy dają się ukrzyżować. Takie praktyki nie są zbyt stare, bo ich powstanie datuje się na początek XX w. Hierarchia kościelna jest oficjalnie przeciwna tym rytuałom, jednak mimo to znajdują one nowych naśladowców. Wielka Sobota i Niedziela mają już charakter typowo weekendowy. Wielkanocny poniedziałek to zwykły dzień roboczy.

W mieście panuje świąteczna atmosfera. Idąc ulicą, co pewien czas napotykam zaaranżowane stacje drogi krzyżowej. Przystrojone ołtarze oświetlone są tłąciami się wokół wotywnymi świecami. Co chwila ktoś zatrzymuje się na krótką modlitwę.

Centrum tradycyjnych obchodów Wielkiej Nocy znajduje się dwie godziny drogi z Manili – w miasteczku San Fernando, w prowincji Pampanga. Aby tam dotrzeć, trzeba w mieście znaleźć dworzec odpowiednich linii autobusowych (polecam Victory Liner, które w czasie świąt uruchamiają swoje autobusy już od godziny 2 rano). Gdy docieram do celu – San Fernando wygląda raczej na opustoszałe. Próba znalezienia jakiegoś lokum na kilka godzin snu kończy się niepowodzeniem. W Wielki Piątek nikt tu już nie pracuje. Dwa tutejsze hoteliki są również nieczynne. Pasażerowie autobusu, którym przyjechałem rozchodzą się po domach swoich krewnych. Do świtu jakoś przeczekam przy ulicznym stoliku.

Próbę drzemki przerywa krzykliwe pianie koguta. Za chwilę słychać już cały koguci chór, prawie tak, jakby obok mieściła się kurza ferma. Nie ma się co dziwić – kogut to narodowy ptak Filipin, więc obowiązkowo w każdym domu musi



być ich kilka sztuk. Poza tym, dobry ptak może być źródłem niezłych przychodów z popularnych tu walk kogutów.

Zaczyna świtać. Z miękkiego porannego światła wylania się przed moim stolikiem jakaś postać. Ta senna mara to litościwy Filipińczyk. Musiał mnie zauważyć wcześniej, a widząc moje zmęczenie przyniósł mi filiżankę gorącej i mocno przesłodzonej kawy. Mimo widocznej na każdym kroku dużej biedy, tubylcy są bardzo gościnni i przyjacielscy. Po krótkiej wymianie zdań dowiaduję się, że mój dobroczyńca jest właścicielem kogutów i – co dla mnie najważniejsze – że centralne uroczystości wielkopiątkowe rozpoczną się w południe na wzgórzu za miastem.



KAŻDEMU SWÓJ KRZYŻ

Wśród pokutników nie brak kobiet, uginających się pod brzemieniem krzyża.

KRWAWY SPEKTAKL

Ku wzgórz ruszają pierwsze grupy biczowników. W większości są to kilkunastoletni chłopcy. Twarze zakryte chustą, na głowach – symboliczna korona z palmowych liści. Odkryte torsy są rytmicznie smagane łańcuchami lub wielopalczastymi „dyscyplinami” z bambusa. Efekt biczowania jest bardziej widowiskowy, jeśli wcześniej plecy i ramiona zostaną ponacinane delikatnie żyłką lub szkłem, a następnie rozdrapanie! Tak przygotowany biczownik tryska krwią na publikę.

W miasteczku emocje rosną. Procesje przybywają z różnych stron i kierują się na dziedziniec, przed katedrą. Poza biczownikami w procesjach biorą udział pokutnicy (są wśród nich kobiety!) ubrani w długie, purpurowe szaty. Na plecach dźwigają duże drewniane krzyże. Co pewien czas ulicami przechodzi szczególnie liczny orszak insce-

nizujący drogę krzyżową Chrystusa. Poprzedza go straż przednia składająca się z postaci przebranych za rzymskich żołnierzy, za którymi podąża Chrystus dźwigający krzyż i raz po raz odbierający ciężki od swoich oprawców.

Wszyscy podążają w kierunku katedry. Ci z biczowników, którzy tam docierają, cali skąpani są we krwi. Przed katedrą grupują się w czwórki i czekają na końcowy akt ceremonii. Liczba biczowników jest tak duża, że przed południem na przykatedralnym dziedzińcu tworzą się zatory. Gdy przyjdzie pora, umartwiający się klękają i ostatnią część drogi odbywają na kolanach. Tuż przed świątynią padają krzyżem, modląc się żarliwie. Wówczas towarzyszący im pomocnicy objągają solidnie bambusową pałką – od stóp po ramiona – każdego leżącego, co ma wypędzić złe duchy z ciała biczownika...

WYWIAD POD KRZYŻEM

Druga część wielkopiątkowych obchodów odbywa się na wzgórzu za miastem, w miejscu symbolizującym biblijną Gólgotę. Trudno tam nie trafić, bo ze wszystkich stron ciągną rzesze gapiów. Podążam w upale za milczącym tłumem i po pół godziny drogi za przedmieściami ukazuje się na horyzoncie niewielkie, zwieńczone trzema krzyżami, wzgórze. Miejsce ogrodzone jest pasem podwójnej metalowej siatki i chronione przed napierającym tłumem przez kilkudziesięciu ochroniarzy. Na szczęście ochrona jest przekupna i za kilkadziesiąt peso mogą dostać się w samo centrum wydarzeń, gdzie na straceńców czeka telewizja i tłum fotoreporterów.

Gdy wybija dwunasta w południe, na wzgórzu pojawiają się ochotnicy do ukrzyżowania. Dla niektórych to nie pierwszyzna. Są wywiady i pozwania do zdjęć. Upał robi się nie do zniesienia. Już samo stanie bez parasola w tym ukropie jest dużym wyczynem. W razie zasłabnięcia, nie ma co liczyć na pomoc medyczną.

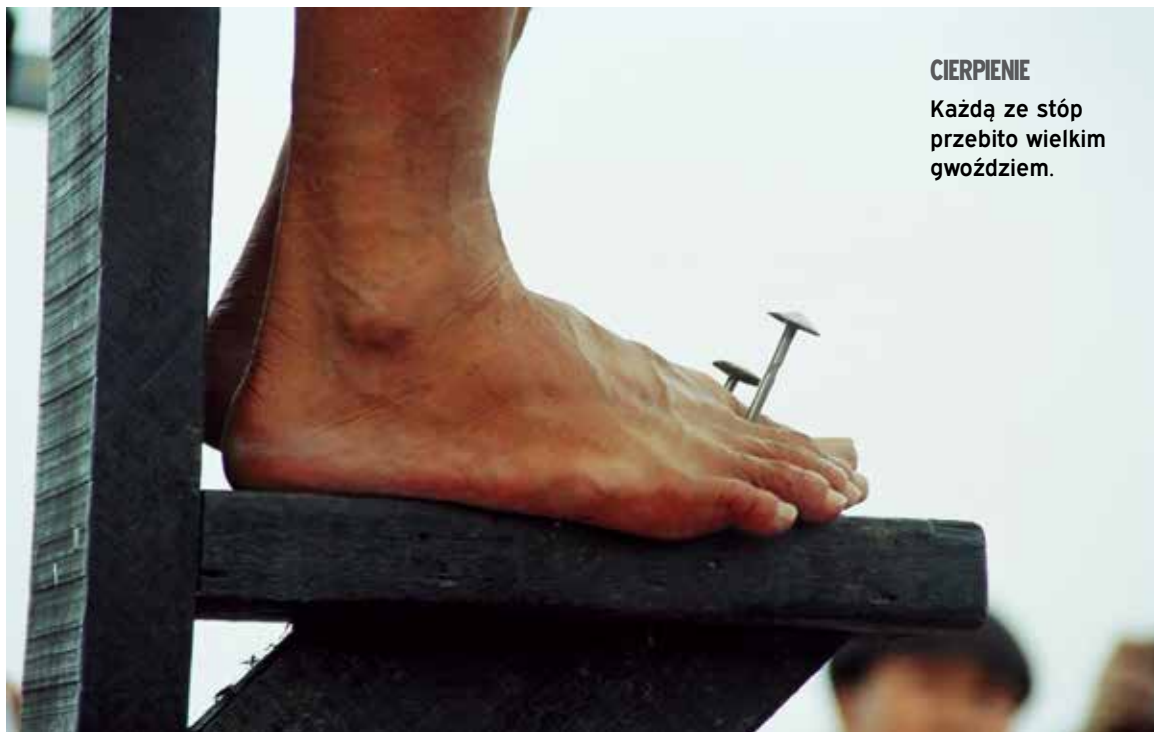
Minęło południe. Środkowy krzyż zostaje opuszczony i rozpoczyna się przybijanie pierwszego „męczennika”. Najpierw rozpostarte ręce w dwóch miejscach (okolice nadgarstka i przed łokciem) trzeba mocno przywiązać sznurami do poprzecznej belki krzyża. Gdy dłonie przebijie miedziany gwoździec, sznury będą pełniły rolę opasek uciskowych tamujących krwawienie.

Teraz czas na stopy. Są wsparte na specjalnie umocowanej do krzyża podstawie; każdą



z nich trzeba obwiązać sznurem nad kostką. I każdą przybić gwoździem. Potem, tak rozpiętego i przymocowanego człowieka – podnosi się wraz z krzyżem do pionu. Na twarzy nieszczęśnika widać grymas cierpienia. Tłum wiwatuje. Ukrzyżowanych – wiadomo – musi być trzech, tak jak w Jerozolimie, więc po chwili na krzyżach rozpiętych jest tyłuż mężczyzn.

Ochronna siatka w wielu miejscach nie wytrzymuje naporu tłumy. Każdy chce być bliżej, zobaczyć krew, dotknąć szat. Po pięciu minutach męczeństwa (w czasie których do ukrzyżowanych podchodzi centurion, by włócznią zadrasnąć każdemu bok) krzyże zostają opuszczone z powrotem na ziemię.



CIERPIENIE

Każdą ze stóp
przebito wielkim
gwoździem.

PRZYRODA I LUDZKIE RĘCE

Środkowa Kordyliera
kojarzy się głównie
z ryżowymi tarasami.

Te na górskich
zbozcach w rejonie
Banaue to unikatowy
zabytek przyrody.
Zostały wpisane na
Listę Światowego
Dziedzictwa UNESCO.



Chętnych do ukrzyżowania jest więcej i cała ceremonia będzie powtórzona jeszcze kilka razy. Nie uda się już jednak uzyskać tak podniosłego nastroju. Ludzie powoli rozchodzą się, szukając odrobiny cienia pod pobliskimi drzewami. Podobne ceremonie, choć o mniejszej randze, odbywają się jeszcze w kilku innych miejscach w San Fernando, między innymi na boisku do koszykówki.

Widząc moją nietęgą minę, jeden z ochroniarzy zapewnia, że od krzyżowania na Filipinach nikt jeszcze nie umarł. Mimo to, mam mieszane uczucia. Nie wiem czy to fanatyzm, poświęcenie, czy może tylko zwykły teatr? Opryskany krwią i zlany strugami potu wracam do centrum miasta.

PODNIĘBNY CMENTARZ

Główny cel mojej podróży mam już za sobą. Nadarza się jednak okazja, aby z poznanym w czasie ceremonii góralem zabrać się na północ wyspy, w rejon górskiego pasma Centralnej Kordyliery. Mimo że to tylko 250 kilometrów – korzystając z publicznego transportu jechać tam można nawet dwa dni (z powodu częstych przesiadek). Nie zastanawiam się więc długo nad zaproszeniem i wskakuję do wysłużonego jeepneya. Ten samochód to chluba filipińskiego transportu. Nieco zmodyfikowany model amerykańskiego jeepa, których sporo tu zostało jeszcze z czasów, gdy Amerykanie wyzwalali Filipiny spod japońskiej okupacji. Standardowo jeepney zabiera do środka 30 osób, nie licząc tych na dachu. Według opinii mojego towarzysza podróży, auto po regeneracji silnika może przejechać nawet 500 tys. km. Trudno to jednak zweryfikować, bo samochód nie posiada licznika...

Szczęśliwie docieramy do Środkowej Kordyliery. Kraina ta turystom kojarzy się głównie ze słynnymi ryżowymi tarasami. Te na górskich zboczach w rejonie Banaue zakwalifikowano jako unikatowy zabytek przyrody i w 1995 r. zostały wpisane na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO.

Warto tu jednak przyjechać z zupełnie innego powodu.

Zbacząc kilkadziesiąt kilometrów w głąb górskiego pasma, można dotrzeć do osady Sagada. Mała, zamieszkała przez trzy tysiące ludzi miejscowość, przycupnęła na wysokości 1500 m n.p.m. Mieszkańcy tych terenów to interesująca grupa etniczna. Wywodzą się oni w prostej linii z plemienia Igorot – rdzennych mieszkańców tutejszych gór. Obecnie tylko niektórzy noszą tradycyjne stroje: ręcznie tkane kostiumy z dominantą czerwieni oraz charakterystyczne czapki z kogucimi piórami.



Wspólnota kulturuje jednak wiele dawnych zwyczajów swoich przodków. Najbardziej oryginalny jest sposób chowania zmarłych. Trumny nie są – tak jak praktykuje większość chrześcijańskich kultur – zakopywane w ziemi, lecz... zawieszane wysoko na skalnych ścianach.

Najwięcej wiszących trumien można odnaleźć wybierając się na trekking po pobliskiej dolinie Echo Valley. Nietypowy rodzaj pochówku jest równie tajemniczy jak sposób, w jaki żyjący mocują trumny na niedostępnych klifowych zboczach.

Siedząc wieczorem przy lampce rumu pytam o to znajomego już górala.

-A czego to człowiek nie zrobi, by dusza mogła łatwiej trafić do nieba. ○

BLIŻEJ NIEBA

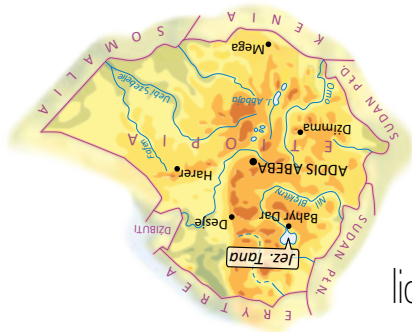
Trumny mocuje się na skalnej ścianie. Stąd do raju trafić łatwiej?

AFRYKA | Etiopia

Tekst i zdjęcia: **Marcin Kołpanowicz**

WYSPA SKARBÓW





O jeziorze Tana trudno powiedzieć coś pewnego. Nikt nie wie, ile jest na nim wysp, bo ich liczba zależy od poziomu wody. Samo jezioro ma około 84 km długości i około 66 km szerokości – ale liczby te również nie są stałe, gdyż ulegają sezonowym zmianom.

Pewne jest tylko, że jego wody mają piękny, oliwkowozielony kolor. I że wypływa z niego Nil Błękitny. Na jedenastu spośród jego nie-wiadomo-ilu wysp znajdują się kościoły i klasztory ortodoksyjnego autokefalicznego kościoła etiopskiego. Ale czy można dać wiarę starej abisyńskiej legendzie, która mówi, że na wyspie na jeziorze Tana zatrzymała się Matka Boska podczas ucieczki do Egiptu?

Z pewnością nie była to jedna z tych dwóch wysp, na które wstęp kobietom jest wzbroniony. Tam atmosfera jest prawdziwie mistyczna. Pozostałe, z miejsc klasztornej odosobnienia, zmieniają się powoli w atrakcje turystyczne – ale i tak wzniesione na nich kościoły i przechowywane w tych kościołach skarby świadczą o długiej i niezwyklej historii chrześcijaństwa w tym kraju. W *Dziejach Apostolskich*, a także w świętych księgach koptyjskich przeczytać można o dworzaniu etiopskiej królowej Kandaki, którego nawrócił i ochrzcił wysłany przez anioła apostoł Filip (anioły będą odtąd miały liczną reprezentację w abisyńskich religijnych opowieściach i legendach). Nic więc dziwnego, że już w IV wieku Etiopia, jako jeden z pierwszych krajów, przyjęła chrzest, a w jej religijnej tradycji zachowało się wiele najwcześniejszych wierzeń i obyczajów pierwotnego Kościoła. Także pozostałości judaizmu, takie jak obrzezanie czy zasada koszerności.

POD WODZĄ ANIOŁA

Nazwa oddalonego o 320 km na północ od Addis Abeby miasta Bahir Dar oznacza „brzeg morza”. I rzeczywiście, Tana wygląda bardziej na morze, niż na jezioro.

Ze słonecznego, wesołego i hałaśliwego miasta Bahir Dar, którego główne ulice obsadzone są palmami, wypływamy motorową łodzią na wody Tany. Właściciel łodzi i sternik w jednej osobie ma na imię Malaku, co po amharsku znaczy „anioł”, a jego koszulka ozdobiona jest nadrukiem etiop-



WSTĘP WZBRONIONY

Na wyspę wstęp wzbroniony jest nie tylko kobietom, ale także wszystkim zwierzętom płci żeńskiej... z wyjątkiem kur!

skiego krzyża z Lalibeli. Wraz z synem Michałem i naszym etiopskim przyjacielem Uorkiem oddajemy się więc w anielską opiekę, zadowoleni, że nie musimy żeglować na lekkiej, chybotałej łodzi z papyrusu, które pływają tutaj od setek lat. Miniaturka takiego słomianego kajaka dynda na nitce pod dachem motorówki.

Naszym celem jest oddalony o 18 km półwysp, a właściwie znajdujący się na nim kościół Ura

Kidane Mihiret. Mijamy stado kilkudziesięciu pelikanów i dwie gęsto porośnięte tropikalnym lasem wysepki. Nad wierzchołkami drzew widać charakterystyczne dachy etiopskich kościołów, zwieńczone rodzajem parasola, z którego wyrasta wpisany w koło krzyż, promieniście obwieszony siedmioma strusimi jajami.

Po półtorej godziny prucia zielonych, rozkłysanych fal – docieramy do półwyspu Zege. Na brzegu – pomieszany tłumek pątników, religijnych Etiopczyków pielgrzymujących do tego świętego miejsca, handlarzy pamiątek oraz poparzonych przez słońce ferendźjów (białych, a właściwie różowo-czerwonych turystów), którzy od tych ostatnich nie mogą się opędzić.

Do klasztoru prowadzi kamienista ścieżka przez gęsty, zielony las. Głośno jest w nim od rechotu żab i śpiewu ptaków. W nozdrza uderza zapach kawy; rośnie ona wszędzie wokół, na niewysokich

krzewach. Podobno dawno, dawno temu Etiopczycy nauczyli się od kóz używania kawy – gdy zauważyli, że te spośród rogatych zwierząt, które spróbowały dziwnych ziaren, wpadały w euforię. Nic więc dziwnego, że i oni postanowili spróbować.

KOZOM CHWAŁA, KAWA Z DRZEWA

Tak to, dzięki kozom, powstały kawiarnie. Na półwyspie Zege dzieci zbierają czerwone ziarna dziko rosnącej kawy. Kobiety palą je najpierw na płaskich patelniach, kucając przy niewielkim ognisku, a następnie gotują napój w glinianych imbryczkach. W kawiarni pod gołym niebem wzmacniamy się więc filiżanką czarnej jak obsydian, piekielnie mocnej kawy „prosto z drzewa” (lub – jak kto woli – „prosto od baby”) i ruszamy dalej.

Pielgrzymi, którym próbujemy robić zdjęcia, odwracają się lub zasłaniają twarz rąbkami szaty, wyraźnie nas unikając. Za to natarczywi sprzedawcy pamiątek bez przerwy biorą nas w okrążenie, czego z kolei my wolelibyśmy uniknąć. Jednak, gdy daję się zaciągnąć do jednego z ustawionych wzdłuż ścieżki straganików – nie wiem, czy bardziej skupiać się na wystawionych tu krzyżach, naszyjnikach i obrazkach, czy też na urodzie ich ciemnoskórej sprzedawczynie, o oczach brązowych, jak ziarna świeżo palonej kawy.

Nieopodal – zgarbiony na niskim taboreciku artysta maluje na koziej skórze kopie obrazów z pobliskiego kościoła. Obok jego „palety” rozłożone są grudki ziemi, nasiona i kwiaty, z których uzyskuje swe pigmenty. Wkrótce staniemy przed oryginałami – widać już, przykrytą dachem w kształcie spłaszczonego stożka, „rotundę”.

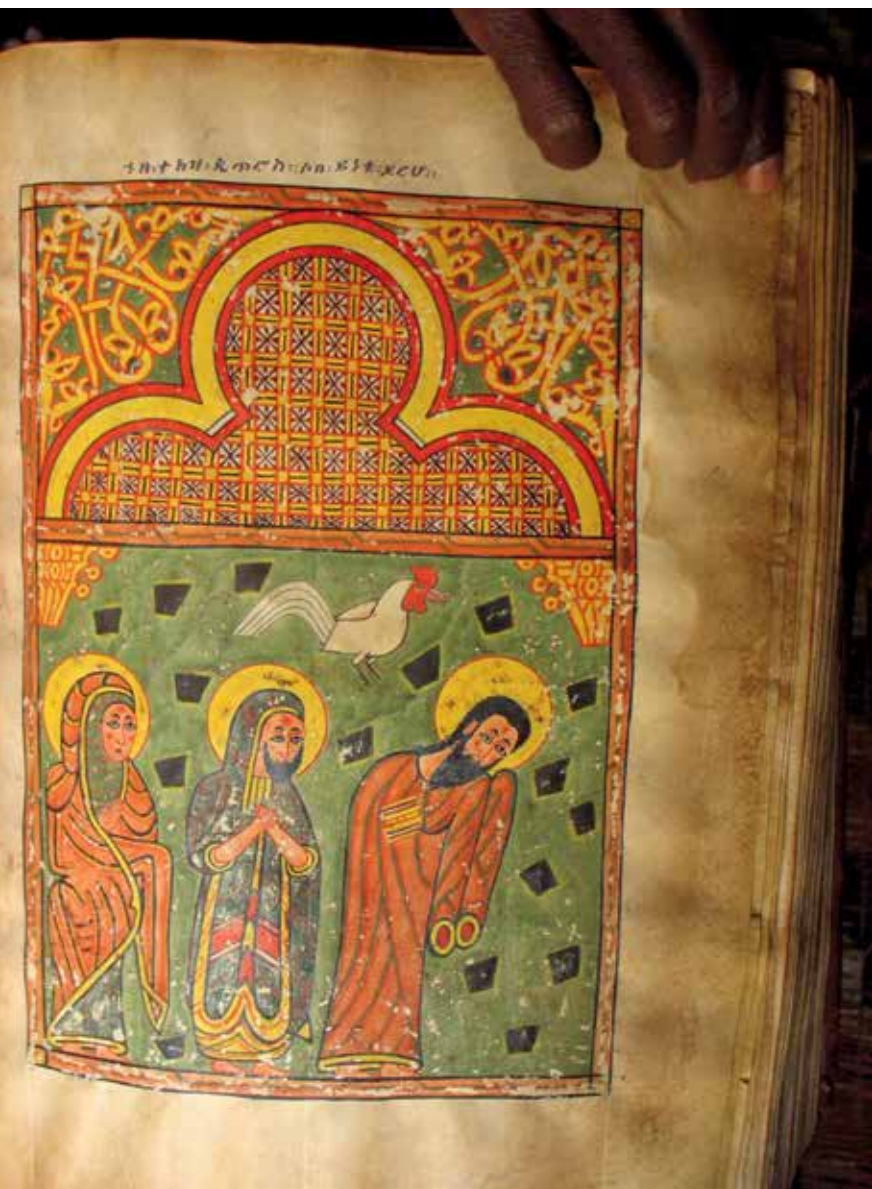
SFERY

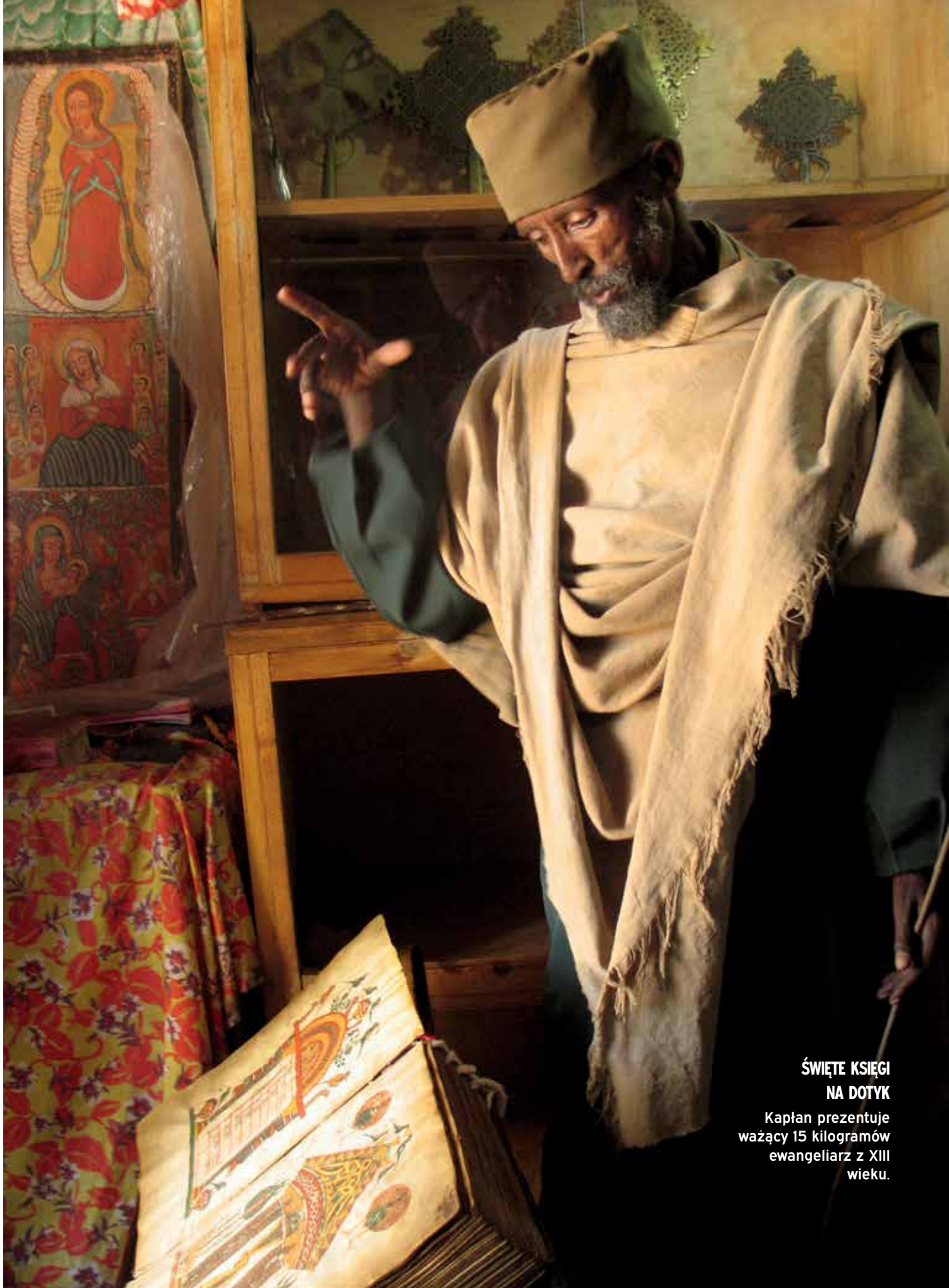
Jak większość etiopskich kościołów, ten również zbudowany jest na planie koła i ma strukturę cebuli; składa się z kilku koncentrycznych kręgów.

Najpierw ogrodzenie: modlą się za nim ci, którym z powodu zadanej pokuty nie wolno przekroczyć nawet płotu. Ci, którym wolno – muszą zostawić na zewnątrz kościoła buty, aby nie wnieść do świętego miejsca pyłu i brudu świata. Zewnętrzzną ścianę budynku tworzą drewniane słupy-kolumny, poprzedzielane wypłatanymi z bambusa ażurowymi ścianami, przez które słońce rzuca rozedrgane plamy światła na bambusową „słomiankę”, rozłożoną na podłodze pierwszego kręgu. Leżą tam nieporządknie, lecz

KUR I PIOTR

Zaparcie się świętego Piotra – w tle kur, który zapał trzy razy.





**ŚWIĘTE KSIĘGI
NA DOTYK**

Kapłan prezentuje
ważący 15 kilogramów
ewangeliarz z XIII
wieku.



efektownie rozrzucone draperie, wyglądające jak śpiący pielgrzymi. Spod jednej z nich – istotnie: wyglądają strudzone, bose stopy. Obok – bębny, używane w etiopskiej liturgii. Wysłuzone membrany z byczej skóry, naciągnięte z obu stron na czerwone, oplecione rzemieniami kadłuby.

W ortodoksyjnym kościele wszystko coś oznacza, więc mniejsza membrana symbolizuje Stary, a większa – Nowy Testament. Obok tych tam-taków wiary leży wiązka pielgrzymich lasek; długie kije, zakończone drewnianą lub mosiężną podpórką, z obu stron wygiętą jak baranie rogi.

Przez większą część rozpoczynającej się przed wschodem słońca, a trwającej prawie do południa niedzielnej mszy świętej – wierni stoją, więc podpórki te wkładają sobie pod pachę, i trwają tak całymi godzinami, pograżeni w modłach (lub chwilowej drzemce).

CUDA, CUDA

Następny krąg świątyni „otynkowany” jest zmieszana z trawą ziemią, która po wyschnięciu daje gładką i twardą brunatną skorupę. Estetyczną i przyjemną w dotyku, a do tego chroniącą od

upału. W tej ścianie wybite są wysokie bramy, a cztery potężne odrzwia (każde wykonane z litego drewna, grubego, starego i splekanego) prowadzą do następnego kręgu, a właściwie – kwadratowej budowli.

I tutaj zaczyna się prawdziwy cud. Ściany czworobocznego, wewnętrznego budynku – niby tapetą – oklejone są płótnem, które od podłogi do sufitu pokrywają malowidła. To jedna z najbardziej niezwykłych biblii pauperum, jakie można podziwiać w chrześcijańskich świątyniach. Na wielu piętrach malowidła rozgrywa się sakralny komiks, w którym mieszają się motywy Starego i Nowego Testamentu oraz świętych ksiąg etiopskich. Te przedstawienia nie są skrupowane bizantyjskimi kanonami – ikonę etiopską cechuje fantazja i swoboda w doborze tematów (wiele z nich pochodzi z żywotów lokalnych świętych) i afrykańska śmiałość w użyciu jaskrawych, kontrastujących ze sobą barw. Przeważają kolory etiopskiej flagi; zielenią, żółcią i czerwienią odmalowane są biblijne historie, epizody bitewne, krwawe męczeństwa i cudowne uzdrowienia.

Jest tutaj tłoczno jak na rynku etiopskiej wioski w dzień targowy – uwagę zwraca jednak wiel-

NIEZBĘDNE AKCESORIA

Laska modlitewna makuamia – do podpierania się w czasie wielogodzinnych modłów na stojąco

SŁODKIE ŁZY?

Świętemu Gebre Menfes Kiddusowi ptaki spijały łzy z oczu

kie zagęszczenie scen przemocy i okrucieństwa. Święty Michał Archanioł na rumaku, przybranym ozdobnym siodłem z czerwonymi pomponami, w jakie do dziś pasterze stroją swe drobne koniki, przebija włócznią głowę zielonego smoka. Po bokach jego koledzy, aniołowie, o wielkich oczach i czołach otoczonych wiankiem czarnych włosów, zanurzają miecze w głowach szatanów. Książęta w piętrowych koronach galopują na koniach, a pod ich nogami turlają się obcięte głowy.

KOMIKSOWY ZAWRÓT GŁOWY

Obchodzę w kółko kwadratową budowlę. Nie mogę się polapać, co już widziałem, a czego jeszcze nie; za każdym rogiem otwierają się niezwykle sceny, wciąż zaskakują nowe motywy. Dzidy przebijają tym razem głowy ogromnych ryb-lewiantanów. Święty Jared, nie zważając na bitewny zgielk wokół, pogrążony jest w grze na harfie. To twórca etiopskiego śpiewu liturgicznego. Królowa Saba jedzie na koniu do króla Salomona. Na jednej nodze trwa święty Tekle Hajmanot, który tyle lat modlił się na stojąco, że odpadła mu druga noga. Świętemu Gebre Menfes Kiddusowi, odzianemu we włosienicę, otoczonemu przez lwy i lamparty, ptaki spijają z oczu łzy. Dzisiaj – nie malowane, a żywe ptaki wydziobują kawałki malowideł i zakładają gniazda w wydrążonej w ten sposób ścianie.

Granatowosine diabły namalowane są zazwyczaj z profilu – to w malarstwie etiopskim sposób na przedstawianie szwarc-charakterów. Spętane łańcuchami rzesze demonów tłoczą się przed zgarbionym przy podłodze księciem ciemności. Wizerunek Madonny z trzymającym księgę Dzieciątkiem, przez szacunek okryto półprzeźroczystym welonem, zielonym jak wody jeziora Tana.

Każde wolne miejsce jest wykorzystane, belki i fryzy zdobią głowy serafinów. Tu święty mąż dosiada lwa, tam dziecko ssie wymię antylopy. Wniebowstąpieniu Jezusa towarzyszy naigrywający się z niego diabeł. Są nawet uzbrojeni w karabiny żołnierze generała Grazaniego (ma się rozumieć, przedstawieni z profilu), których nie ulękli się uzbrojeni we włócznie i dzidy Ahmarowie.

Męczennicy, powieszni za nogi lub smażący się w ogniu, ukazani są z naiwną dosłownością; tuż obok krew tryska ze zdekapitowanych szyj jak z gejzerów. Na środku każdej z czterech ścian czworoboku także znajdują się potężne podwoje. Jednak przez te odrzwia zwykłym śmiertelnikom wchodzić nie wolno, są one





SZACUNEK DO SZTUKI

Przystąpienie obrazu welonem jest oznaką szczególnej czci.

dostępne jedynie dla kapłanów. Nie darmo każdego skrzydła potężnych drzwi, niby Bram Raju, strzeże skrzydlaty strażnik – Archanioł z ostrym mieczem.

A w samym centrum kościoła, w jego tajemnym jądrze, znajduje się Święte Świętych, miejsce, do którego nie wolno wchodzić nikomu. Tu przebywa Arka Przymierza, a właściwie jej replika, gdyż oryginał, jak wierzą Etiopczycy, znajduje się w świętym mieście Aksum, pilnie strzeżonym przez specjalnie do tego wybranego kapłana. We wszystkich natomiast kościołach kraju umieszczone są, również otaczane najwyższą czcią kopie.

Wychodzimy z kościoła Ura Kidane Mihired. Przed świątynią zauważam powieszony na drewnianej konstrukcji dwa podłużne, obłe jak ryby głazy – to kamienne dzwony. Trącone małym kamykiem, wydają tajemniczy, długo wibrujący w powietrzu odgłos.

Po chwili słyszemy jednak tylko trywialny warkot silnika Yamahy i nasz Malaku steruje w stronę wysp, które wcześniej już mijaliśmy. Na większej z nich stoi wzniesiony w pradawnych czasach kościół Kibran Gabriel. Wstęp na tę wyspę zabroniony jest kobietom, co jawnie urąga zasadzie równości płci. Jednak, na pocieszenie feministkom mogę dodać, że Etiopczycy nie dyskryminują kobiet i bez oporów zatrudniają je na budowach – często widzi się niewiasty pchające taczki z zaprawą czy rozłupujące kamienie ciężkim młotem.

WYSPA SKARBÓW

Znów pod górę, ścieżką przez gęsty las, tym razem wolny od straganów. Drzewa porośnięte niezwykle białymi wąsami, które falują w lekkiej bryzie. Zastajemy przy kościele dwóch księży, czytających małe modlitewniki w okładkach z brązowej skóry. Okazuje się, że kościół jest zamknięty z powodu konserwacji. Uorku głośno wyraża swoje rozczarowanie, gdyż nikt nas o tym nie poinformował, choć przy wstępie na wyspę pobierane są opłaty. Starszy kapłan postanawia zrekompensować nam tę stratę, prowadzi nas do „muzeum” – piętrowego kamiennego budyneczku i otwiera ciężką kłódkę.

Wewnątrz – chłód i ciemność, z którą bez powodzenia zмага się słaba, migająca żarówka. I... skarby, jakich nie spodziewałam się ujrzeć na małej, zarośniętej tropikalnym lasem wysepce! Liczące tysiąc lat złote korony królów i książąt etiopskich – ozdobione kulkami wiszącymi na cienkich łańcuszkach kopyły, zwieńczone okrągłymi wieżyczkami z misternym krzyżem na szczycie. Równie stare sprzęty kościelne, ażurowe mosiężne kadzielnice i srebrne dzbany na wodę, zwane dzbanami Piłata. I książki, całe szafy wypełnione książkami: małe modlitewniki, opasłe księgi oraz ogromne, ważące po 20 kg tomy Ewangelii i Żywotów Świętych.

Jeden z kapłanów dźwiga ciężką księgę, a drugi przewraca strony z najciemniejszej i najbielszej ko-

ziej skóry, na których równymi rządками bieżą teksty zapisane etiopskim pismem w starożytnym języku gyyz – a święte imiona wyróżnione są czerwonym kolorem. Wszystko w cudownym, naiwnym stylu przypominającym bardziej niż ikony – romańskie miniatury.

Stary, zasuszony kapłan wyciąga współczesną broszurę i żelaznym krzyżem wskazuje ilustrację na okładce, przedstawiającą innego siwego męża, przed którym czołga się poskręcany zielony wąż. Starzec z okładki to Święty Johannes, założyciel klasztoru Kibran Gabriel. Po latach poświęconych nawracaniu pogan, ów święty mąż oddał się modlitwom i umartwieniom na tej właśnie wyspie, na niej także zmarł w wieku 107 lat, a wydarzyło się to około roku 1100. Żelazny krzyż, którego nasz kapłan używa jako wskaźnika, był niegdyś własnością św. Johannis. Takie to cuda ujrzeć można na wyspie na jeziorze Tana, w Etiopii, która sama jest wyspą chrześcijaństwa w morzu – niegdyś pogaństwa, a dziś – islamu.

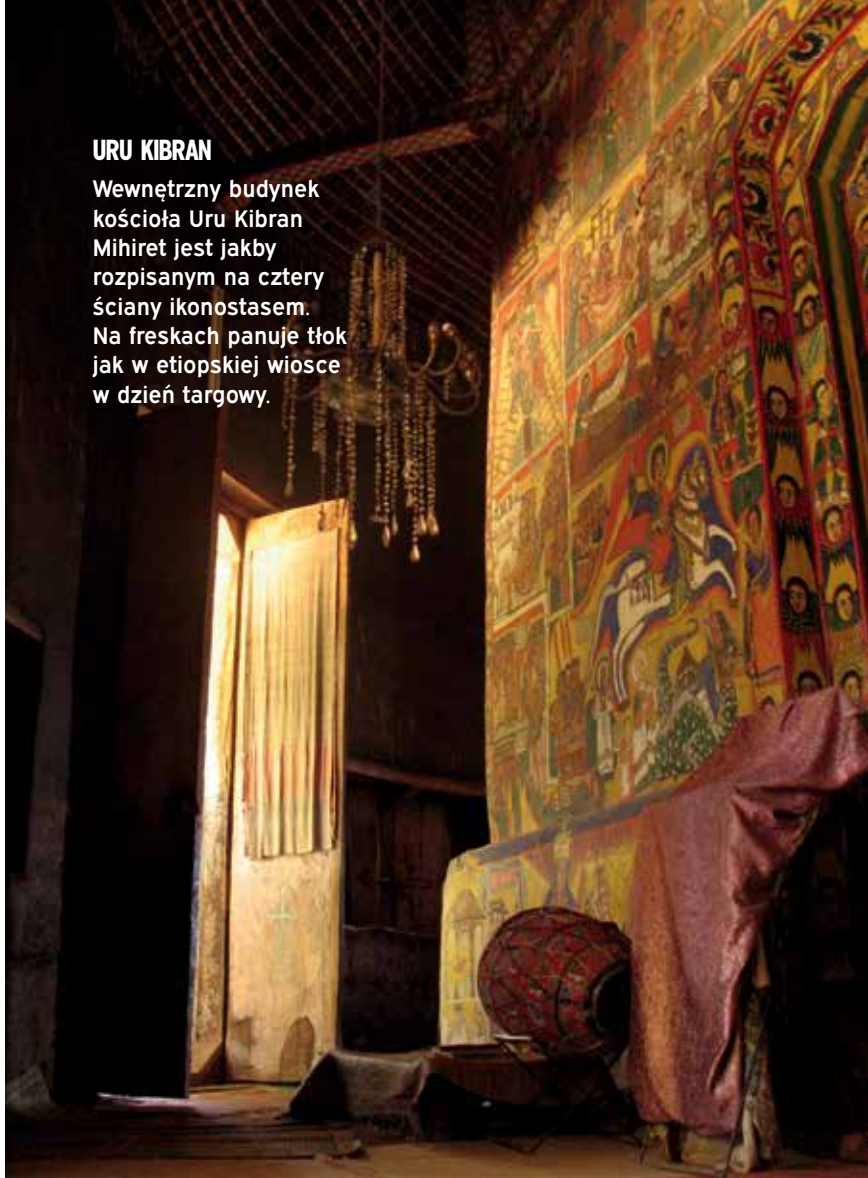
WOLA BOŻA

Naszą rozmowę przerywa młody kapłan, w żółtej szacie i jasnej czapeczce, który klęka najpierw przed starym księdzem i całuje go w rękę, a następnie prosi nas, byśmy zabrali go ze sobą na brzeg. Nie jest on członkiem monastycznej wspólnoty z tej wyspy, mieszka w dalekim Debre Libanos i tylko przebywał tu jakiś czas z wizytą. Zapraszamy go do łodzi i – podczas gdy Malaku pruje w stronę Bahir Dar – prowadzimy z księdzem teologiczną dysputę, godną soboru chalcedońskiego.

Szczerząc wystające siekacze, ksiądz pyta nas, czy jesteśmy członkami kościoła etiopskiego. Gdy odpowiadamy, że jesteśmy katolikami, kapłan zasępią się i mówi, że katolicy to nie chrześcijanie, a jedyna prawda i zbawienie są tylko w kościele etiopskim. Etiopczyk Uorku odpowiada mu na to, że choć w ich kraju jest tak wielu ubogich i głodujących, to nie pomagają im kościół ortodoksyjny, a właśnie przyjezdni – głównie katolicy i protestanci. Ksiądz jednak nie daje się zbić z tropu: kościół nie został założony po to, żeby pomagać biednym, bo jeśli istnieją ludzie biedni, to taka jest widoczna wola Boża. Jednak po chwili ksiądz rozpogadza się i dodaje, szczerząc znów białe zęby: „Ale skoro wy, katolicy, tak bardzo chcecie pomagać biednym, to czemu nie dacie mi pieniędzy na bilet do Debre Libanos?” ○

URU KIBRAN

Wewnętrzny budynek kościoła Uru Kibran Mihiret jest jakby rozpisany na cztery ściany ikonostasem. Na freskach panuje tłok jak w etiopskiej wiosce w dzień targowy.





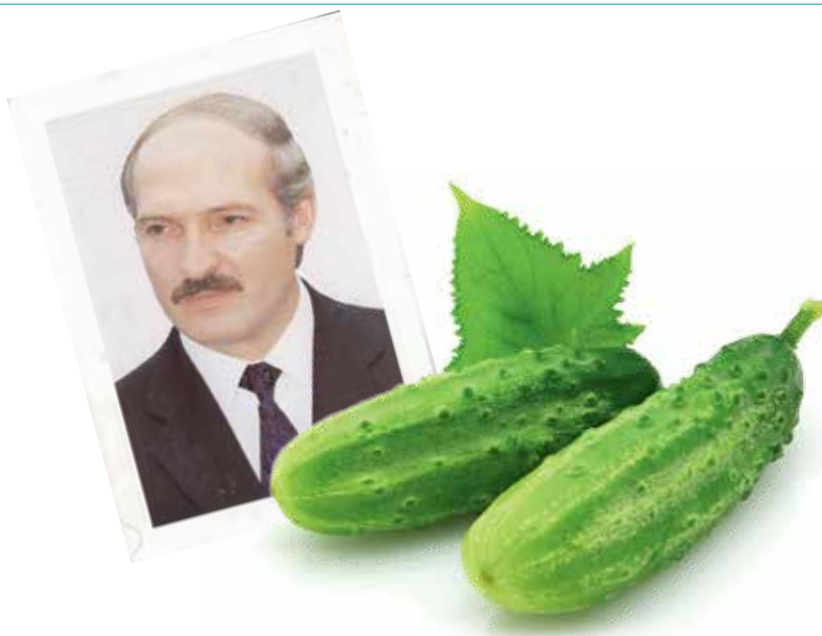
Każdy zakątek na Ziemi musi mieć coś „naj”. Najdłuższe, najstarsze, najbrzydsze – wszystko jedno, byle wyjątkowe. A spróbowałbyś, przybyszu, nie wierzyć!

ŁUKASZENKA A OGÓRKI

Kiedy prawie dwa lata temu zawitałem do Jerycha, pozwoliłem sobie wyrazić pewne zdumienie faktem, iż miasto to tytułuje się „najstarszym na świecie” – bo w kilku takich najstarszych już byłem. W mojego taksówkarza jakby piorun strzelił. To znaczy – chwilowo, bo najpierw rzeczywiście zamienił się w bliźniący słup soli, by po kilku minutach dość do siebie i zacząć mnie gorączkowo przekonywać, że jestem kompletnym ignorantem, a Jerycho „obiektywnie jest najstarsze”. Nieśmiało napomykanie, że irański Jazd też liczy sobie 6 tysięcy lat (choć nieirańscy historycy gotowi są dać mu jedynie połowę tego), tyleż samo winszuje sobie Damaszek, a libańskie Byblos przebija konkurencję kolejnym tysiącem – tylko pogorszyło moją sytuację. Zrozumiałem, że nie mogę liczyć ani na poczucie humoru mego rozmówcy, ani na zrozumienie – na nic, zero litości dla oszczercy.

Czasem dokładne wyliczenie tego co „naj” jest po prostu trudne, by nie powiedzieć niemożliwe. Przykład? Najludniejsze państwo świata? Na tak postawione pytanie każdy odpowie: Chiny. „A kto ich kiedykolwiek policzył?” – zbił mnie kiedyś z pantofelki jeden z bardziej znanych polskich demografów. I zaczął zasypywać opowieściami o tym, że prawdopodobnie już teraz Indie mają więcej mieszkańców niż Chiny, a 150 milionów (z hakiem) obywateli Nigerii poddawane jest powszechnie w wątpliwość. Tam sprawa była prosta; skorumpowane władze zawyżały (czasem wręcz dublując!) liczbę mieszkańców w raportach dla ONZ. Wszystko po to, by dostać większą pomoc...

Dotarcie do źródeł Amazonki to nie lada problem, nic więc dziwnego, że o uznanie się za odkrywcę tegoż toczą się bardzo poważne spory. Z Nilem jest prościej: źródeł jest kilka i każde jest „naj”. Najważniejsze



i zdecydowanie najbardziej turystyczne to ugandyjskie Jinja. W zasadzie Jinja to miasto, ale leży w miejscu, gdzie z Jeziora Wiktorii wypływa Nil Biały. W mieście są hotele, firmy dla turystów chcących sobie popływać (polatać, ponurkować, pobyczyć się). Wszystko jest fajne, międzynarodowe, bezpieczne, a w dodatku Jinja brzmi prawie tak fajnie, jak jinja.

Ale są i inne źródła – w Rwandzie najdłuższe, a w Burundi to najbardziej wysunięte na południe. No i bezsprzecznie najbardziej groteskowe. Samo źródło wygląda – klnę się na wszystkie świętości, że nie zmyślam – następująco: ze sterty kamieni wystaje rurka. Rurka nieduża, ze trzy centymetry średnicy, niepozorna. Z rurki ciurka woda. To Nil Biały. Już, wszystko, po sprawie. Nil Biały odkryty. Super, nie?

Owe trzy źródła koegzystują ze sobą i tylko najwięksi szowiniści uważają, że „na-

sze jest jedyne”; sporów o to specjalnych nie ma. Ważne, że każde dodaje swemu państwu splendoru. W ten sposób i Uganda, i Rwanda, i Burundi mogą reklamować się jako „Kraj Źródeł Nilu”, co im pomaga jak umarłemu kadzidło, bo w powszechnej opinii wszystkie te państwa kojarzą się raczej z ludobójstwem i psychopatycznymi tyranami w rodzaju Idi Amina, ale to zupełnie inna sprawa.

Terapeutyczną, podnoszącą narodową dumę, funkcję pełniły rozmaite „naj” w państwie, które samo w sobie było „naj”. Mowa o Związku Sowieckim – największej, najwspanialszej i najważniejszej ojczyźnie światowego proletariatu. Proletariat lokalny dość szybko oswoił sobie ogrom swojej ojczyzny, nad którą nigdy nie zachodziło słońce. Dała o sobie znać naturalna potrzeba istnienia hierarchii. I tak, wszystko zostało nazwane.

Najlepsze kiszone ogórki w całym Związku Sowieckim? Wiadomo, w litewskich Trokach, tudzież w białoruskim Szklowie koło Mohylewa. Skądinąd, dyrektorem szklowskiego kołchozu, który na tych ogórkach zarabiał był sam Aleksander Łukaszenko. „Ale jak to, skąd wiadomo, kto orzekł, że najlepsze?” – wszystkie te pytania zadawać mogli wyłącznie ludzie małej wiary. Tam są najlepsze kiszone i już, a taki ogórek to, wiadoma rzecz, niezastąpiona zagrycha, więc i sława Szklowa czy Troków rozlewała się szeroko.

Co ciekawe, byłem w Trokach kilka miesięcy temu i o tych najcudniejszych ogórkach już prawie nikt nie wspominał. Wszyscy kazali mi za to podziwiać zamek Kiejstuta na jeziorze (zdaje się, że za komuny też stał, ale widocznie nie był aż tak ważny) i jeść kibiny – pierogi z jagnięciną, tradycyjnie przyrządzane przez tamtejszych Karaimów. Tu przynajmniej rozumiem, że za panowania proletariatu mogły występować przejściowe, półwieczne, trudności z zaopatrzeniem w jagnięcinę. Ale ogórki? Przestali nimi zakąsać, czy co? Cóż, może i sława ogórków przeminęła ze Związkiem Sowieckim.

Z pewnością stało się tak z piwowarską sławą kazachskiego Szymkentu, ale umówmy się, że była to sława mocno wątpliwa. Miasto to słynęło bowiem z najlepszego piwa Żygułowskiego. I tu należy się drobne wyjaśnienie – otóż w całym Sojuszu, od Władywostoku po Kaliningrad, produkowano w zasadzie jedno piwo – „Żygułowskie” właśnie. To ono, wraz z szamponem „Bogacz Sadko”, płynem przeciwupiężowym i kilkoma innymi specyfikami – zostało uwiecznione przez samego Wieniczkę Jerofiejewa w „Moskwa – Pietuszki”. No i ów kazachski Szymkent, dziura potworna, choć półmilionowa, miał produkować najlepsze „Żygułowskie” w całej ojczyźnie proletariatu. Jego sława trwała jeszcze w połowie lat 90., kiedy to połowa pasażerów pociągu wysypywała się w Szymkencie na dworzec, by kupić choć kilka butelek tego cud-nektaru. Co ciekawe, dziś Wikipedia podaje wiele powodów chwały Szymkentu, ale o piwie nie wspomina, a jeszcze kilkanaście lat temu kazachskie babuszki woziły je pociągami na bazar w Moskwie. Ech, ten kapitalizm – niczego nie uszanuje!

Kiedyś na sławę pracowały całe pokolenia, dziś, w dobie internetu, można jej sobie przysporzyć szybko. Aż dziw, że nie próbują. Znam najmniejsze miasto w Polsce (podobno Wyśmierzyce, w połowie drogi między Radomiem a Grójcem), ale czy to wyczerpuje pomysłowość rodaków? A najwyżej czy najniżej położone, najcieplejsze czy wreszcie miasto z najbrzydszym burmistrzem? Internauci, do dzieła! ○

Poznaj Świat

na

www.poznaj-swiat.pl



JEDWABNYM SZLAKIEM

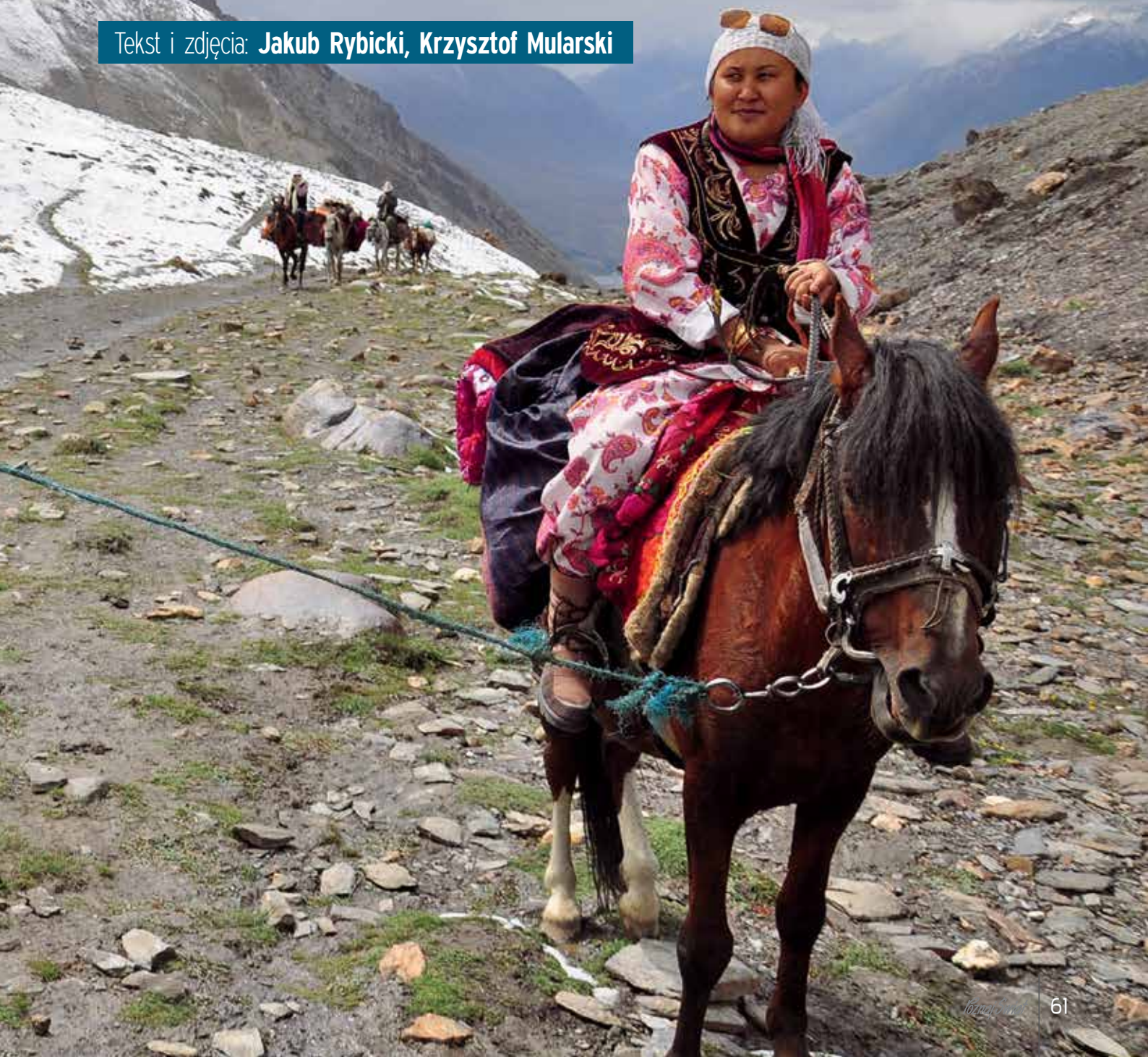
Korytarz Wachański był naturalnym łącznikiem między Centralną Azją a Chinami, przez stulecia przemierzany przez kupców i handlarzy.

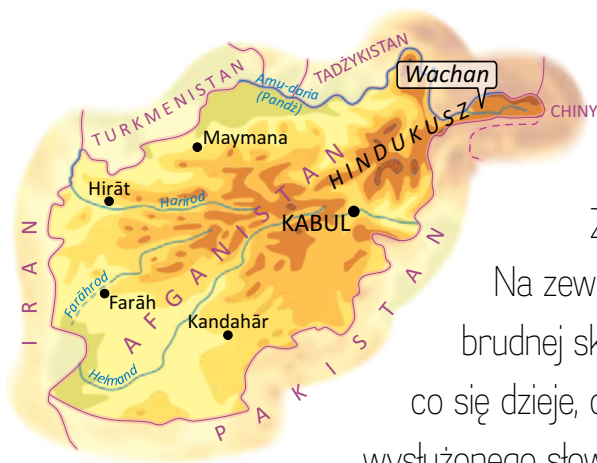


AFGANISTAN

JAK ZA PIASTA

Tekst i zdjęcia: **Jakub Rybicki, Krzysztof Mularski**





„Gyrk! Gyrk!” Oszur zrywa się z miejsca, ściągając ze ściany fuzję pamiętającą zapewne czasy wojny Afganistanu z Imperium Brytyjskim i wybiega z ciemnej, zadymionej izby. Za nim Dżam Bek, za Dżam Bekiem Nazan, za nimi kobiety.

Na zewnątrz słychać ujadanie psów i jakieś krzyki. A my siedzimy na brudnej skórze przy palenisku, dopijając nerwowo szir czoj, nie wiedząc co się dzieje, co robić? Nie po raz pierwszy i nie ostatni. Sięgam do wysłużonego słowniczka, żeby sprawdzić, cóż ten gyrk znaczy.



A tu – nic. Wolne terytoria, formalnie tylko pozostające pod zwierzchnictwem jakiejś władzy w Kabulu czy Fajzabadzie.

Wokół Afganistanu istnieje wystarczająco wiele mitów. Wiadomo, że wojna, że Talibowie i że lepiej tam nie jechać, nie myśleć nawet. Polscy żołnierze, bezzałogowe samoloty, kryjówki w górach. Niestety, wiedza z telewizji jest, jak to zwykle bywa, daleka od realiów. Przynajmniej w Wachanie. Z zestawu standardowych pytań po powrocie: „I co, nie zabili Cię?”. Nie zabili. „A widziałeś Talibów?”. Nie widziałem. I standardowe: a po co, a gdzie to, a jak to, a kto tam, itd. Dlatego, na początek – krótki wstęp krajoznawczy.

CO TO

Wachan jest wąskim korytarzem ciągnącym się między górami Pamiru i Hindukuszu. Od północy graniczy z Tadzycystanem, od wschodu z Chinami, a od południa z Pakistanem. Szerokość korytarza waha się od 13 do 60 km. Ma 350 km długości, z czego ok 180 km można przejechać dobrym samochodem terenowym lub kamazem. Środkiem doliny płynie Pandz, czy, jak kto woli, Amu-Daria.

SKĄD SIĘ WZIĄŁ

W XIX wieku w Azji Centralnej toczyła się tzw. „wielka gra mocarstw” – imperiów brytyjskiego i rosyjskiego. Rosjanie podbili emirat Buchary oraz chanaty Chiwy i Kokand, zbliżając się do granic Afganistanu, który uparcie – i nieskutecznie – próbowali zająć Brytyjczycy. Ostatecznie

SZACUNEK

Kobieta całująca dłoń starszego mężczyzny. Tu jeszcze długo obyczaje się nie zmienią.

Pamiętacie lekcje historii, o życiu w czasach pierwszych Piastów? Kto uważał, ten pamięta. Były też obrazki. Więc, wchodząc po raz pierwszy do domu ubogiej rodziny afgańskich pasterzy, poczułem się dokładnie tak: jestem w książce do historii. Tylko że mój obrazek jest mniej wymuskany. Dotkniesz, to się pobrudzisz. Ale jeśli już się pobrudzisz – to może zrozumiesz?

Jesteśmy w Wachanie, północno-wschodniej części Afganistanu, a jeszcze dokładniej – w Małym Pamirze. W promieniu kilkunastu kilometrów w każdą stronę – Tadzycystan, Chiny, Pakistan.



obie strony ustaliły, że całe królestwo Afganistanu będzie strefą buforową pomiędzy „graczami”. Jednocześnie, „aby granice mocarstw nigdy się nie zetknęły” do Afganistanu został wcielony wąski pas ziemi w północno-wschodniej części kraju, dotąd rządzący się zupełnie samodzielnie. Czyli – Wachan właśnie.

KTO TAM JEŹDZI

Korytarz Wachański odgrywa w historii świata rolę ważną, choć drugoplanową, jako jeden z najtrudniejszych odcinków jedwabnego szlaku. Był naturalnym łącznikiem między Centralną Azją a Chinami, przez stulecia przemierzany przez kupców i handlarzy. Jednym z pierwszych Europejczyków, którzy przemierzali Wachan, był Marco Polo, który uczynił to w 1271 roku.

Przez wieki, niewielu ludziom Zachodu było dane gościć w tych stronach. Sytuacja zmieniła się w drugiej połowie XX wieku. Najpierw kilkunastu Francuzów przemierzyło z pasterzami korytarz, potem zaczęli tłumnie ściągać alpinisci, którzy jednak koncentrowali swoją działalność w centralnej, stosunkowo łatwo dostępnej części doliny.

Następnie przybyli Rosjanie, którzy – nie wiedząc czemu – uznali, że wysokie góry będą wspaniałym miejscem na bazy wojskowe. Zbudowali pierwszą utwardzoną drogę, która umożliwiła późniejszym wędrowcom podróż do podnóża Pamiru. W czasie wojny, przez ponad 20 lat nie stanęła tam europejska, nieradziecka stopa. Nie, żeby w Wachanie toczyły się jakiegokolwiek walki. Tamtejsza

ludność jest nastawiona wyjątkowo pacyfistycznie, a czasów „okupacji” rosyjskiej nie wspominają szczególnie źle. Bo i co Rosjanie mogli okupować? Ściągać haracze w postaci owczych skór i jaczego mleka? Brać pierworodnych do armii? Niszczyć mikropoletka pszenicy? Nic takiego się nie działo. Wachowie, nawet gdyby chcieli, nie mieli możliwości walki. Jediną bronią palną, jaką dysponowali, były fuzje, często pamiętające cara. Amerykanie, hojnie wspierający mudżahedinów w centralnej części kraju, nie mieli możliwości dostarczania broni w niedostępne góry. Wątpliwe zresztą, by zdawali sobie sprawę z istnienia Wachanu.

Dopiero w początkach XXI wieku pierwsi poszukiwacze przygód – w pełnym tego słowa znaczeniu – zaczęli penetrować zapomnianą dolinę. Epoka „odkrywców” trwała krótko – zaczęła kończyć się mniej więcej 4-5 lat temu, gdy liczba turystów zaczęła gwałtownie wzrastać. O ile w 2006 roku mogło być to kilkanaście osób, to w 2010 – bez wątplenia kilkadziesiąt. Wystarczająco dużo, aby jak grzyby po deszczu zaczęły wyrastać dotowane przez fundację Aga Khana tzw. „guest houses” czyli minihoteliki. Hotelik taki składa się z izby, w której możemy się przespać i gospodarza, który ugości nas jedzeniem, żądając potem horrendalnej sumy pieniędzy.

Dlatego warto wiedzieć, że takie izby posiada wiele, co bogatszych, domów – i są tam przyjmowani nie-zagraniczni goście. W wioskach, do których nie dotarł jeszcze kapitalizm, godne podjęcie gościa jest obowiązkiem wójta wioski. Nie będzie również żądał on za to pieniędzy.

NEGOSĆINNA NATURA ŻYCZLIWI LUDZIE

Wachan jest wąskim korytarzem ciągnącym się między górami Pamiru i Hindukuszu. Jałowe tu góry i skąpo zazielenione doliny. Ludzie na widok wolno jadącego pojazdu przerywają pracę w polu. Zza traw wychylają się coraz to nowe czerwone punkty. To kobiety prostują plecy i wyciągają ręce, by nas pozdrowić.

KTO TAM MIESZKA

W Dolinie Wachanu żyją Afgańczycy, czyli obywatele Afganistanu. W tym wypadku są to etniczni Tadžycy i Wachowie. A wyżej, już w górach Pamiru, Kirgizi. Kirgizi mówią po kirgiskiu, Wachowie po wachijsku, a Afgańczycy (Tadžycy) po afgańsku, czyli w lokalnej odmianie języka Dari, który jest z kolei afgańską odmianą języka Farsi, czyli perskiego, którym mówi się w Iranie. Żeby ogarnąć to całe zamieszanie, większość mężczyzn zna co najmniej dwa języki.

Niestety, nie będzie to ani angielski, ani rosyjski. Znajomość angielskiego w większości przypadków sprowadza się do „no problem” i ewentualnie „what is your name?” Trzeba przyznać, że w kilku szkołach są nauczyciele angielskiego, jednak ich znajomość języka raczej nie przekracza poziomu naszej podstawówki. Innymi słowy, chcąc dogadywać się z wieśniakami, musieliśmy nauczyć się Dari.

KURNA CHATA

Na środku izby – palenisko, na którym kobiety przez cały dzień smażą chleb i gotują herbatę. Wszędzie jest pełno dymu, który uchodzi przez jedyny otwór – w dachu.

ZDOBYWCY GÓR ODPOCZYWAJĄ

Jesteśmy w Kazi Deh, pierwszej większej wiosce w Wachanie. Właśnie zeszliliśmy z gór, wycieńczeni, chudzi tak, że moglibyśmy spokojnie grać

więźniów gułagu. Za nami miesiąc w afgańskim Hindukuszu. Nakarmiono nas i zaprowadzono do guesthouse’u. Przed nami – kolejne 300 km drogi. Niezwłocznie po zjedzeniu dwóch kilo ryżu dopadła nas biegunka, która miała nam wiernie towarzyszyć aż do końca. Serdecznie polecam udającym się w tę część świata zabranie leków przeciw lamblizie.

Gdy nieco wydobrzeliśmy i byliśmy już w stanie wyjść na drogę, ze zdumieniem odkryliśmy, że w wiosce są sklepy! Zakupiliśmy kilka puszystych ciasteczek produkcji irańskiej, oraz kilka produkcji afgańskiej, o smaku truskawkowym. Producent najwyraźniej zapomniał o nadzieniu, co nie psuło jednak smaku. Przez następne dwa tygodnie mieliśmy śnić po nocach o pysznych, rozpluwających się w ustach irańskich łakociach... i pluć sobie w brodę, dlaczego nie kupiliśmy ich więcej. Naïwnie wierzyliśmy, że gdzieś tam, w głębi doliny, będzie przynajmniej jeden sklep...

NA PACE INACZEJ

Ruszyliśmy piechotą. A tu proszę, biegnie za nami szofer stojącej przy drodze ciężarówka. Każę wsia-



Na początku była góra

Najwyższa góra Afganistanu, Noszak. To ona była bezpośrednią przyczyną naszego pojawienia się w zręcznym omijanym przez światowe media zakątku tego, jakże często goszczącego w „newsach” kraju. Bo nudno. Nie strzelają.

Pomysł zdobycia góry w 50. rocznicę pierwszego polskiego wejścia wyszedł od Krzysztofa Mularskiego i Łukasza Jabłońskiego, który z przyczyn zdrowotnych nie mógł niestety wziąć udziału w wyprawie. Ostatecznie wyjechaliśmy we czwórkę – Wojciech Kapturkiewicz, Paweł Krzywicki, Krzysztof Mularski i Jakub Rybicki. Naszym celem było przywrócenie w świadomości środowiska alpinistycznego istnienia Hindukuszu Afgańskiego i zbadanie możliwości jego bezpiecznej eksploracji.

Byliśmy jedną z trzech grup Polaków odwiedzających w tym roku Wachan. Jedna z nich postawiła sobie podobny do naszego cel, osiągając dużo bardziej spektakularne sukcesy, zdobywając m.in. kilka dotąd „dziewiczych” sześciotysięczników. My ograniczyliśmy się do „odkrycia na nowo” doliny Mandaras. Byliśmy pierwszymi od ponad 30 lat ludźmi, którzy postawili stopy w tym przepięknym zakątku Hindukuszu. Następnie, wraz z Krzysztofem, dokonaliśmy pierwszej od 33 lat próby wejścia na Noszak.



sy, zdobywając m.in. kilka dotąd „dziewiczych” sześciotysięczników. My ograniczyliśmy się do „odkrycia na nowo” doliny Mandaras. Byliśmy pierwszymi od ponad 30 lat ludźmi, którzy postawili stopy w tym przepięknym zakątku Hindukuszu. Następnie, wraz z Krzysztofem, dokonaliśmy pierwszej od 33 lat próby wejścia na Noszak.

dać. Nie prosi. Każe! Chętnie godzimy się na taki układ, bo kto chciałby iść całe 300 kilometrów przez półpustynię?

Silnik ryczy niemilosiernie pod ciężarem kilku ton drewna i kilkunastu mężczyzn. Toczmy się majestatycznie z prędkością kilku-kilkunastu kilometrów na godzinę – to pośród pustyni, to znów łąnów zboża. Ludzie na widok wolno jadącego pojazdu przerywają pracę w polu. Zza traw wychylają się coraz to nowe czerwone punkty. To kobiety prostują plecy i wyciągają ręce, by nas pozdrowić. Samochód jest tu wciąż na tyle rzadkim zjawiskiem, że warto dla niego oderwać się od orki.

Jechaliśmy na pacy z drewnem przez dwa dni, robiąc w tym czasie 70 km. Zatrzymywaliśmy się często, aby załadować strategicznie rozmieszczone przez jakąś niewidzialną siłę drewniane belki. Czasem leżały one tuż przy drodze, a czasem trzeba było wjechać do wioski. Wieczorem dnia pierwszego dojechaliśmy do Urgentu, niewielkiego kiszłaku, gdzie nie było na szczęście guesthousu, więc zostaliśmy ugoszczeni przez... trudno powiedzieć kogo. Dziadek w potężnym turbanie, z długą brodą i w dużych okularach z rogową oprawką, miał na imię Eszek Bek i uśmiechał się przyjaźnie. Zajmował się sprzedażą herbaty i leniwymi pogaduszkami ze swoim kumpłem Zar-Walem. Spał na dużym

podwyższeniu, pod gołym niebem, w tym samym miejscu, gdzie przesiadywał cały dzień.

Eszek Bek zaprosił nas do kolacji, którą akurat z Zar-Walem spożywaliśmy. Uczta była to nie lada, bo w tradycyjnej misce ryżu gdzieś tam pochowane były małe kawałki mięsa! Połykałem je od razu z kośćmi. Zjedliśmy, wypiliśmy kilka szklanek herbaty.

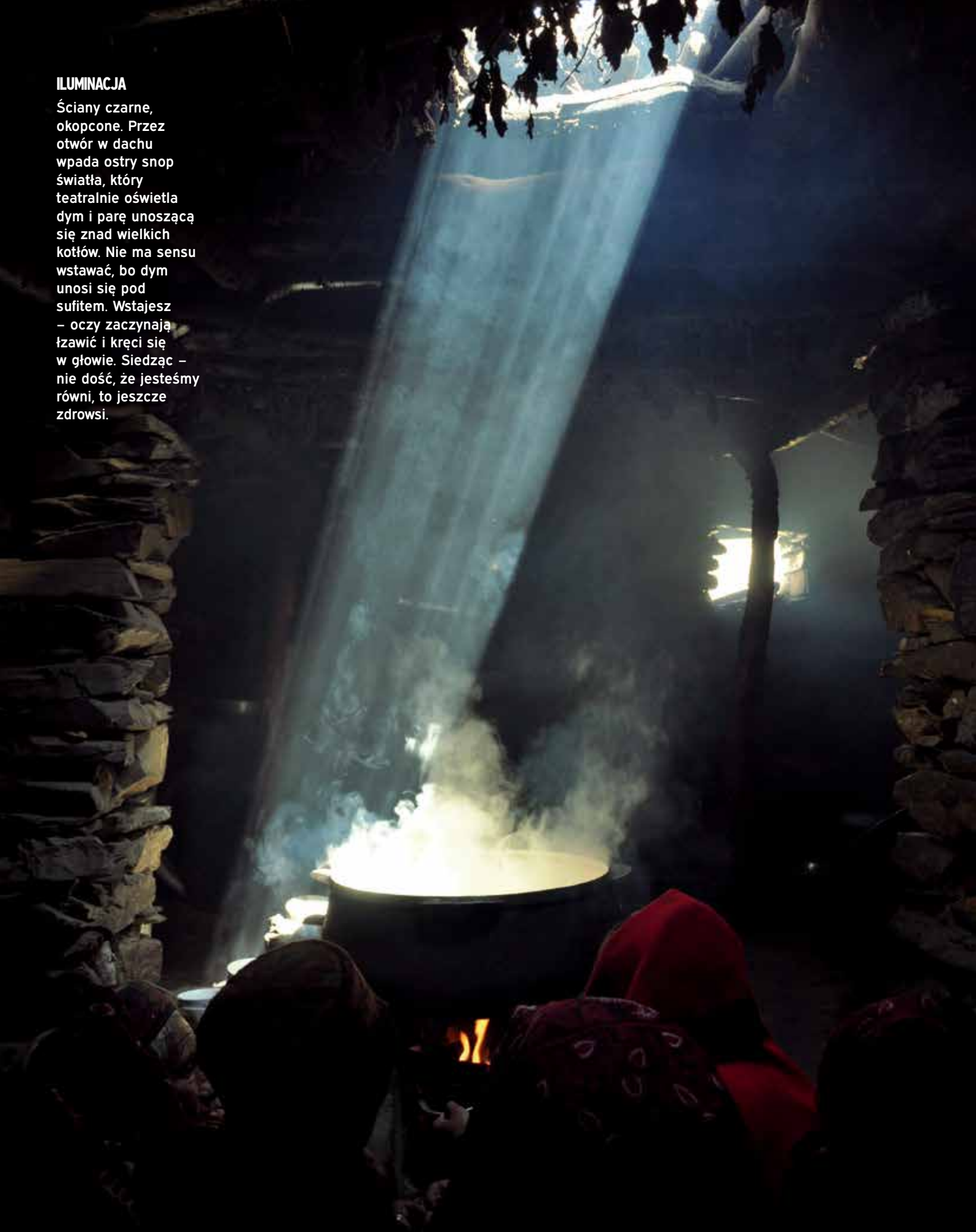
POD GWIAZDAMI

– A teraz – idziemy spać – ogłosił Ahmed i ku naszemu zdumieniu zaczął mościć sobie posłanie pod gołym niebem. My za nim. Widzę wychylające się zewsząd ciekawskie oczy. Ach, cóż za sensacja! Najpierw pół wioski obejrzało nas tak, jak staliśmy, jak siedzieliśmy, jak jedliśmy. Czy przypadkiem niejemy inaczej niż oni. A może zrobimy coś dziwnego i będą mieli o czym opowiadać przez całą zimę?

Tak więc, próbowaliśmy zasnąć, otoczeni przez całą wioskę (płci męskiej), żywo dyskutującą na nasz temat. Co chwila ktoś podchodzi, krzyczy coś wesołego, poświęci latarką po oczach, roześmieje się i ustąpi miejsca kolejnemu ciekawskiemu. Po godzinie dali nam wreszcie spokój. Całe szczęście, bo akurat poczułem, że koniecznie muszę iść do

ILUMINACJA

Ściany czarne,
okopcone. Przez
otwór w dachu
wpada ostry snop
światła, który
teatralnie oświetla
dym i parę unoszącą
się znad wielkich
kotłów. Nie ma sensu
wstawać, bo dym
unosi się pod
sufitem. Wstajesz
– oczy zaczynają
łzawić i kręci się
w głowie. Siedząc –
nie dość, że jesteśmy
równi, to jeszcze
zdrowsi.





toalety, którą był w tym przypadku kanał nawadniająca pole...

Rano oczekiwaliśmy kolejnego tłumu fanów, ale nic z tych rzeczy. Praca na polu jest jednak ważniejsza od jakichś tam przybyczy z obcych światów. Pojawiły się za to kobiety, proszące o lekarstwa dla dzieci. Po śniadaniu i zabawie w znachora zaprowadzono nas z powrotem do ciężarówki.

Ruszyliśmy w dalszą drogę. Z każdą mijaną wioską drewna przybywało, a my siedzieliśmy coraz wyżej i wyżej. W końcu stary Kamaz nie wytrzymał i stanął, a nam kazano iść dalej. Daleko jednak nie uszliśmy, ciężko jest iść przez pustynię w samo południe.

Na szczęście, które ponoć sprzyja zuchwałym, nie posłużyliśmy za pokarm dla sępów. Nadjechał kolejny Kamaz, tym razem z betonem. Dowiózł nas daleko, daleko, do budowy mostu, przy której uwijało się kilkadziesiąt osób. Jeszcze kilka lat temu mostów w dolinie nie było w ogóle – i przejazd autem przy wysokim stanie rzek był niemożliwy. Teraz, dzięki pomocy Niemców i fundacji Agi Khana, mostów jest kilka, chociaż i tak nie uda się przejechać samochodem osobowym.

SPOTKANIE W DRODZE

Dziadek w potężnym turbanie, z długą brodą i w dużych okularach z rogową oprawą, miał na imię Eszek Bek i uśmiechał się przyjaźnie. Zajmował się sprzedażą herbaty i leniwymi pogaduszkami ze swoim kumpłem Zar-Walem.

PIERWSZA KAPIEL W AFGANISTANIE

Następnego dnia Land Cruiser z niemieckim doktorem podwiózł nas kilkadziesiąt kilometrów do wioski Kepkut. Zostaliśmy tam ugoszczeni przez Halifazejna, który okazał się być wspaniałym gospodarzem. Przede wszystkim, nie miał irytującego zwyczaju gapienia się, jak jemy. Zapewniał za to rozrywki kulturalne. Wieczorem wszyscy domownicy (naturalnie z wyjątkiem kobiet) zebrali się w naszym pokoju i został zaimprovizowany koncert na bałałajce. Najstarszy syn gospodarza gra i śpiewa, sąsiad gra na bębnie z pojemnika na wodę,

MŁÓCKA NA KOŃCU ŚWIATA

Kilkanaście związanych w rząd osłów jest ganiane w kółko po rozsypanym zbożu, które co i raz jest przrzucane widłami. Rolnictwo jest wciąż na poziomie drewnianej sochy, radła i innych przyrządów z epoki średniowiecza. Na polach królujecie trójpolówka.





dzieci tańczą i klaszczą w dłonie. Tak się bawi, tak się bawi AF-GA-NISTAN! Wakacje bez cepelii.

W Kepkucie nastąpiło doniosłe wydarzenie – pierwsza od miesiąca kąpiel. Afgańczycy nie grzeszą przesadnym umiłowaniem higieny, ale potrafią korzystać z dobrodziejstw natury, która obdarowała ich licznymi gorącymi źródłami. Stawia się nad takim źródłem budynek i mamy czysznię, czyli miniłaźnię. Mogliśmy wreszcie rozkoszować się gorącą wodą o zapachu zgniłego jajka. Za oknem – ośnieżone szczyty Hindukuszu. I znowu cieszę się, że jestem na wczasach tu właśnie, a nie na przykład w Jastarni.

W MAŁYM PAMIRZE

Następnego dnia organizujemy konie. Żaden Afgańczyk nie puści samopas swego rumaka, dlatego w zestawie mamy też właścicieli. Mało kto może sobie pozwolić na utrzymanie dwóch wierzchowców. Nam będą towarzyszyć Dżam Bek i Nazan Halim.

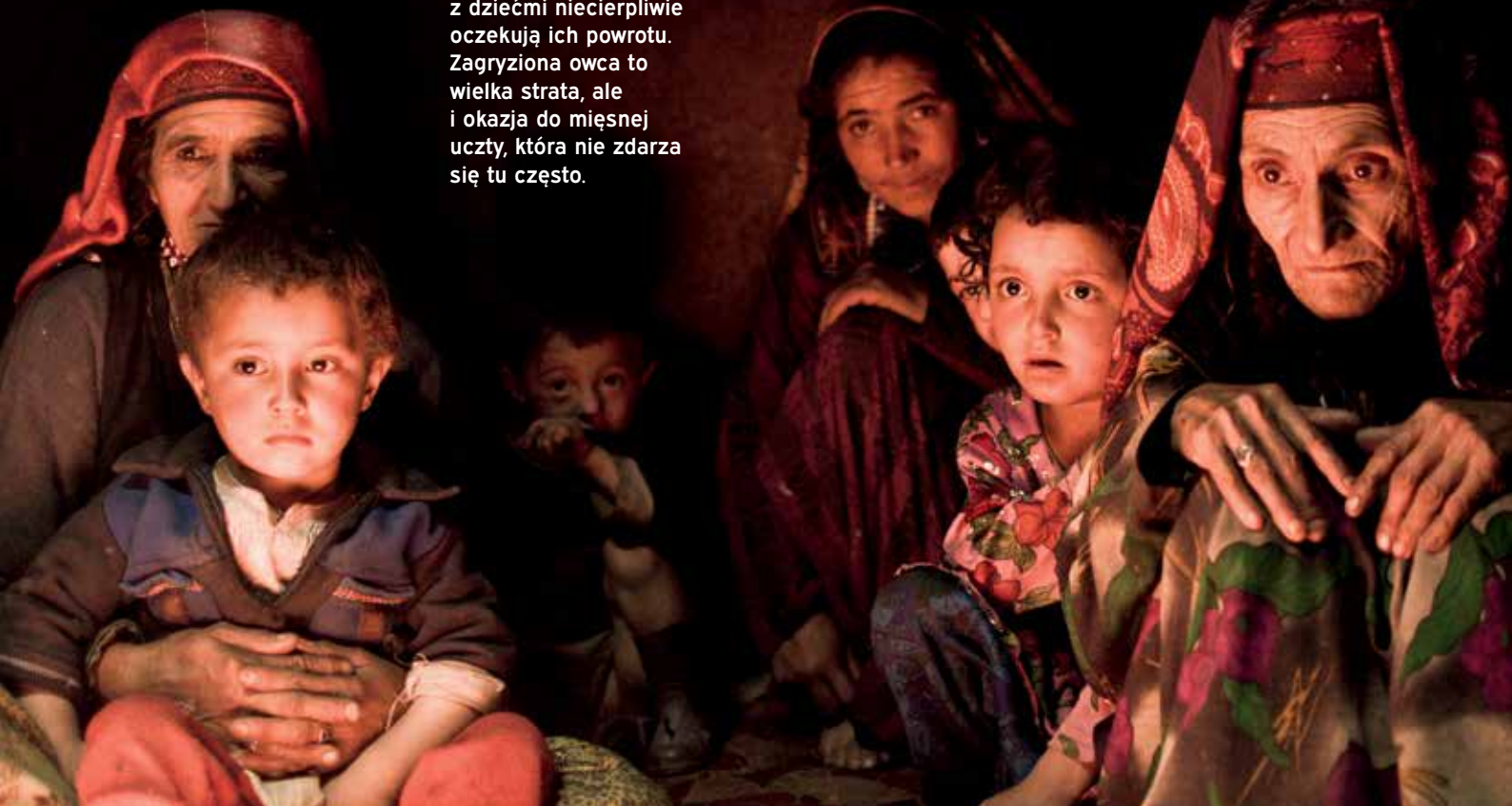
Już pierwszego dnia zgrzytnęło. Nasi Wachowie są bardzo troskliwi. Szkoda, że tylko dla koni. Często musimy zsiadać z siodła, bo zwierzaki nie dają rady pod górkę. Rozumiem. Ale Krzysiek ma lekko odmrożone stopy i nie może zbyt długo iść. Więc tak trochę idziemy, trochę jedziemy. W końcu orientujemy się, że coś już za długo. A oni nagle... znikają nam z oczu! Uciekli, żeby koń afgański nie uginał się pod ciężarem europejskiego pana.

Krzysztof idzie wolniej i wolniej, a ja szybciej i szybciej, żeby dogonić totrów. Gdy w końcu dogoniłem, rozpalali już ognisko. Przy pomocy najlepszych polskich przekleństw ze wstawkami w Dari udzieliłem uciekinierom takiej reprimendy, że Nazan od razu pogalopował po Krzyska, a Dżam Bek pojednawczo podstawił mi herbatę. Nie uciekali nam więcej. Nasza dalsza współpraca przebiegała doskonale.

W Sang-Nawishta, niewielkim osiedlu pasterskim położonym na ponad 4000m. Nazwa osady oznacza „rysunki na skale”. Nietrudno się domyślić, co możemy tam znaleźć. Chodzi raczej o skalę. Na obszarze ok. 1km na kilkudziesięciu kamieniach są porozrzucane rozmaite wyobrażenia przedstawiające zwierzęta, wojowników, polowania. Trudno orzec, ile mają lat. Kilkaset? Kilka tysięcy? W końcu – co to za różnica, przecież tu i tak się nic nie zmieniło. Może tylko uzbrojenie myśliwych: łuk zastąpiła dwururka. Na odchodnym starszy z rodu żąda 50 dolarów. Od osoby. Dajemy po 5. Dumny Wachijczyk rzuca pieniądże na ziemię i spluwa na tak marną zapłatę: *Amerykanie płacą 50!* Wiemy, słyszeliśmy.

OCZEKIWANIE

Mężczyźni pobiegli za wilkiem, kobiety z dziećmi niecierpliwie oczekują ich powrotu. Zagryziona owca to wielka strata, ale i okazja do mięsnej uczty, która nie zdarza się tu często.



POLOWANIE NA GYRKA

Kolejnego dnia składamy wizytę rodzinie Dżam Beka, która mieszka w trzech lepiankach, pośrodku niczego. Kilka psów leży leniwie na boku. Nawet nie warkną na nasz widok. Nie ziewną. Oka nie otworzą. Oszur – brat Dżam Beka – niezwykle cieszy się z wizyty i ugascza nas czym chata bogata, czyli chlebem, jogurtem i herbatą. No właśnie – jak wygląda domostwo typowego wachijczyka?

Na środku izby – palenisko, na którym kobiety przez cały dzień pieką chleb i gotują herbatę. Wszędzie pełno dymu, który uchodzi przez jedyny otwór – w dachu. Siedzimy nisko, po obu stronach pieca, na niewielkich podwyższeniach wyłożonych derkami lub owczymi skórami. Nie ma sensu wstawać, bo dym unosi się w okolicach sufitu. Wstajesz – oczy zaczynają łzawić i kręci się w głowie. Siedząc – nie dość że jesteśmy równi, to jeszcze zdrowi.

Po kilku chwilach przestaję czuć zapach spalenizny. Ściany czarne, okopcone. Przez otwór w dachu wpada ostry snop światła, który teatralnie oświetla wychodzący przezeń dym.



ŚWIADECTWA PRZESZŁOŚCI

Na obszarze około jednego kilometra kw., na kilkudziesięciu kamieniach, znaleźliśmy porozrzucane rozmaite wyobrażenia przedstawiające zwierzęta, wojowników, polowania. Trudno orzec, ile mają lat. Kilkaset? Kilka tysięcy?



RZADKI WIDOK

Czasem, w większej osadzie, można spotkać sklep.

Za paleniskiem – strefa kobieca; rodzaj kuchni, pełnej tajemniczych przyborów, pojemników, narzędzi, których przeznaczenia nie będzie mi dane poznać. Drewniany, okopcony dach jest podparty dwoma belkami. Czasem na ścianie wisi jakaś ozdoba, jakiś skarb. Może to być plakat wyborczy (ale do pasterzy wysoko w górach agitatorzy przecież nie docierają), mogą być prezenty od turystów, może być o również fuzja po dziadku.

I właśnie za taką fuzję złapał nagle nasz gospodarz, wybiegając z domostwa. Dotąd wszystko przebiegało zgodnie z rytuałem. Szir Czoj, czyli herbata z mlekiem podawana w niewyobrażalnych ilościach, chleb, niezobowiązujące rozmowy w naszym kulawym perskim. W chacie zgromadziła się cała rodzina – kilkanaście osób, w większości dzieci.

A teraz – wszyscy wybiegli! „Gyrk, gyrk!” Co się dzieje?!

Gospodarz i Dżam Bek byli już daleko, a kobiety nad czymś żywo debatowały. Gyrk (wilk) porwał owcę! Po godzinie wrócili z nadgryzionym, wciąż krwawiącym zwierzęciem. To wielka strata dla ubogiego pasterza. Oszur jest wyraźnie zmarzwiony. Na dodatek, nie udało im się zabić gyrka.

Na nas czas: siodłamy konie, zbieramy się do drogi. Ale nasi przewodnicy nie są w ciemni

bici – wyraźnie się ociągają, zostaliby dłużej. Psy wylizują resztki krwi z ziemi i ze ścian, bo wcześniej gospodarz rzucił im nadgryzione kawałki bebeczów.

Owca już wypatroszona, kobiety zniknęły z mięsem w chacie. Wiemy, co się święci. Godzinka w tę czy w tamtą – nie zrobi różnicy. I stało się. Po raz pierwszy od ponad miesiąca mogliśmy wreszcie zjeść mięso. Nie mylić z: najeść się. Nie wiadomo skąd, nagle w izbie pojawiło się kilku innych mężczyzn, chętnych do skosztowania przysmaku. Mięsa nie jada się tam prawie wcale – chyba, że zwierzę padnie, zostanie zabite przez drapieżnika, ewentualnie z okazji bardzo ważnego wydarzenia. Nic dziwnego, że wieść rozeszła się lotem błyskawicy. Podobnie jak mięsne danie.

Współczuliśmy Oszurowi, jednak radość z napełnienia żołądka była ważniejsza. W doskonałych humorach pojechaliliśmy dalej, żegnani smutnym spojrzeniem gospodarza.

W GOŚCINIE U NIEGOŚCINNYCH KIRGIZÓW

Kolejny dzień – śnieżycy. Wykończeni, dojechaliliśmy do kirgiskiej osady Kasz Goz. Skoń-

czyły się terytoria wachijskie i reguły gry znane dotychczas. To tereny kirgiskich nomadów i musimy się dostosować do ich zwyczajów. Nie uznają oni żadnej władzy i jest to chyba jedyne miejsce na ziemi, gdzie nikt nigdy nie zmuszał koczowników do porzucenia ich tradycyjnego stylu życia.

Ich zwyczaje są jednak co najmniej dziwne. Przyjechaliśmy zziębnięci i mokrzy. Marzyłem o herbacie w ciepłej jurcie przy ognisku. Tymczasem wyraźnie dano nam do zrozumienia, że do jurty wchodzić nie należy. Zostaliśmy sami w pseudogocinnej, zimnej jurcie z brezentu.

Poszedłem zatem szukać szczęścia na własną rękę ale i tu czekało mnie rozczarowanie – zostałem wprawdzie zaproszony do jednego z domostw, ale i tam wyraźnie nie wiedziano, co ze mną zrobić.

Jak to co? Herbaty! Ale i na to ciężko im było wpaść, więc odszedłem bez nadziei na dalszą współpracę. A tymczasem w naszym guesthousie Kirgizi oznajmili, że nie możemy jechać dalej przez ich ziemie z naszymi dotychczasowymi, wachijskimi przewodnikami.

Możemy za to nająć Kirgiza.

Wszystko pięknie, ale nie mają koni. Jak pamiętamy, Krzysztof bez konia nie pójdzie. Ostatecznie, po długich pertraktacjach, zgadzają się, byśmy pojechali pół dnia drogi w głąb terytoriów kirgiskich, do cmentarzyska Bonzai Gumbaz, a następnie zawrócili.

Tak też czynimy. Rano doceniamy piękne położenie osady. Daleko w dole, rzeka Wachan, daleko w górze – majestatyczne góry. Wydojone stado jaków wyrusza na śniadanie, pufając przy tym gniewnie. Co i raz jakieś samce uznają potrzebę pokazania innym, kto tu rządzi. Potyczkom tym obojętnie przyglądają się owce. Ich tutejsza, pamińska odmiana ma specyficzny, niezwykle wydatny zadek, będący ponoć największym przysmakiem. Nie będzie nam dane się o tym przekonać.

Zawracamy przed jeziorem Chaqmatin. W jego okolicach ma źródła słynna Amu Daria, na tym odcinku zwana Wachanem. Widok ogromnej doliny, z wijącą się w dole rzeką i majaczącym w oddali majestatycznym szczytem Bai Kara na zawsze zapadnie mi w pamięci.

POWRÓT DO „CYWILIZACJI”

Gdy docieramy z powrotem do Sarhadu, jest już zimno i wszędzie leży śnieg. Spory to problem dla chłopów, którzy nie zdążyli zebrać całego zboża, ani tym bardziej go wymłócić. Przy wjeździe do wioski obserwujemy nietypową scenę. Kilkanaście związanych w rząd osłów jest ganiane w kółko po rozsypnym zbożu, które co i raz jest przerzucane widłami. Młócka na końcu świata. Rolnictwo jest wciąż na poziomie drewnianej sochy, radła i innych, nieznanymi nam przyrządów z epoki średniowiecza. Na polach króluje trójpolówka.

Tuż obok jest granica z Tadżykistanem, toteż nie trzeba ryzykować podróży przez centralną część kraju. Na odchodnym celnik oczywiście nie omieszkął wymusić łapówki. Co gorsza, zainkasowawszy zdecydowanie za dużą sumę dolarów, ma jeszcze czelność przeglądać nam plecaki. U Krzycha znalazł nasze ulubione irańskie ciasteczka. „O, bakszsz!” – i wziął sobie kilka.

Z pewną ulgą ostatecznie rozstajemy się z tym niezwykłym zakątkiem Ziemi, żegnani widokiem celnika pałaszującego nasze ciasteczka. Przyjemnie będzie znów napić się piwa, obejrzeć telewizję, zadzwonić z komórki czy choćby skosztować mięsa. Przekraczając granicę, opuszczamy zakątek, gdzie czas zatrzymał się w okolicach panowania dynastii Piastów i tylko toczące się gdzieś Kamazy, Land Cruisery oraz szczególnie afekt mieszkańców dla amerykańskiej waluty podpowiadają, że nie zostaliśmy przeniesieni w czasie przez jakiegoś kapryśnego maga... ○





Kto nie słyszał o przygodach największego fantasty wszechczasów, postaci literackiej, mającej pierwowzór w folklorze niemieckim, której przypisano w XVIII w. nazwisko żyjącego rzeczywiście w latach 1720-1797 szlachcica, żołnierza i awanturnika.

NA ŻAGLACH FANTAZJI

czyli... facecje łgarskie polskiego Münchhausena

Uczył to pisarz Rudolf Raspe w powieści „Zadziwiające przygody, podróże i czyny wojenne barona Münchhausena”, wydanej w Oksfordzie po angielsku w 1786 r, kiedy jej bohater jeszcze żył. Obaj panowie byli podobno ze sobą zaprzyjaźnieni. Współczesny Münchhausenowi poeta Gottfried August Bürger, profesor z Getyngi, także uległ urokowi jego opowieści. Wprowadził je do literatury dziecięcej. Polski przekład książki Bürgera ukazał się w 1925 r. Pokolenie urodzone po II wojnie światowej zna „Przygody Münchhausena” wydane w 1956 r. Prof. Julian Krzyżanowski, znakomity nasz historyk literatury i folkloru, zaliczył je do facecji łgarskich, zwłaszcza myśliwskich. Ale powieściowy baron polował nie tylko na kaczkę. Służąc w armii rosyjskiej latał na pocisku artyleryjskim. Z bagna, do którego wpadł, wyciągnął się za włosy.

Tego rodzaju przechwałki zaczęto określać w literaturze mianem münchhauseniady. Jej bohaterowie zaliczeni zostali do samochwałów i fanfaronów, co nie przeszkadza, iż niektórych darzy się sympatią. Ich fantazja pobudza bowiem naszą wyobraźnię i zachęca do wyczynów, a przynajmniej opowieści nieprawdopodobnych. Takie postaci zdarzały się także wśród dawnych polskich podróżników.

OGLĄDAŁ PRZY ŹRÓDŁISKU NIL SIEDMIORĘKAWNY

Erazm Kretkowski, podobnie jak Karl Friedrich Hieronymus, Freiherr von Münchhausen, był postacią historyczną. Uwiecznił go w utworze „Nagrobek Kretkowskiego” nie byle kto, bo sam książę polskich poetów, Jan Kochanowski. Mu-

szą poznać tego królewskiego dyplomata i podróżnika kiedy studiował w Padwie od 1552 r. Prawdopodobnie słuchał osobiście jego opowieści. Kretkowski, jeden z znaczących polskich podróżników XVI wieku, po powrocie z dalekich wojaży dokonał żywota tam, gdzie sam przedtem pobierał nauki. W 1558 r. pochowany został w bazylice Św. Antoniego, gdzie przyjaciele postawili mu popiersie z brązu. Zainspirowany jego prawdziwymi, lecz chyba także domniemanymi czynami, Kochanowski opisał je wierszem:

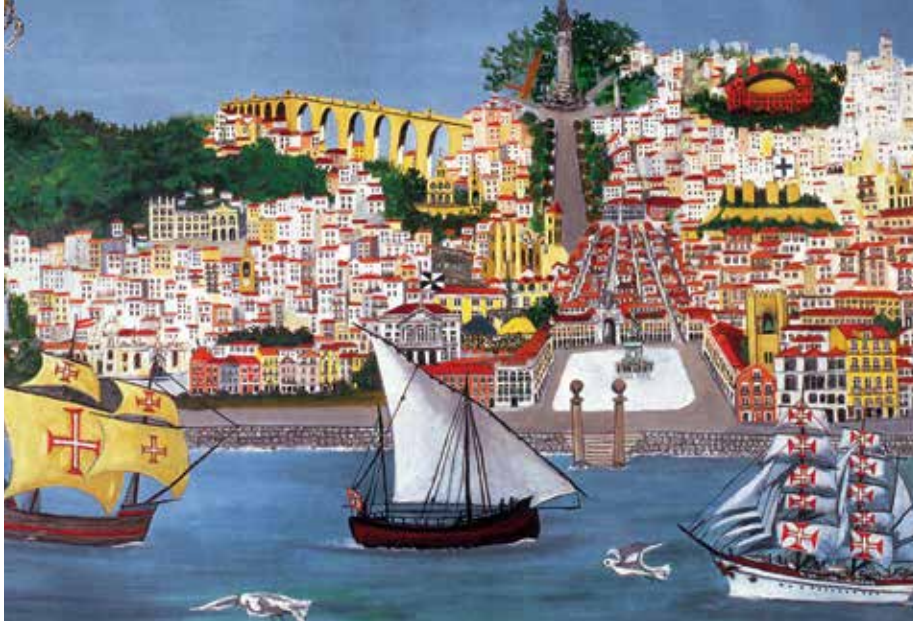
*Tutaj grób Kretkowskiego,
tu port jego nawie
Gdy wszystką niemal ziemię
zwędrował ciekawie
Niezmordowany pielgrzym,
ciekaw, ochoczy
Był, gdzie Dniestr szumnie pędzi,
gdzie Ganges się toczy,
Widział Istr dwuramienny,
Ren i Tagus sławny,
Oglądał przy źródliku Nil
siedmiorękawny.*

Polski Słownik Biograficzny, zawierający biogramy naszych zasłużonych rodaków, potwierdza, iż kasztelan brzeski i gnieźnieński Erazm Kretkowski podróżował w misji specjalnej jako wysłannik króla Zygmunta Augusta do sułtana tureckiego, więc z pewnością

przeprawał się przez Dniestr szumny oraz Istr dwuramienny (tak nazywano wówczas ujście Dunaju). Ren pokonał w drodze do Lizbony. Po drodze zwiedził Hiszpanię. Z miasta nad Tagiem wypływały portugalskie statki na słynny korzenny szlak. Jest wielce prawdopodobne, że na jednym z nich dotarł u schyłku swych lat do Indii. Kochanowski żegnał go jako konsyliarz nacji polskiej czyli polskiego studenckiego ziomkostwa.

Poza wierszem Kochanowskiego, wyrytym na nagrobku w Padwie, nie zachowały się żadne dokumenty potwierdzające podróże Kretkowskiego w odległe krańce współczesnego mu świata. Nie pozostawił pamiętników. Historyk marynista Jerzy Pertek dopuszcza możliwość, że Erazm Kretkowski dopłynął na statku portugalskim do Indii. Byłby wówczas pierwszym Polakiem na tym morskim szlaku. Mógł też być w Egipcie, do którego pierwsi Polacy, w tym Jan Łaski, późniejszy kanclerz wielki koronny, biskup gnieźnieński i prymas Polski, dotarli na początku XVI w.

Łaski, podobnie jak Kretkowski, studiował we Włoszech, skąd do podnóża piramid wiodła najkrótsza droga przez Morze Śródziemne. Gorzej przedstawia się sprawa z uwierzytelnieniem wyprawy Kretkowskiego do źródeł Nilu, bowiem tak daleko w głąb Afryki żaden Europejczyk w tym czasie nie dotarł. Zwraca na to uwagę Wacław Słabczyński w doskonale udokumentowanej pracy „Polscy podróżnicy i odkrywcy”. Problem źródeł Nilu nurtował geografów od dwóch tysięcy lat. Nie mógł go w tym czasie rozwiązać samotny podróżnik.



Nie wiadomo na czym oparł Kochanowski końcówkę swego epitafium, chyba wypada ją uznać za fantazję poetycką. Ale jeśli był w Egipcie, mógł dotrzeć do Etiopii, co samo w sobie byłoby w XVI w. wielkim wyczynem. A tam znajdują się Źródła Nilu Błękitnego. Źródła Nilu Białego, stanowiące właściwy początek największej rzeki Afryki, zostały odkryte dopiero w XIX w. Nil siedmiorekawny pozostanie zagadką, którą przyszłym historykom polskiego odkrywania świata ufundował poeta. I tu mógłby pokłonić się im Münchhausen, ale przecież on miał przyjąć na świat prawie trzy wieki później.

PLĘWAŁ PO JEZIORZE WIKTORII

„Przygody Münchhausena” znał z pewnością inny polski podróżnik, Ignacy Żagiell, żyjący w latach 1826-1891, był bowiem człowiekiem czytany i wszechstronnie wykształconym. Studia medyczne ukończył w Kijowie, nauki przyrodnicze pobierał w Paryżu i Oksfordzie, gdzie ujrzało świat pierwsze wydanie opowieści słynnego barona. W 1838 r. przypomniał je ponownie Karl Immermann, tym razem w 4-tomowej książce, w której dopatrywano się satyry na niemiecką szlachtę i arystokrację. W XIX wieku Niemcy rozpoczęli swoje podboje w Afryce. Ich podróżnicy przywozili z niej fascynujące relacje. Żagiell zaciągnął się do służby kolonialnej ich rywali Anglików. W 1859 r. jako lekarz przebywał w Indiach i na Cejlonie. W 1860 r. został nadwornym medykiem wicekróla Egiptu Saida Paszy. W trzy lata później miał towarzyszyć jego młodszemu bratu Halimowi w podróży do Mekki. Następnie, jak twierdzi, podróżował z nim po Etiopii i Nubii. Ukoronowaniem jego afrykańskich przygód miało być dotarcie do obszarów źródłowych Nilu, położonych w okolicach Jeziora Wiktorii. Miał pływać po tym jeziorze. Twierdzi, że przyjął go z honorami

miejscowy król Mtesa. O wszystkim tym dowiedzieć się można z jego wspomnień wydanych dwadzieścia lat później w Wilnie, pod pełnym próżności tytułem „Podróż historyczna po Abisynii, Adel, Szoa, Nubji, u źródeł Nilu z opisaniem jego wódospadów oraz po krajach podrównikowych; do Mekki i Medyny, Syrii i Palestyny, Konstantynopola i po Archipelagu”. Część tych nazw jest dziś trudna do rozszyfrowania. Rzecz jednak w tym, że cała lub prawie cała opowieść Żagiella była wytworem bujnej wyobraźni.

Wacław Słabczyński pisze o tej kontrowersyjnej dziś książce: „Gdyby przyjąć bez zastrzeżeń fakty w niej podane, Żagiell byłby jednym z najwybitniejszych podróżników polskich, a nawet jednym z najwybitniejszych w skali światowej (...). Pływał po Jeziorze Wiktorii na 11 lat przed opublikowaniem go i zbadaniem przez Stanleya”. Polski Münchhausen, gdyż na takie miano w pełni zasługuje, naczał się angielskich książek o współczesnych mu wielkich odkryciach geograficznych i... przypisał je sobie. Konkluzja Słabczyńskiego: „O osiągnięciach tych głucho w historii geografii, nie znajdują one pokrycia w jakiegokolwiek międzynarodowej dokumentacji i opierają się wyłącznie na własnym twierdzeniu autora”. Liczne błędy w książce Żagiella wytknął Stanisław Chojnacki, przed blisko pięćdziesięciu laty pracownik Instytutu Nauk Etiopskich w Addis Adebie. Przewertował on najbardziej miarodajne miejscowe źródła dotyczące historii i geografii tego kraju. I też doszedł do wniosku, że książka Żagiella jest mistyfikacją, a jego podróż w ogóle nie miała miejsca. Wymieniam całą litanię jego zmyśleń. Mają one charakter zarówno geograficzny jak i historyczny. Wyprawie, w której brał udział Żagiell, podróż od Bongi do jeziora Baringo w Kenii, zabrała dwa dni. A punkty te w linii prostej dzieli 750 km. Nie napotkała przy

tym po drodze wielkiego Jeziora Rudolfa. Żagiell skrócił odległość między niektórymi jeziorami ponad czterokrotnie, ponieważ nigdy nie widział ich na oczy, a tylko o nich słyszał. Trzykrotnie powiększył powierzchnię Jeziora Alberta. Od jeziora No do Chartumu (odległość ok. 1000 km) płynął jeden dzień i noc, podczas gdy współczesne statki pokonują ją w dwa tygodnie. Samokreowany odkrywca miał prowadzić rozmowy z negusem Sahle-Salassi, który od dwudziestu lat spoczywał w grobie.

Źródła egipskie nie wiedzą o podróży księcia Halima do źródeł Nilu. Nie potwierdzają też, że jego lekarzem przybocznym był Żagiell. A przecież wielu poważnych autorów, jak historyk kultury, prof. Jan Bystron czy historyk literatury prof. Jan Nowakowski lub geograf i historyk geografii prof. Jan Staszewski przyjęło relacje Żagiella w dobrej wierze. Emigracyjny historyk Stanisław Kościółkowski trwał w niej niezłomnie. Żagiella uważał za inteligentnego i zamiłowanego podróżnika i przyrodnika oraz wnikliwego obserwatora, a jego książkę określił mianem doniośłej karty w dziejach podróżnictwa polskiego.

ŻAGLE FANTAZJI

Nie wszystko, co pisał Żagiell było mistyfikacją. Michał Tyszkiewicz, archeolog amator poświadcza, że spotkał Żagiella w czasie swej wyprawy do Górnego Egiptu i Nubii w latach 1861-62. Żagiell kompletował tam zielnik roślin rosnących wzdłuż Nilu. Dotarł aż do świątyni Abu Simbel. Za cenne są uważane do dziś jego prace naukowe dotyczące klimatu i przyrody Egiptu oraz jego geologii i historii. Wiele z nich opublikował zagranicą. W 1870 r. otrzymał za nie tytuł członka Włoskiego Towarzystwa Geograficznego. Nie wiadomo, co go podkuśiło do napisania u schyłku życia mistyfikatorskich wspomnień podróżniczych. Słabczyński stara się go usprawiedliwić tym, że pisał swą kontrowersyjną książkę w podeszłym wieku i dał się ponieść fantazji. Nie przesadzajmy: miał wówczas 58 lat. Znacznie młodszy od niego niektórzy współcześni polscy podróżnicy przypisują sobie urojone odkrycia, poprawiając zarówno geografię jak i historię. Gdzie im jednak do Żagiella.

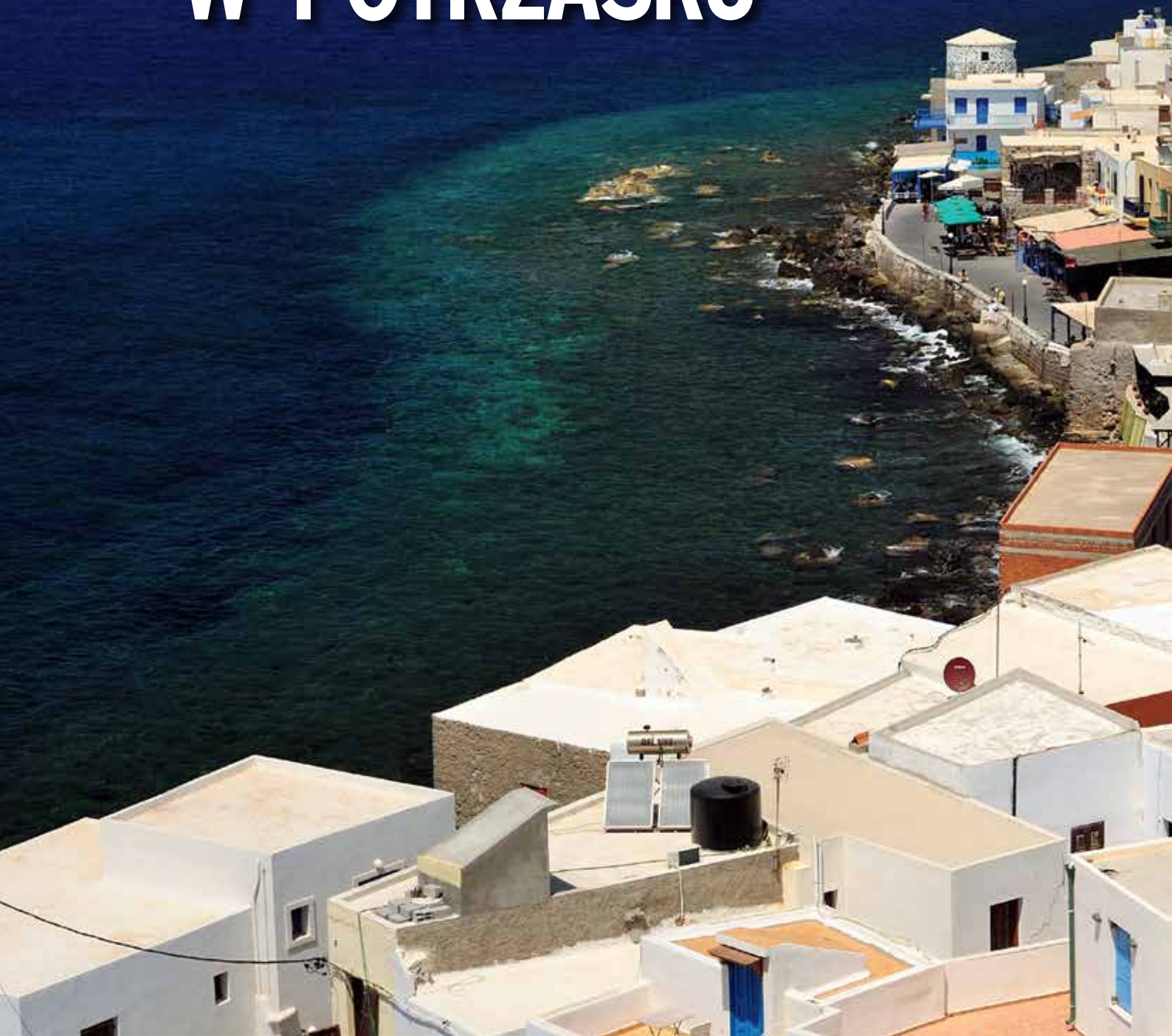
POST SCRIPTUM

Zapewniam, że tekst ten to nie prima aprilis, który także podróżnicy obchodzą pierwszego kwietnia. Wszystkie postacie, które opisałem powyżej, są prawdziwe. Tylko niektóre ich czyny – urojone. Medycyna stosuje pojęcie zespół Münchhausena na określenie osób cierpiących na zaburzenia wyobraźni, stanowiące rodzaj zaburzeń osobowości. Sprawdzić to można w Wikipedii. ○

WYSPY I WYSEPKI | Nisyros

GIGANT W POTRZASKU

Tekst i zdjęcia: **Marian Lenz**





Wyspa Nisyros jest najmłodszym z głównych wulkanów Morza Egejskiego. Znajduje się na wschodnim końcu egejskiego łuku wulkanicznego i geograficznie należy do wysp Północnego Dodekanezu (tym samym – Azji). Leży pod nią niesforny gigant Polivotis, przywalony wyspą przez Władcę Mórz, Posejdoną.

Egejski łuk wulkaniczny rozpina się na długości 450 kilometrów, od Koryntu – przez Methana, Milos, Santorini, Giali – do Nisyros. Powstał w wyniku trwającego od milionów lat procesu wsuwania się (subdukcji) pod Egeidę (na południe od Krety) afrykańskiej płyty litosferycznej. Jej działanie przesuwają, z szybkością 4-5 centymetrów rocznie, całą Egeidę w kierunku południowo-zachodnim.

Już 2,5 miliona lat temu, na wschód od Nisyros, wybuchły pierwsze wulkany. Pierwsza zaś wielka erupcja w okolicy wyspy miała miejsce przed 160 tysiącami laty, gdy w powietrze wyleciało 240 bilionów ton popiołu, pumeksu i skał, pokrywając powierzchnię trzech tysięcy kilometrów kwadratowych. Wyspa wyłoniła się z wody najprawdopodobniej ok. 150 tys. lat temu, po wielkiej erupcji na Kos.

WCIAŻ AKTYWNE

Obecnie w kalderze znajduje się dziesięć hydrotermicznych kraterów. Niemiecki archeolog Ross Ludwig, wizytujący wyspę w 1841 roku, zaobserwował wybuchy, mające miejsce co 20-30 sekund. W czasie wybuchów 11 września 1873 roku zostały zniszczone domy w Mandraki, głównym mieście wyspy. Kilku dniową aktywność wulkaniczną notowano kilkakrotnie w XIX i XX wieku.

POTOMKOWIE ZEUSA I INNI

Pierwszymi mieszkańcami wyspy byli Pelazgowie, którzy – według przeświadczenia starożytnych Greków – stanowili ludność przedgrecką (Proto-Helleni). Sądzono, że pochodzili od Pelasgosa, syna Zeusa i Niobe. Ich ogromne budowle, Palaiokastro, zwane są „cyklopami” (mury 3,5 metrowej grubości).



PUSTKA W NIKII

Główny plac
w miasteczku Nikia.
Żyje tu tylko 61
mieszkańców.
W miejscowej tawernie
robimy jej „obrót”
za cały dzień!

W roku 700 Nisyros złupili piraci. Przez wieki XI-XIII – Bizancjum i Wenecjanie. Wyspa przechodziła z rąk do rąk. Od 1308 do 1454 roku władał nią rycerski zakon joannitów. Po nich – Turcy. Od 1912 do 1943 roku wyspę zajmowali Włosi, zaś do 1944 roku Niemcy. Dzień 4 października 1944 roku był, po latach, pierwszym dniem wolności wyspy! Ostatecznie, 7 marca 1948 roku, oficjalnie weszła w skład Grecji. Na koniec XIX wieku Nisyros liczyła 10 tysięcy mieszkańców, ale od tamtej pory populacja zmniejszyła się dziesięciokrotnie.

kami z portów na wyspie Kos. Są to wycieczki mające w programie trzygodzinny pobyt na wyspie. Pasażerowie przesiadają się na autobusy i jadą do krateru Stefanos. Na miejscu robią wycieczkę do niego, idą wokół, robią fotki, piją drinka i wracają. Być może ten sposób zwiedzania nie zawsze pozwala im dostrzec urodę wyspy w całej krasie. Mieszkańcy, czerpiący niezłe dochody z koncesji na wydobywanie pumeksu z odległej o trzy mile wysepki Giali (6 km kw.), nie palą się do rozwijania masowej turystyki.

SPOKÓJ W CIENIU SANTORINI

Ta ciekawa wyspa jest bliżej nieznaną. Żyje ona w cieniu rozreklamowanej i większej siostry – Santorini. Do Nisyros można dotrzeć trzy razy w tygodniu, statkiem z Pireusu (200 Mm). Codziennie organizowane są wycieczki statecz-

ŚLADEM JOANNITÓW

Dotarłem tu jachtem. Stanęliśmy w głównym porcie, w Mandraki. Syciliśmy się zwiedzaniem miasteczka (667 mieszkańców), które rozciąga się wzdłuż nadmorskiej promenady łączącej port z wysoką skałą. Na niej znajdują się resztki zamku,

MEMENTO

Wielka kaldera przypomina, że wewnątrz Ziemi pod wyspą wciąż trawi żar wulkanicznych procesów.

zwanego Spiliani (grota), pochodzącego z czasów rycerskiego zakonu joannitów. W jego obrębie znajduje się cel pielgrzymek, malowniczy i romantyczny klasztor Panagia Spiliani.

U podnóża skały rozciąga się czarna, kamiennista plaża zwana „Chochlaki” (Hohlaki, Kochlaki) od szczególnego rodzaju kamieni. To „poduszki” – kamienie, z szarego bazaltu o średnicy od pół do dziesięciu metrów. Jest to podwodna lava sprzed 160 tys. lat. Z takiego bazaltu, z równo ciosanych bloków, zbudowane jest godne podziwu, Paleokastro – starożytna warownia Pelazgow. Warto zejść również do kościółka Potimitissa oraz muzeów archeologicznego i historyczno-folklorystycznego.

Z WIZYTĄ U POLIVOTISA

Wynajęliśmy terenowe auto, którym najpierw zjechaliśmy na dno kaldery i udaliśmy się do największej atrakcji wyspy, krateru Stefanos. Ma on kształt elipsy; po wybuchu zapadł się tworząc żółtą „misę” o głębokości 27 metrów, której dno to ledwo zastygłe „błoto” związków siarki.

Stąpając po nim mam wrażenie, że spaceruję po miękkim, uginającym się lodzie. Wszędzie unosi się zapach siarki. Temperatura przy otworach osiąga 99,6 stopni Celsjusza. Wiek Stefanosa nie przekracza 4 tysięcy lat.

Udajemy się do leżącego z boku, na wzgórzu Lofos, kompleksu sześciu kraterów. Wśród żółtych i żółtawych skał oraz kamiennego gruzu – scho-

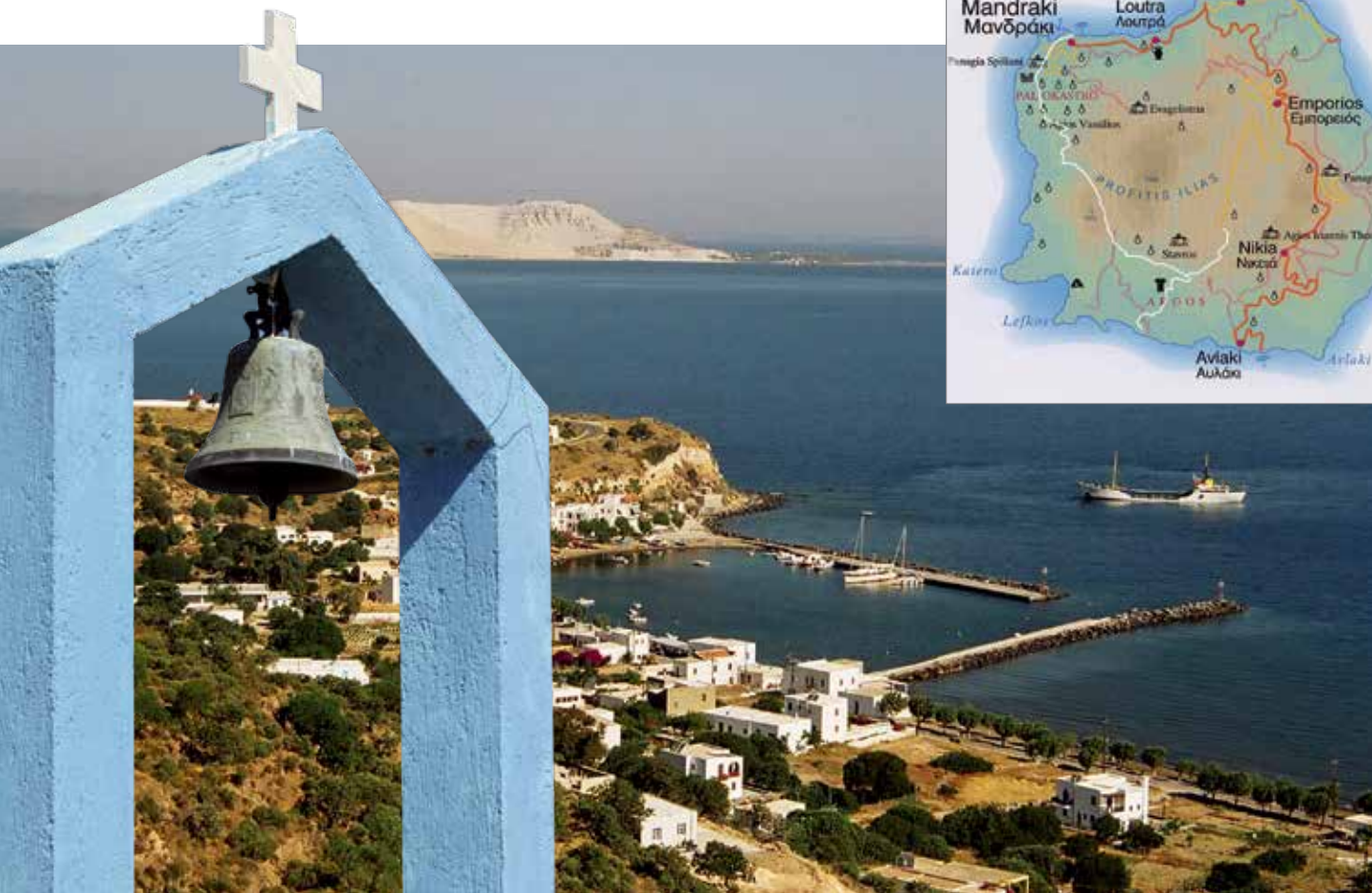


MIT PRAWDĘ CI POWIE!

Słynny grecki geograf Strabon (ok. 68 r. p.n.e. – 20 n.e.) w „Geografii” napisał: „Nisyros uważana jest za część wyspy Kos. Opowiadają historię jak to Posejdon ściągnął jednego z gigantów, imieniem Polivotis, oderwał część wyspy Kos i rzucił nim w niego. Ten fragment Kos stał się wyspą Nisyros, która pogrzebała giganta”.

Warto przypomnieć, że działo się to podczas gigantomachii, czyli wojny bogów z gigantami – istotami uosabiającymi nieokielznane siły przyrody. Mity trafnie oddają proces powstawania wyspy!





DOPÓKI GIGANT ŚPI

Miasteczka na Nisyros to spokój z dala od turystycznego zgiełku.

dzimy na dna kraterów Polivotis i Mikro Polivotis. Wrażenia potęgują pomruki i sapania przykrytego wyspą giganta, Polivotisa!

Na północnym brzegu wyspy, w okolicy Loutra, znajdują się geotermiczne źródła zasilane wodą o temperaturze 46 stopni Celsjusza, wykorzystywanej do celów leczniczych.

Dalej droga wiedzie wysokim brzegiem do portowej osady Pali. Z wysoka port widać w całej krasie. Właśnie podpływa ku niemu zbiornikowiec z wodą, gdyż wyspa nie posiada wody słodkiej i trzeba ją dostarczać z zewnątrz.

Za Pali znajduje się opuszczony kompleks uzdrowiskowy gorących wód (33 stopnie). W miasteczku Emborios (41 mieszkańców) z niewielkiej tawerny, w której jesteśmy jedynymi gośćmi rozpostiera się wspaniały widok na kalderę.

Odtąd jedziemy jej krawędzią. Cały czas droga biegnie w gęsto zalesionym terenie. Wyspa, chociaż nie posiada wody słodkiej jest urodzajna, zalesiona (dęby, krzewy pistacji, drzewa oliwne, drzewa figowe) i – chociaż zaniedbano uprawę winnej latorośli – pełna zieleni. Jest tu pięknie

wiosną, gdy kwitną różnokolorowe kwiaty. Między skałami żyją małe ptaszki o niebieskim podbrzuszu, zwane „kyanos”. W masywie góry Profitis Ilias spotkać można brązowe, dzikie kozy z zakręconymi jak obwarzanki rogami.

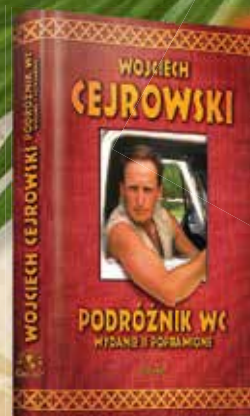
Kolejnym przystankiem jest Nikia, miasteczko jak z obrazka: czystutkie, bielutkie. Mieszka w nim 61 osób. Na centralnym placu widzimy kościół, a w tawernie zapewniamy jej całonocny zarobek! Piękne są stąd widoki na kalderę i górzystą okolicę. Górą okrążamy leżącą w dole krater Stefanos. Od klasztoru w Stavros droga staje się prawdziwie terenowa i tylko dla mistrzów kierownicy! Tak okrążywszy wyspę, docieramy do Mandraki.

A gigant Polivotis? Nadal drzemie! ○

Autor, **Marian Lenz** jest jachtowym kapitanem żeglugi wielkiej. Od 40 lat żegluguje po Morzu Śródziemnym – zwłaszcza po wodach greckich i tureckich.



KSIAŻKI POD PATRONATEM „POZNAJ ŚWIAT”

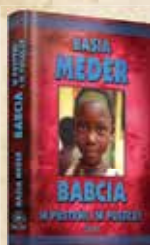


Wojciech Cejrowski
PODRÓŻNIK WC
format: 145 x 205 mm

NOWOŚĆ!
W sprzedaży
już w grudniu!



Basia Meder
BABCIA W AFRYCE
format: 145 x 205 mm
cena: 45 zł



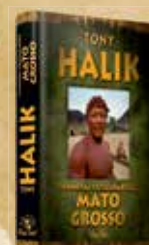
Basia Meder
**BABCIA W PUSTYNI
I W PUSZCZY**
format: 145 x 205 mm
cena: 45 zł



Antonio Halik
**180 000 KILOMETRÓW
PRZYGODY**
format: 145 x 205 mm
cena: 35 zł



Antonio Halik
**JEEP. MOJA WIELKA
PRZYGODA**
format: 145 x 205 mm
cena: 44 zł



Antonio Halik
**Z KAMERĄ I STRZELBĄ
PRZEZ MATO GROSSO**
format: 145 x 205 mm
cena: 40 zł



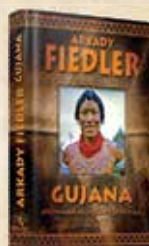
Wojciech Cejrowski
**GRINGO WŚRÓD
DZIKICH PLEMION**
format: 145 x 205 mm
cena: 35 zł, 49 zł (zapachowa)



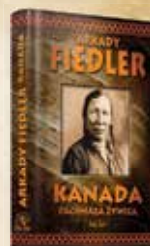
Wojciech Cejrowski
RIO ANAKONDA
format: 145 x 205 mm



Arkady Fiedler
DYWIZJON 303
format: 145 x 205 mm
cena: 40 zł, 14,50 (opr. miękka)



Arkady Fiedler
**GUJANA. SPOTKAŁEM
SZCZĘŚLIWYCH INDIAN**
format: 145 x 205 mm
cena: 40 zł



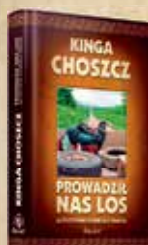
Arkady Fiedler
**KANADA
PACHNĄCA ŻYVICĄ**
format: 145 x 205 mm
cena: 45 zł



Arkady Fiedler
**MADAGASKAR. GORĄCA
WIEŚ AMBINANITEŁO**
format: 145 x 205 mm
cena: 49,90 zł



Bolesław A. Uryn
**MONGOLIA. WYPRAWY
W TAJGĘ I STEP**
format: 145 x 205 mm
cena: 42 zł



Kinga & Chopin
**PROWADŹ NAS LOS.
AUTOSTOPEM DOKOŁA ŚWIATA**
format: 145 x 205 mm
cena: 37,50 zł



Kinga Choszcz
MOJA AFRYKA
format: 145 x 205 mm
cena: 44 zł



Michał Kruszone
**RUMUNIA. PODRÓŻ
W POSZUKIWANIU DIABŁA**
format: 145 x 205 mm



Robb Maciąg
**ROWEREM PRZEZ CHINY,
WIETNAM I KAMBODŻĘ**
format: 145 x 205 mm



Jacek Pałkiewicz
**SYBERIA. WYPRAWA
NA BIEGUN ZIMNA**
format: 145 x 205 mm

Wydawnictwo „Bernardinum”, ul. Bpa Dominika 11, 83-130 Pelplin
tel.: 58 531-64-81, 58 536-17-57, fax 58 536-17-26, kom. 662-014-683

e-mail: zakupy@bernardinum.com.pl • www.ksiegarnia.bernardinum.com.pl

KOŁOSY 2010

KOŁOSY ROSNĄ I ROSNĄ

SZCZĘŚLIWA TRZYNASTKA





KOŁOSI I WYRÓŻNIENI

W chwili triumfu.

Lista laureatów: kolosy.pl

To było tak dawno... Był rok 1999, kiedy to spotkaliśmy się po raz pierwszy. Któż mógł przypuszczać, że ta impreza przetrwa lat (co najmniej!) trzynaście.

Nikogo nie odstraszyła pechowa ponoć liczba. Niczym śniegowa kula, rosną nam Kolosy z imprezy na imprezę. Po dwóch latach względnego luksusu – znów pojawiły się narzekania na ciasnotę. Zwłaszcza ci, czekający długo i cierpliwie na wejście – wykazali się prawdziwym hartem ducha. Tak! Kolosowa publiczność godna jest swoich bohaterów.

Kogóż więc powinniśmy zapamiętać szczególnie po trzech dniach opowieści niemal setki prelegentów? Nie ma takiego, kto mógłby z czystym

sumieniem stwierdzić, że poznał wszystkie. Ten sam problem miała Kapituła, która jednak w tym roku – po paru latach chudszych – mogła wreszcie z satysfakcją rozdać Kolosy w komplecie.

GOŚĆ W KORONIE

Zanim to nastąpiło – już dzień wcześniej gość specjalny imprezy, Piotr Pustelnik – wzniosł w górę Super Kolosa. To za Koronę Himalajów, którą skompletował po 20 latach starań – jako trzeci Po-

lak, a dwudziesty himalaista na świecie. Te trofea w zasadzie przyznaje się za tzw. całokształt – co oznaczało, że wybitny wspinacz powinien wygłosić tzw. mowę podsumowującą. Zadaniu temu sprostał z właściwym sobie wdziękiem i dystansem do siebie – czym zawsze zjednuje sobie słuchaczy.

MIŁOŚĆ W DRODZE

Na resztę laurów musieliśmy poczekać do niedzieli. Tymczasem trwał w najlepsze korowód bardziej i mniej zdumiewających opowieści. Pierwszym poważniejszym wstrząsem dla słuchaczy okazała się mordęga Piotra Mitko, który przez półtora miesiąca tułał się na rowerze po pustkowiach Islandii. Znaczną część tego czasu spędził w szarpanym wicherem namiocie, wdając się przy tym w... romans z tą na pozór niegościnną wyspą. Wzajemne wyznania uczuć zarejestrował kamerą, dzięki której obejrzeć mogliśmy rozzdzierające serce sceny rozstania kochanków!

Podróżnicy – to ludek wrażliwy wyjątkowo. W tym miejscu nie od rzeczy wspomnijmy więc od razu inny przypadek miłosny, który dotknął postaci nie byle jakiej. Ni mniej, ni więcej – laureata Kolosa z roku 2001, słynnego piekarza – rowerzystę, który po paru latach wrócił na rowerowe szlaki Azji, Australii i Nowej Zelandii. Tym razem przejechał 50 tysięcy kilometrów, powracając nie tylko z bagażem wspomnień ale i... indonezyjską żoną! Nie za to jednak odebrał drugiego już Kolosa (ponownie Wyczyn Roku). Kapituła doceniła Sylwestra Czerwińskiego zwłaszcza za to, iż po drodze smakował różnorodność kultur i wczuwał się w życie napotkanych ludzi – nawet pod groźbą... utraty uzębienia.

Inne spojrzenie na skomplikowany świat uczuć siłą rzeczy mają nowożeńcy. Ubawiliśmy się setnie opowieścią Magdaleny Mochoń, która w podróż poślubną wybrała się na motocyklu, przemierzając przestrzenie Ameryki Południowej. Po którejś z kolejnych prób – okazało się że jednak, małżonek nie umie skleić dętki...



SMAKI ŚWIATA OD MAŁEGO

Tłumnie przybyli widzowie w każdym wieku. Czym skorupka za młodu...

ZA CIASNO

Przez trzy dni trwania imprezy – pod wejściem do Hali Gdynia koczował zwarty tłum chętnych. Czasem trzeba było poczekać z godzinę...



„PŚ” POPULARNY

Do stoiska „Poznaj Świat” trudno było się dopchać.

ŻAGLE NA KSIĘŻYCU?

Czy na Księżyc można dopłynąć? Ależ owszem. Dokonał tego Jerzy Radomski, którego rejs jachtem „Czarny Diament” trwał – bagatela – aż 32 lata! Jak podkreśliła Rada Dziennikarzy, która tradycyjnie przyznaje swą nagrodę – w tej wieloletniej eskapadzie brali też udział żona, dzieci i wnuki żeglarza, którzy w ten sposób także zaznali morskiej przygody. A co z Księżycem? Ano tyle, że niezłomny żeglarz pokonał w długim rejsie odległość większą niż na satelitę Ziemi. W zamian – oprócz lauru od dziennikarzy otrzymał Kolosa.

Całkiem inny dystans pokonali tzw. dezeta Michał Jósewicz i jego „żeglarski obóz wędrowny dziadków”. Ujęło to członków Kapituły (w różnym wieku). Doceńmy też, za hart ducha, Artura Labudę, który zanim wyruszył samotnie quadem dooko-

ła Polski – najpierw musiał się nauczyć nie tyle nim jazdy, co – jak na niego wsiadać. Istotne to o tyle, że nasz śmiałek jest inwalidą pozbawionym nóg.

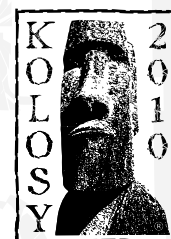
SUROWY ŚWIAT NIEŃCÓW

Teraz – wspomnijmy przypadek Magdaleny Skopek. Z tegorocznej imprezy zapamiętam na długo



KOŁOSY CORAZ WIĘKSZE

Cztery tysiące ludzi
na raz – przez trzy
dni. W sumie,
ze dwadzieścia!
MOCNA RZECZ!!!



scenę krwawej uczty, w której brała udział nasza podróżniczka. Mięso dopiero co zaduszone sznurkiem renifera konsumowała na surowo, wzbudzając szacunek goszczącej ją plemienia Nieńców. Dwa miesiące spędzone z nimi na koczowaniu w tundrze przełożyło się w Gdyni na podróżniczego Kolosa. Nie był to wprawdzie precedens (w roku 2003 wyróżnienie za podobną podróż odebrali Aneta i Mirosław Nurzyński – opisywaliśmy ją wówczas w „Poznaj Świat”). Oczywiście – w niczym nie uniejsza to wartości doświadczeń Magdy.

SZERPOWIE PIEKIEŁ

Dość niepostrzeżenie (szkoda!) przemknął w niedzielę przez ekran film Zygmunta Leśniaka, który w trakcie podróży w Indonezji dokumentował trud ręcznego wydobywania siarki z krateru wulkanu. Przejmujący to zapis obrazów ekstremalnie ciężkiej i rujnującej zdrowie pracy. Pasja dokumentalisty

o mało nie zakończyła się źle dla filmującego – kiedy ten nagle znalazł się w chmurze trujących oparów siarki.

Skoro o filmie mowa... Z roku na rok przybywa amatorskich produkcji. Slajdy – w odwrocie! Jakość obrazów jest różna, ale zdarzają się już dziełka niemal profesjonalne. Tak jest np. z Markiem Klonowskim (Kolos za Wyczyn Roku 2008), który nie byłby sobą, gdyby nie zapewnił nam godziwej rozrywki. W iście przygodowym filmie mamy liczne zwroty akcji i żywo podane perypetie wyrazistych bohaterów.

DO ZOBACZENIA!

Nie sposób w tym miejscu oddać wszystkich smaków świata, których doświadczyliśmy w ciągu trzech dni gdyńskich spotkań. Będziemy powracać do nich myślą i na łamach „Poznaj Świat”. Tak łatwiej będzie dotrzeć do następnego spotkania z kolejnymi zastępami podróżników. Już za rok! ○

GWIAZDY GWIAZDOM

Herosi z przeszłości – Krystyna Chojnowska-Liskiewicz i Piotr Chmieliński z nagrodami dla Piotra Pustelnika, Simone Moro oraz młodzieży: Sylwestra Czerwińskiego oraz Grzegorza Szyszkowskiego. Laury z rąk mistrzów – bezcenne.

MIŁOŚĆ

PIĘKNO

HISTORIA

TURCJA. NIEKOŃCZĄCA SIĘ PRZYGODA

TURCJA. NIEKOŃCZĄCA SIĘ PRZYGODA

TURCJA. NIEKOŃCZĄCA SIĘ PRZYGODA

Turcja
fascynuje

www.turcja.org.pl

goTurkey.com
OFFICIAL TOURISM PORTAL OF TURKEY

TURKISH AIRLINES
A STAR ALLIANCE MEMBER
www.turkishairlines.com

ISTANBUL SHOPPING FEST
18 MARCA - 18 KWIECIEŃ 2011

Biuro Kultury i Informacji Ambasady Turcji
ul. Krakowskie Przedmieście 19/1,
00-071 Warszawa

ROZMOWY MARKA SZPENDOWSKIEGO Z LUDŹMI ZAPRACOWANYMI

Służbowy wyjazd, zwłaszcza dla zapracowanych osób, jest często jedyną okazją, by zakosztować odmienności świata. Dobrze wie o tym Marek Szpendowski – producent filmowy, ale przede wszystkim właściciel agencji Viva Art, który organizował m.in. koncerty Luciano Pavarottiego, Michaela Jacksona czy zespołu The Rolling Stones. Dużo podróżuje i często zdarza mu się poznawać świat właśnie podczas delegacji, pospiesznie. Z tego powodu czasem dochodzi do zaskakujących sytuacji. O takie przygody w czasie służbowych podróży Marek Szpendowski zapytał współpracujące z nim osoby. Jako pierwszy na pytania odpowiada Krzysztof Ibisz – popularny prezenter telewizyjny.

MAREK SZPENDOWSKI: *Dużo podróżujesz zawodowo. Czy podróże nadal sprawiają ci przyjemność?*

KRZYSZTOF IBISZ: I to wielką. Kiedyś usłyszałem takie zdanie: *kto żyje długo, ten wie dużo, a kto podróżuje, wie jeszcze więcej*. Każda podróż wzbogaca. Ja owszem, trochę zwiedzam, ale najbardziej korci mnie przebywanie wśród ludzi. Posłuchanie, o czym mówią. Pogadanie o przyziemnych rzeczach. Wtedy najbardziej czuję klimat miejsca, gdzie jestem. Uwielbiam to robić w Barcelonie, w Paryżu, w Rzymie.

MSz: *W którym miejscu świata byłeś najdłużej?*

KI: W Kanadzie. Przez pół roku studiowałem produkcję filmową na Concordia University w Montrealu. Równocześnie pracowałem. Próbowałem zarobić na te studia, drukując metodą sitodrukową różne wzory na koszulkach. Pracowałem też w fabryce z Hindusami, a w weekendy sprzątałem w greckiej knajpie. Myłem toalety, ale robiłem też sałatki.

MSz: *A najkrótsza podróż?*

KI: Do Malezji. Pojechałem tam kręcić reklamówkę. Leciłem 12 godzin. Miałem bilet w biznes klasie. Byłem ubrany na luzie, w lekko podarte dżinsy, w t-shirt, a obok mnie – sami skośnoocy biznesmeni w garniturach. Na miejscu od razu miałem fryzjera, przymiarki kostiumów, próby kamerowe. W nocy spanie, od rana zdjęcia filmowe, potem fotograficzne i znów dwunastogodzinny powrót. Przed snem postanowiłem zobaczyć Kuala Lumpur. Na ulicach widziałem wszędzie napisy foot massage. Pomyślałem: skorzystam, zrelaksuję się, będę lepiej spał. Wszedłem do najbliższego gabinetu. Masażystami byli wyłącznie mężczyźni. Bo tylko oni się tym zajmują – wszak to kraj islamski. Pan wyglądający jak kulturysta pyta mnie, jakiego masażu sobie życzę: *for tourists* czy *normal*? To sobie mówię: nie będę wymiękał. Jakie *for tourists*? *Normal*!!! No i się zaczęło. Walili mi w stopy pięściami, wykręcał, łamał, wyrwywał palce. Przeżyłem półgodzinną mękę. Już na foot masażu nie pójdę.

MSz: *Ale czytelnikom polecasz?*

KI: Oczywiście, tym szukającym mocnych wrażeń, jedynie w wersji *normal*. Ale ty też dużo podróżujesz. Jaka była twoja najkrótsza podróż?

MSz: *Ona może nie była najkrótsza. Lot w jedną stronę trwał 9 godzin. Ale za to pobyt był bardzo krótki. W roku 1998 organizowałem koncert Luciano Pavarottiego w Helsinkach. Wówczas no-*



wością była internetowa sprzedaż biletów. Na rok przed imprezą dwanaście tysięcy biletów na ten koncert sprzedaliśmy w ciągu zaledwie 44 minut. Poinformowałem o tym maestro Pavarottiego. Po godzinie zadzwonił do mnie Tibor Rudas, menedżer artysty i powiedział, że Mistrz chciałby się pilnie ze mną spotkać. Czeka na mnie w Nowym Jorku. Kupiłem więc bilet na nocny lot, gdyż umówiliśmy się w hotelu na śniadanie. Prosto z lotniska pojechałem na spotkanie. Maestro zszedł do restauracji punktualnie. Oczekiwałem dłuższej rozmowy, wielu pytań, gdyż tak do końca nie wiedziałem, dlaczego Luciano tak gwałtownie chciał się ze mną spotkać. Sprawa szybko się wyjaśniła. Artysta chciał mi osobiście podziękować za tak sprawną sprzedaż biletów. Spotkanie trwało kilka minut.

KI: Ale przynajmniej zjadłeś śniadanie z wielką gwiazdą.

MSz: *W towarzystwie Pavarottiego wypilem jedynie szklankę soku pomarańczowego. Najdroższego soku w moim życiu. Cztery godziny później wracałem do Polski.* ○



SINGAPURSKI MODEL SZCZĘŚCIA

Tekst: Józef Baran





Świat z jednej strony tęskni za pierwotnymi matecznikami; a z drugiej – błyskawicznie niszczy, globalizuje te najpierwotniejsze enklawy. W ostatniej dekadzie: Laos, Kambodżę, Tajlandię, wyspy Borneo, Jawę, cudowne zakątki Malezji...

G dziekolwiek otworzy się takie nisze, dziewicze zakątki na Ziemi – to zaraz wlewa się tam, jak lawa, masa turystów.

Zaraz powstają biura, lotniska, kurorty, bazy usługowe, domy towarowe, wieżowce, banki... I ostatnie skrawki egzotyki błyskawicznie są ścierane z powierzchni globu. A turyści, uciekający przed cywilizacją na koniec świata, nie natrafiają na zaciszne oazy zieleni i nieskażonej przyrody, lecz... na tłumy, korki, reklamy, sztuczne światy z żelbetonu, szkła i stali.

Takim właśnie sztuczno-globalnym światem, wzbudzającym u humanisty skrajnie sprzeczne uczucia, jest Singapur.

Jedna z najbogatszych wysp azjatyckich, istniejąca jako niepodległe państwo zaledwie od 45 lat i wyhodowana jak w donicy przez Lee Kuan Yewa, kreatora Miasta Lwa (Singa Pore) i wieloletniego premiera (od 1959 do 1990 r.). Wtedy ustąpił z urzędu, lecz pozostaje nadal szarą eminencją Singapuru, tzw. ministrem-mentorem w rządzie swego syna Lee Hien Longa, aktualnego premiera. Synowa Lee – jest z kolei szefową wielu firm i jedną z najbogatszych kobiet w Azji.



Globalizm

Jajka z Bali
Miód z Italii
Sery z Australii
Ryż i kaczka pekińska
Woda importowana z Malezji
Owoce morza z Indonezji

Z PODRÓŻNEGO NOTATNIKA

Robię z tego
Śniadaniowy mix
W brzuchu
Made in Poland
W hotelu „Fraser Suites”
Gapiac się przez okno
Na Singapur

Gdzie niedawno
Szumiata dżungla
A dziś tysiące drapaczy chmur
Wychwalają pod niebo
Globalną cywilizację

Można rzec, że Miasto Lwa to firma-państwo zarządzana przez jedną rodzinę.

Od 1967 roku niepodzielnie sprawuje tu rządy Partia Akcji Ludowej (założona przez Lee Kuan Yewa) i wybierana demokratycznymi głosami Singapurczyków, którzy wprost nie wyobrażają sobie innego układu partyjnego.

Pod względem żywności Singapur jest prawie całkowicie zglobalizowany. Zresztą w ogóle nie posiada własnych zasobów naturalnych, dlatego, gdy schodziłem na codzienne śniadanie w hotelu „Fraser Suites” musiałem się zająć produktami ściągniętymi z różnych stron świata, m.in. zetknąłem się tam nawet z herbatką ziołową „Vitalis” z Polski.

Mieszka tam ponad 4,5 miliona mieszkańców. Większość stanowią byli Chińczycy, kilkanaście procent – to Hindusi, parę procent – Malaje i Indonezyjczycy, niecały procent – biali. Przeglądając się regułom tu rządzącym można rzec, że Singapur jest wyjątkiem od reguły, paradoksalnym dowodem na to, że można połączyć ogień z wodą: dyktaturę i niespektowanie praw jednostki – z liberalizmem; kontrolę – z wolnym handlem; surowe prawo – z wolnością wyznania i tolerancją; faktyczną jednopartyjność z ...demokracją.

I że daje to wymiennie rezultaty, przynajmniej w sferze materialnej! W 2010 roku Singapur odnotował najwyższy wzrost gospodarczy.

Jest tu najwięcej komputerów na świecie na głowę mieszkańca, znakomicie funkcjonuje gospodarka wolnorynkowa, supernowoczesne lotnisko

przyjmuje 50 milionów pasażerów rocznie, a firma rządowa Singapore Airlines, niezależna od światowych reguł, działa jak szwajcarski zegarek.

Tak, tak...

Najwyższy materialny poziom, wysoka średnia długość życia, a z drugiej strony – restrykcyjne prawo: 500 dolarów mandatu za wyrzucony na ulicę papierek! Dożywocie za posiadanie narkotyków! Kara śmierci za gwałt! Kara chłosty za chuligaństwo!

O tym ostatnim mógł się przekonać pewien amerykański turysta, skazany na 10 kijów i pół roku więzienia za pomalowanie 18 samochodów sprayem i pocięcie w kilkunastu autach opon. Sprawa odbiła się szerokim echem w światowych mediach, jednak nawet Amerykanie i osobiście w to zaangażowany Clinton niewiele wskórali. Zmniejszono co prawda liczbę kijów dla amerykańskiego „swawolnego Dyzia” i w końcu nie dostał ich 10, a 6, ale trzeba pamiętać, że każdy wrzyna się w ciało i przecina je do kości, pozostawiając bliźnę. Po każdym przychodzi do delikwenta lekarz i opatruje ranę. Czeka się z następnym kijem do momentu, gdy ofiara będzie gotowa do jego „odbioru”...

OBŁOCZNA SPRAWA

Państwo gnieździ się na obszarze zaledwie dwa razy większym od Krakowa i jest drugim co do gęstości zaludnienia w świecie, więc musi rosnać

MIASTO

– FIRMA RODZINNA

Singapur to miasto – państwo stworzone przez Lee Kuan Yewa – wieloletniego premiera. Jego dzieło kontynuują członkowie najbliższej rodziny.



RELAKS

**Humanistom
brakuje w tym
mieście Muz.
Jednak, prócz
codziennej
mrówczej pracy,
mieszkańcy
znajdują także
czas na relaks.**

w górę – co też czyni, przy pomocy architektów – z poetyką przemysłowością i fantazją.

Gdy wyglądałem przez okno pokoju z XX piętra – widziałem wijący się w dole kanał i mrówczą krzątanicę aut, a na wprost oczu – drapacze chmur. Metafory i skojarzenia same cisną się do głowy:

*Singapur to obłoczna sprawa
lotnisko raket ze szkła i betonu
startujące w przyszłość
wprawione w ruch dwudziesto-, trzydziestopiętrowe,
czarodziejskim zaklęciem zastygłe w locie
wryte w niebo (...)*

*a wieczorem przypominają olbrzymie parostatki
żeglujące między obłokami
z tysiącami rozświetlonych kabin-okienek
w których mieszkańcy układają się
do kosmicznej wyprawy w sen (...)*

A PRZECIEŻ...

...jeszcze w latach 60. w wielu miejscach, gdzie stoją dziś wieżowce były bagna, mokradła i dzungla – opowiadał Sing Choin Mee prowadzącą nas

po muzealnych salach China Town, w najstarszej singapurskiej dzielnicy. Chińczycy, którzy przypliwali „za chlebem” mieli okropne maniere: obsikiwali podwórka, opluwali się na przystankach, wyrzucali śmieci przed dom – gdyby więc nie surowe restrykcje wymyślone przez Lee Kuan Yewa, trudno byłoby wytepić te rażące praktyki. W porze monsunowej dzieci taplały się po kolana w błocie, panował głód, brud, uliczki były ciasne, w domach – brak toalet, gazu, w piecach palono drewnem, więc zdarzały się częste pożary.

Trudno się dziwić, że dziś, gdy najbardziej elementarne potrzeby zostały zaspokojone – jego mieszkańcy akceptują bez sprzeciwu reguły polityki Lee Kuan Yewa. Większość mieszka w zbudowanych przez rząd wieżowcach, dzięki czemu zniknął problem bezdomnych i slumsów, z którymi borykają się ościenne państwa. Prawie każdy Singapurczyk ma dobrze płatną pracę, więc pracuje, pracuje od rana do wieczora, a w przerwach je, je, je, bo uwielbia to jeszcze bardziej od pracy.

Na dzień dobry Singapurczyk pyta Singapurczyka – „czy już jadłeś?” i jest to ich narodowe pozdrowienie. Ten nabożny stosunek do „wcinania” (ja przywiązałem się tam do ryżu z kaczką) ma

atawistyczne podłoże. Kiedyś umierali z głodu i wycieńczenia, więc teraz pragną się najęść do syta, nie tylko za siebie, ale i za wygłodniałych przodków, do których się zresztą modlą i którym składają ofiary.

Poza tym – 44 tysiące Singapurczyków to milionerzy!

A jednak ten zglobalizowany i zmaterializowany do cna Singapur musi budzić we mnie, pocie, apokaliptyczne wizje przyszłości, w których sztuka staje się niepotrzebna i żyje się „samym chlebem”, a sprawy ducha pozostają na marginesie.

CENA SUKCESU

Cena za nieprzerwane pasmo sukcesów ekonomicznych była wysoka: cokolwiek rząd wymyślił – naród musiał się zgadzać bez słowa sprzeciwu. To z kolei wiązało się z silnie zakorzenionym poczuciem hierarchii: „boss” to bóg, podwładni mają być posłuszni wobec przełożonych, młodzi wobec starszych, jednostka podporządkowana jest grupie, społeczności, państwu, bez względu na to czy się jej to podoba czy nie.

Wojtko Kędziora, polskiego przedsiębiorcę mieszkającego już kilkanaście lat na tej wyspie – zachwyca pracowitość i karność obywateli, genialna organizacja państwa oraz wymieniony marketing Singapurczyków, przyciągający biznesmenów z całego świata – przede wszystkim ofertą niskich podatków.

Są i tacy, co wyrażają się wręcz pogardliwie o tym „państwie termitów”, bez wyższych potrzeb duchowych. Znajoma odsłania przede mną materialistyczną twarz Singapuru, wyrachowanie Singapurczyków, ich całkowity brak szacunku dla książek, twórców, arcydzieł ducha ludzkiego.

– Artyści nie mieli nigdy poważania w kraju zrodzonym z ducha Konfucjusza i jego myśli o idealnym państwie. Co prawda istnieje tu – opowiada – wspaniała Esplanada, w której odbywają się koncerty i występy teatralne zagranicznych zespołów. Ale na przykład w orkiestrze singapurskiej gra aż pięciu Polaków i tylko jeden rodowity Singapurczyk. Pozostali muzycy są ściągani na kontrakty z zagranicy.

Znajoma jest wyraźnie rozczarowana Singapurem. Dzieli się za to z zapalem wrażeniami ze swych wycieczek na dzikie tereny Malezji. Darzy sympatią Malajów, którzy są biedni, ale mają swój honor. Na Borneo, gdzie zostali zaproszeni wraz z mężem na obiad przez rodzinę indonezyjską, zobaczyli taką wzajemną miłość między ludźmi, że ubogie jedzenie w chatce wydało im się ucztą w pałacu królewskim.

Mówi mi, że owszem – można ulepić „mix-Singapurczyka”. Można go uczynić bogatym, pracowitym, zdyscyplinowanym, ale co z tego, gdy nie ma



on wpojonych potrzeb i zamiłowań estetycznych, duchowych... Pieniądze, pieniądze, pieniądze.

Pieniążki składa się na specjalnym talerzyku bogom, aby zapewnić sobie pomyślność finansową.

Kobieta opowiada anegdotę o gospodarzu jej domu. Ma on najnowszy model ferrari, dom i brakuje mu tylko przednich zębów, czego zresztą nie zauważył, do momentu, gdy...

– Pewnego dnia zapytał mnie chytrze, dlaczego nie kupimy sobie auta.

– Nie stać was?

LEW I GIGANTY

Podniebne drapacze chmur i lew – symbol miasta, to najbardziej rozpoznawalne miejsca w Singapurze.

JAK PRZED LATY

Prócz zapierających dech w piersiach podniebnych kolosów – w Singapurze znaleźć wciąż można specyficzną, kameralną atmosferę zaułków azjatyckiego miasta.



Magdalena Ługin • Biuro Ubezpieczeń Indywidualnych Ergo Hestii

Należy pamiętać, że większość ubezpieczycieli nie odpowiada za szkody powstałe wskutek naruszenia zasad sanitarnych lub popełnienia przestępstwa przez Ubezpieczonego. Udając się więc w podróż, warto się dowiedzieć, jakie prawa obowiązują w odwiedzanym zakątku świata i jakie panują tam obyczaje. Może się zdarzyć, że zupełnie nieświadomie popełnimy przestępstwo. W wielu krajach nawet najmniejsze przewi-

nienie może okazać się przestępstwem karanym np. karą grzywny (np. wyrzucenie papierka na ulicę) lub chłostą (graffiti).

Przed wyjazdem pamiętajmy o wymaganych szczepieniach ochronnych np. przeciwko chorobom tropikalnym. Dobrze też jest poznać zasady sanitarne, dotyczące pożywienia i wody do picia.





– Odpowiedziałam mu: Dla tego samego powodu, dla którego ty nie wprawiasz sobie zębów...

Materializm wyzierający ze wszystkich kątów singapurskiego ducha i będący jedynym kryterium oceny człowieka – obrzydził jej do cna pobyt w Singapurze, więc nie chce tu zostać zbyt długo.

NA WYBIEGU

Taryfiarz, z którym jechałem do podnóża góry Bukit Timah, miał już z Polakami do czynienia, gdyż pływał po dalekich morzach. Dlatego, w chwili szczerości, pozwolił sobie na trafne porównanie, oddające charakter tej wyspy-państwa:

– Singapur to jeden wielki ogród zoologiczny, w którym mieszkańcom żyje się komfortowo i bezpiecznie. Każdy ma zapewnione bezpieczeństwo, mieszkanie, jedzenie, pracę, ale każdy ma też wszczepiony od urodzenia „chip” autokontroli. Wie, co mu wolno, a co nie. Czyli – wybieg niewielki, wolność ograniczona...

To porównanie do ogrodu zoologicznego brzmi w jego ustach odważnie, jeśli się zważy, iż Singapur otoczony jest siecią niewidzialnych oczu i uszu, które wszystkie chcą słyszeć i widzieć. To też przejaw doskonałego funkcjonowania maszynierii państwa...

Jak na razie, erotyzmu i wydajności seksualnej nie da się jeszcze zadekretować. Może dlatego Singapurczycy, zajmujący najwyższe lokaty

w wszelkich światowych statystykach, nie bardzo wiedzą jak się zachowywać w tej intymnej sferze i pod względem aktywności seksualnej znajdują się na szarym końcu. Czy sam już ten fakt nie budzi wątpliwości co do singapurskiego modelu szczęścia?

Z WIZYTĄ U KUZYNÓW

Na najwyższym wzniesieniu Singapuru, Bukit Timah (167 m powyżej poziomu morza), atrakcją uratowanych od globalizacyjnego wyroku śmierci lasów deszczowych są, oprócz wrzasku cykad i egzotycznych kształtów tropikalnych drzew (shorea, biku-biku, bengbeng, setaya), makaki – małpki szerokonose.

Oglądamy akrobatyczno-baletowe popisy makaków w gałęziach drzew i na lianach. Przeskakują po 3-4 metry w powietrzu, jedzą grzybki-pasożyty rosnące drzewach, pałaszują liście. Małpki też przyglądają nam się z uwagą. Podchodzą do nas blisko, gdy wracamy ze szczytu. Muszę im rzucić na pożarcie banany, żeby nie kusily zapachem.

Jak tu nie skorzystać z okazji, żeby z nimi pogawędzić, tym bardziej, że jako poeta czyli człowiek zachowujący resztki pierwotnej wrażliwości – nie zatraciłem całkowicie daru porozumiewania się z Naturą. Patrzę na mnie z lekka ironicznie, gdy je pytam czy nie chciałyby się zamienić losem.

COŚ ZA COŚ

„Mieszkańcom żyje się komfortowo i bezpiecznie. Każdy ma zapewnione mieszkanie, jedzenie, pracę, ale każdy ma też wszczepiony od urodzenia „chip” autokontroli.”



Autor tekstu, Józef Baran, napisał ponad 30 książek poetyckich i eseistycznych, wydanych w kraju i za granicą.



MAKAK PRAWDE W OCZY

Wykarczowaliście lasy!
I co? Goło, betonowo,
smogowo...
A dajcież nam spokój!

steście smutnymi dwunogami, brakuje wam naszej spontaniczności i radości istnienia, poruszacie się wolno, nieporadnie. W majestacie drzew jesteście na swój sposób od was szczęśliwsze – drodzy dalecy kuzyni z wielkich metropolii, którzy wykarczowaliście lasy, stawiając w zamian te dziwne niebotyczne wieżowce. I co? Goło, betonowo, smogowo? Ni ptaszę nie zakwili, ni prosię nie zakwiczę...

Na postoju taksówek u podnóża Bukit Timah rozlokowały się makaki – piraci. Zbliżają się do nas w celach rabunkowych. Trzeba uważać. Podobno gdzieś w okolicach niemieckiej szkoły, przylegającej do rezerwatu, napadają na dzieci, zabierają im śniadania, banany. Niedawno nawet jedno poraniły. Są bezczelne i nie mają wobec nas, dalekich krewnych, żadnych kompleksów.

Robimy sobie z jednym sympatycznie wyglądającym makakiem „zdjęcie rodzinne”, a potem, omijając szerokim łukiem całe stado małych, z ulgą wskakujemy do taksówki...



PS. Niedawno widziałem po raz kolejny film „Buena Vista Social Club”. Kubańscy są znakomitym przykładem tego, że radość życia nie ma związku z materialnym niedostatkiem, tak jak nie jest zależna od dobrobytu.

W Hawanie brudno, tandetnie, kamienice odrapane, ustrój wydawałoby się o wiele gorszy niż w na wskroś kapitalistycznym Singapurze... A mimo to ludzie śpiewają, tańczą na ulicy, cieszą się życiem, a ars amandi kwitnie, choć klimat podobny tu i tam....

Jak to jest i jaki powinien być model szczęścia?

Niewątpliwie ani Singapur, ani Kuba nie są optymalnymi dla ludzkości rozwiązaniami w kwestii: jak żyć. Może, gdyby się dało wyśrodkować modele – osiągnęlibyśmy pełnię?

Mądrzy Grecy wiedzieli, że do osiągnięcia pełni szczęścia zbliżyć ich może wynawany przez nich system wychowawczy zwany pajeją, polegający na harmonijnym kształtowaniu ducha i ciała. Ale to już osobna kwestia... ○

Z człowiekiem. Zdają się kiwać przecząco głowami: nie, pragną pozostać z woli natury na pradawnym miejscu w hierarchii ewolucyjnej. Wiedzą swoje, że są tu szczęśliwsze niż ja tam, w hotelu. Wiedzą też, że należy się trzymać z daleka od cywilizacji.

– Czy warto wam było piąć się po drabinie ewolucji? – zdają się mnie pytać. – Przecież żyjemy tu dalej jak w raju. Mamy koncerty cykad i ptaków, urozmaicone życie. Skaczemy po ziemi i po wierzchołkach drzew, obserwujemy świat z wysoko, a gdy trzeba – patrzymy na was z bliska i widzimy, że je-



PODRÓŻ TO SPOTKANIA Z ODMIENNOŚCIĄ...

INNE KRAJOBRAZY, ZWYCZAJE, LUDZIE – A WŚRÓD NICH, DLA PODRÓŻNYCH ŻADNYCH WIEDZY NA TEMAT ODWIEDZANYCH MIEJSC, ISTOTNE OSOBY: PRZEWODNICY. PRZEZ PRYZMAT ICH WIEDZY I WRAŻLIWOŚCI POZNAJEMY NOWE ŚWIATY, NA OGÓL NIE PAMIĘTAJĄC O TYM, ŻE DLA NICH I MY JESTEŚMY ŹRÓDŁEM INFORMACJI. WYDAŁO NAM SIĘ CIEKAWIE DOWIEDZIEĆ SIĘ OD PRZEWODNIKÓW Z RÓŻNYCH STRON ŚWIATA, JAKIE MIELI DOŚWIADCZENIA Z TURYSTAMI.

Manish Bhardwaj

PRZEWODNIK Z INDII



Od czternastu lat oprowadza turystów. Zaczynał jako dwudziestolatek, po odbyciu szkolenia w rządowym Departamencie Turystyki. Oprowadza grupy anglojęzyczne, ale władza też językiem niemieckim i przede wszystkim zajmuje się turystami z Niemiec.

Kiedy po raz pierwszy spotkałeś się z Polakami? Czy, Twoim zdaniem, coś ich wyróżnia?

Bardzo lubię Polaków, są uprzejmi, przyjacielscy i bardzo otwarci. Wyróżnia ich zwłaszcza niezwykła cecha: kochają swój kraj. Przypominają w tym Indusów. Dlatego łatwiej im zrozumieć Indie, a dzięki temu mnie łatwiej i przyjemniej się z nimi pracuje.

Jakie jest najczęściej zadawane pytanie, jakie najciekawsze, a które najgłupsze?

Do tych standardowych należą: dlaczego krowa jest świętym zwierzęciem, czy jemy wołowinę i czy krowy widziane przy drogach mają właściciela. Często też jestem pytany, co Indusi myślą o Brytyjczykach, którzy rządzą Indiami przez 200 lat. Cieszę się, kiedy turyści zadają pytania dotyczące największej demokracji świata, jaką są Indie i naj-

popularniejszej w Indiach religii, hinduizmu. Staram się wówczas udzielać wyczerpujących odpowiedzi, by pomóc im zrozumieć mój kraj. Jeśli miałbym przytoczyć najgłupsze pytanie... Kiedyś, podczas zwiedzania Tadź Machal, kiedy przez pół godziny mówiłem, że to najpiękniejszy w świecie grobowiec, w którym złożona została mogolska cesarzowa, pewien Amerykanin, zapytał: – OK, to kto tu jest pochowany?

Czy nauczyli Cię czegoś turyści?

Zawsze wiele się uczę. Na przykład punktualności, która w Indiach nie jest istotna, ale jest ważna dla ludzi Zachodu. W naszym słowniku nie ma nawet takiego słowa, jak „punktualność”.

Służą też jako pozytywny przykład, kiedy nie wyrzucają śmieci na ulicę, co wciąż robi większość Indusów. Cenię ich też za wielkie serce okazywane biednym.

Czy musiałeś się kiedyś za nich wstydzić?

To było w Radżastanie, gdzie oprowadzałem dwudziestoosobową grupę. Zatrzymaliśmy się, by zrobić zdjęcia kobietom pracującym w polu. Jedna z nich karmiła niemowlę. Któryś z turystów zawołał kolegę, żeby przyjrzał się, jaki fajny ma ona biust, po czym obaj zaczęli się śmiać. To była obraza, nie tylko dla tej biednej matki, ale dla wszystkich kobiet na świecie. Skontaktowałem się z biurem i powiedziałem, że nie chcę dłużej pracować z tymi mężczyznami. Poparła mnie pozostała część grupy.

Czy oprowadzanie turystów może być niebezpieczne?

Podczas pobytu w parku narodowym Chitwan w Nepalu, gonił nas niedźwiedź wargacz. Jest to groźny drapieżnik, nie rzadko atakujący ludzi. W Nepalu jest sprawcą licznych okaleczeń, a nawet śmierci. Było niebezpiecznie, ale uratowali nas strażnicy przyrody, którzy przegonili zwierzę.

A śmieszne?

Sytuacji zabawnych zawsze zdarza się wiele. W pamięci utkwił mi pewien brytyjski gentleman, który miał taką obsesję na punkcie swojego narodowego dania, że przez dwa tygodnie pobytu w Indiach jadł wyłącznie *fish and chips*. Nie było łatwo zapamiętać mu takie menu.

Co najbardziej dziwi turystów?

Chaos, jakiego można doświadczyć na ulicach Indii, i że mimo wszystko jeździ się tu dość bezpiecznie.

Co najbardziej razi Twoich rodaków w zachowaniu turystów?

Indusi są bardzo gościnni i trudno ich urazić, jednak nie jest dobrze widziane publiczne całowanie się. To po prostu kwestia innego sposobu myślenia.

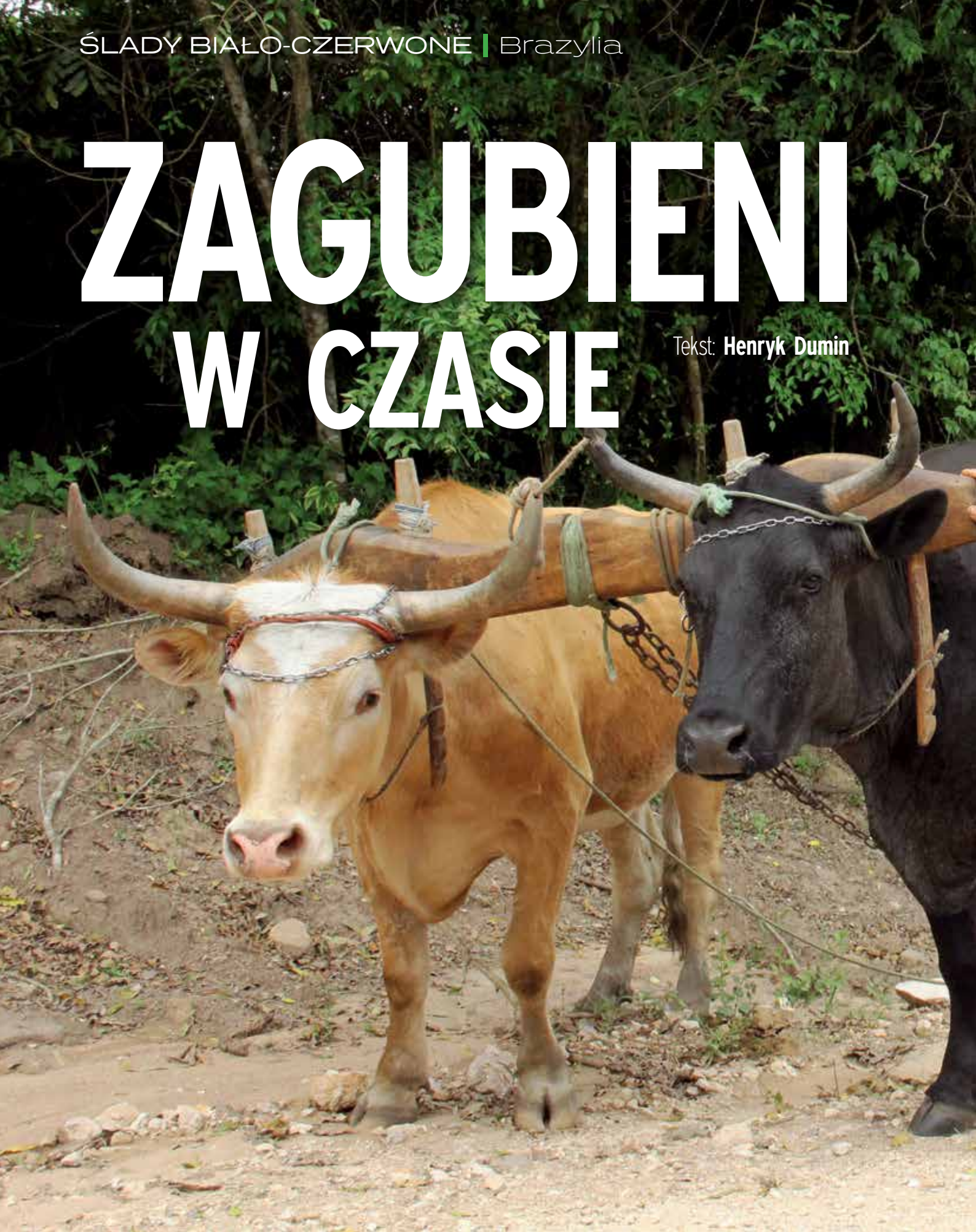
Co powinni wiedzieć turyści wybierając się do Indii?

Warto, żeby byli przygotowani na ogromny kontrast pomiędzy biedą i bogactwem, jaki tu napotkają. ○

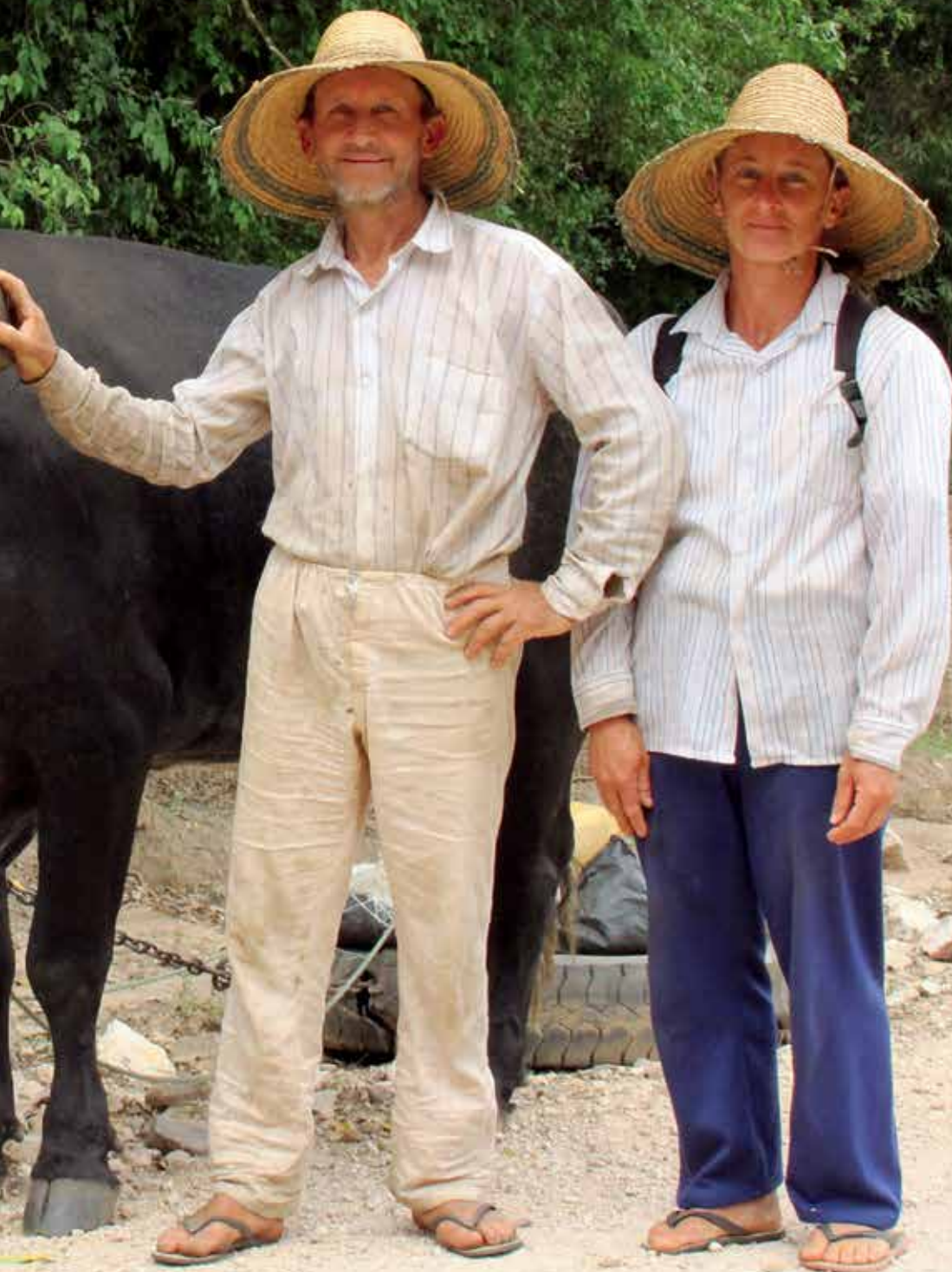
ŚLADY BIAŁO-CZERWONE | Brazylia

ZAGUBIENI W CZASIE

Tekst: Henryk Dumin



Kraina Polaków w brazylijskiej dżungli



**WCIAŻ
PRZYDATNE**

Do orania i wozu
woły są najlepsze.
Oj, mają siłę!

JEDNI Z WIELU

Rodzina Longiny
Szcześciński-Kawski
wywodzi się
z Warszawy.



Na starych fotografiach dobrze ubrani ludzie: kobiety w długich sukniach z koronkami, wąsaci mężczyźni w garniturach. Wszyscy mają godne postawy i piękne polskie nazwiska: Krasowski, Zawadzki, Topaczewski, Maliszewski, Wołowski.



Polacy nie byli tu pierwsi. Najpierw dotarli Francuzi, ale podążyli dalej, zostawiając po sobie nieliczne domostwa o architekturze typowej francuskiej prowincji. Parterowe domki do dziś przyciągają wzrok eleganckimi proporcjami i dyskretnym detalem okiennych obramowań. Sao Feliciano przemianowano na Dom Feliciano, aby brzmiało bardziej swojsko.

DAWNO, DAWNO TEMU...

...w 1890 roku, polscy imigranci zaczęli zasiedlać ten teren. Każdej przybywającej rodzinie obiecywano dwadzieścia pięć hektarów ziemi na terenie wycyzonym wzdłuż linii wychodzących z centralnego punktu miasta.

Zamieszkiwanie w Porto Alegre było nobilitujące i nawet obecnie, mając mieszkanie i pracę w stanowej metropolii, można nadal chwalić się takim pochodzeniem. Dotrzeć tam jednak nigdy nie było łatwo, nawet dziś, kiedy budowana jest już pierwsza droga. Niwelowanie wzniesień i wysadzanie skał trwa od ponad roku i dotych-

czasowe wyprawy przez bezdroża pośród wzgórz będą niedługo należały do przeszłości. Podobnie jak cała historia, którą przynieśli ze sobą tutejsi mieszkańcy.

KRAINA POLAKÓW

Prawie wszystkie nagrobki na miejscowym cmentarzu mówią po polsku. Mnogość szlacheckich nazwisk – zestawiona z egzotyką subtropikalnej roślinności, tworzy nieco surrealistyczny klimat miejsca. Na emigracyjną podróż zdecydowali się najodważniejsi: ci z poczuciem swojej wartości i silną wolą.

Po obu stronach wysadzonej palmami alei leży kilka pokoleń Polaków którzy budowali brazylijską współczesność. Słowiańskie rysy twarzy do dziś można dojrzeć na ulicach. Ich posiadacze toczą rozmowy w języku z czasów i środowiska, które opisała Maria Dąbrowska w „Nocach i dniach”. Dla współczesnego Polaka to język prababci; dziwi w pierwszej chwili, zwłaszcza np. w ustach dwudziestolatka, który marzy o studiach w Polsce.

Dom Feliciano to kraina Polaków, którzy nie zaznali wojen światowych ani upokorzeń komunizmu. Za to – żywe są tu nadal wspomnienia carskich represji i doznanego wtedy niedostatku. Nie zatęrzyły tych obrazów współczesne relacje o dzisiejszej Polsce, ponieważ nie dociera tu sygnał polskich stacji telewizyjnych, czasopisma ani książki – a kraj pradziadków odwiedzili dotąd tylko nieliczni.

DALEKO OD SZOSY

Chcąc dotrzeć tu z Porto Alegre, gdzie lądują samoloty i wrze wielkomiejskie życie, trzeba przemierzyć sto siedemdziesiąt kilometrów dróg i bezdroży. Mijane pola ryżowe, z fruującym nad nimi kolorowym ptactwem, sąsiadują z połaciami pastwisk, gdzie samotnym gauchom na koniach asystują nieodłączne psy. W zaroślach, wzdłuż dróg posiadają grupy „bugrów”, jak zwykli określać miejscowych Indian tutejsi Polacy.

Sprzedawanie przez nich plecionych wyrobów łatwo uznać za pretekst, by pozostawać godzinami w bezruchu. Unikają wzroku obcych, szczególnie tych o niebieskich oczach, i trwają obok galopującej cywilizacji. Nocami stanowią zagrożenie dla kierowców, no i siebie samych – ze względu na osoblwią predylekcję do sypania na ciepłym asfalcie.



PAMIĘĆ PRZETRWA
Napisy na grobach w Dom Feliciano opowiadają historię tutejszych Polaków.



PÓLTORA LUB WIĘCEJ

Stan Rio Grande do Sul to bogata ziemia o obszarze niewiele mniejszym od Polski. Słynie hodowlą bydła, rozwiniętym przemysłem i życiem kulturalnym o wysokich aspiracjach. Sprawcami obecnego dobrobytu tej ziemi byli imigranci przybywający tutaj w ciągu całego dziewiętnastego stulecia. Z dużych grup osiedleńczych najpierw pojawili się tu Niemcy, potem Włosi, zaś pod koniec wieku – Polacy. Często mylnie określano ich jako Rosjan lub Niemców, z powodu paszportów wydanych przez zaborców.

W Brazylii do polskiej tożsamości otwarcie przyznaje się dziś prawie półtora miliona osób, a rzeczywiste szacunki mówią o liczbie dwukrotnie wyższej, z czego trzysta tysięcy zamieszkuje na południu.

STRACH POPŁYNAŁ Z NIMI

Rodzina Stefani Borowiczowej pochodzi z Kazimierza: „Wyjechali do Brazylii, bo w Polsce taka rewolta była, że i Niemiec, i Ruski chcieli naszych chłopów na wojnę brać”. Pani Stefania jest jedną z ostatnich przedstawicielek pierwszego pokolenia Polaków urodzonych na brazylijskiej ziemi: „Ciężko było, a już najbardziej ludzie bali się dzikich, co wielu Polaków zabili, upiekli nad ogniem i potem zjedli”.

GORĄCZKA

„Gorączka brazylijska” pod koniec dziewiętnastego wieku zawładnęła wyobraźnią wielu Europejczyków. Oferowano im darmowy rejs statkiem w jedną stronę i ziemię. Tej ostatniej szczególnie głodni byli Polacy mieszkający na terenie zaboru rosyjskiego. Po powstaniu styczniowym, na mocy carskich ukazów nie wolno im było nabywać ziemi. Posiadane przez szlachtę zagrodową majątki stawały się coraz mniejsze – przez dzielenie ich wśród licznych w tamtych czasach potomstwa. Na początku lat dziewięćdziesiątych XIX wieku sytuacja stała się tak dramatyczna, że zdesperowani młodzi ludzie z rodzinami postanowili skorzystać z brazylijskiej szansy.

Z Mazowsza, Podlasia i Lubelszczyzny wyruszyli w podróż, zostawiając za sobą przykre wspomnienia nieustannych urzędowych szykan, biedy, braku jedzenia i jakichkolwiek perspektyw.

EKSODUS

Wypływano z Hamburga i Bremy, by po czterdziestu dniach, syconych marzeniami o spodziewanym dobrobycie, dotrzeć do Rio de Janeiro. To jeszcze nie były te spodziewane „bramy raj”, ponieważ po przesiadce podążano do położonego bardziej na południe portu Rio Grande. Po kolejnych kilkunastu dniach przeładowywano dobytek na wozy

zaprężone w woły i kierowano się ku położonemu wśród wzgórz Dom Feliciano. Wycieńczonym podróżą ludziom oferowano do objęcia po 25 hektarów ziemi. Jak się jednak okazało, trzeba było za nią zapłacić, choćby w ratach.

Wielu chciało natychmiast wracać. Klócili się potem i pili na umór. Większość jednak z pokorą wobec losu osiadła na ziemi, porośniętej gęstym, subtropikalnym lasem. Aby pozbyć się pni po powycinanych z mozołem drzewach, należało rozpalić na nich ogniska. Wypalone w ten sposób, z czasem próchniały. Można było przystąpić do uprawy roli.

Wspólnotę budowano z trudem, nie brakło dramatów osobistych i grupowych. Powstały pierwsze osady, ale czasy nie były bezpieczne. Grasowały bandy, bezkarnie pozbawiające ludzi mienia i życia, a grozę budziły opowieści o Indianach, gustujących ponoć w mięsie białych ludzi. Stefania Borowiczowa do dziś opowiada o jednym z ostatnich aktów kanibalizmu, który miał miejsce w niedalekiej okolicy Camaqua.

Jednakże, kontakty z Indianami bywały sporadyczne. Trzymali się oni zwykle w oddaleniu, chociaż znany jest przypadek, że jeden z Polaków miał za żonę Indiankę, zaś jego indiańska teściowa wzbudzała podziw tym, że potrafiła węchem wyczuć zapach zbliżającej się zmił.

UDANE DACHÓWKI

Pani Stefania z sąsiadem, Karolem Brysiem, przed domem wybudowanym przez dziadków. Kształt glinianych dachówek formowano na... męskich udach.





Żmije budzą strach i zwykłym jest widok przydomowych kur nocujących na drzewach w obawie przed ukąszeniem.

– *Tęsknicie za Polską?* – pytam Helenę Czarnęcką.

– *Nie. Czemu? Kilka razy w roku mamy tu plony, możemy codziennie jeść mięso...*

Urodziła się już w Brazylii, ale wie, że w Polsce było biednie. Ze ścian patrzają święci z Polski, podobni duchom opiekuńczym. Stoją wszechobecne pasyjki z Chrystusem. Zdarzają się też haftowane makatki z inskrypcją: „Boże, błogosław nasz dom”. Mają chronić domostwa w brazylijskiej „ziemi obiecanej”.

A TU... „GÓRAL”

Dzisiaj przy wjeździe do Dom Feliciano bieleją ściany budynku w pseudogóralskim stylu. To miejscowy Dom Kultury i Imigrantów. Kiedy niedawno go projektowano, starano się nadać mu styl jak najbardziej polski, więc wybrano... dość egzotyczną dla tutejszych Polaków konwencję góralską.

Wewnątrz – skromna ekspozycja zebranych pamiątek pozwala przenieść się wyobraźnią do czasu, kiedy rozpakowywano skrzynie z narzędziami do pracy, żeliwnymi garnkami, szklanymi mucholapkami. Były też instrumenty i książki. Do dzisiaj zadziwia mnogość obrazów zachowanych z czasu wielkiej wędrówki – oleodruków, często poskładanych w osiem części – tak, żeby można je było łatwiej transportować.

Obrazy maryjne i święci mieli błogosławić przestrzeń objętą w posiadanie i wspierać w częstych chwilach zwątpienia.

Ekspozycja w domu kultury pełna jest polskich akcentów, a dyrektor Lucjana Rembowska opowiada o swojej rodzinie – jak to pradiadek, podczas przeprawy do Brazylii, stracił na oceanie żonę oraz dwoje dzieci. Po poślubieniu kolejnej kobiety – znów pozostał samotny, z dwójką następnych. Załamany, niedługo potem zmarł.

NIE JESTEŚ POLACA!

Lekarka Grażyna Ziemiecka pochodzi z Białegostoku. Pracuje wśród tutejszych Polaków od dwudziestu lat i z niezmiennym uporem poprawia pacjentki przedstawiające się „Eu sou polaca”: „Nie mówi się polaca (potocznie: prostytutka), lecz polonesa!”. Pejoratywne określenie upowszechniło się w pierwszym okresie emigracji, kiedy to wiele osamotnionych kobiet, także innych nacji, zeszło na złą drogę w portowym tygłku Rio Grande. Wszystkie nazywano wtedy „polaca”.

W trakcie rozmowy pojawiają się pielęgniarki – także Polki. Starają się trochę mówić po polsku, ale przychodzi im to z trudem. W języku tym rozmawiały z babcią i matką, teraz mają mniej okazji do używania polskiego. Z wdzięcznością przyjmują obrazki z Matką Boską Częstochowską.

Najczęściej we wspomnieniach historia rodziny rozpoczyna się dopiero na brazylijskiej ziemi. Nikt

POZOSTAŁ SMUTEK

Ana Maciejewski ze smutkiem wspomina carskie szykany: „Ruscy gnębili Polaków, nawet pacierza nie można było uczyć...”



PO ZNOJNYM DNIU

Przedwieczorny powrót z pola, a po drodze modlitwa pod krzyżem na rozstajach wśród palm i eukaliptusów.

nie pamięta nazw miejscowości, z których przybyli pradziadkowie. Trauma wyniesiona stamtąd okazała się tak silna, że wymazywano celowo z pamięci ślady polskiej przeszłości. Nie chciano do tego wracać.

ZASŁUCHANI W PRZESZŁOŚĆ

Elias Górnicki-Racki ma wygląd przedwojennego polskiego rejenta lub lekarza. Razem z żoną Laurą mieszkają w Camaqua. W ich domu można spotkać zwykle wielu Polaków. Longina Kawski przyszła z synową, Niemką, której nie może się nachwalić. Przyniosła stare fotografie z dziadkami i rodzicami. Wszyscy zasłuchują się, gdy „Podolanek” śpiewa obecna tu także Salomea Pietrowicz: *Na Podolu biały kamień, Podolanka siedzi na nim...* Jako jedna z nielicznych pamięta, że rodzice przybyli spod Wilna. Dość późno, bo tuż przed pierwszą wojną światową. Nie może przypomnieć sobie ostatniej zwrotki. Po chwili maksymalnego skupienia wszystkich obecnych, wreszcie jest niemal kompletna wersja ballady liczącej sobie ponad sto lat. Kiedy spotkam ją kilka dni później, doda jeszcze jedną przypominaną zwrotkę – i to już będzie chyba całkowita wersja pieśni przeniesionej w pamięci przez kilka minionych pokoleń.

Pieśni do dziś wzmacniają poczucie polskiej tożsamości. Według opinii folklorystów, właśnie w brazylijskim interiorze przetrwały najstarsze na świecie formy polskiego folkloru ustnego. Kolejne potwierdzenie tej tezy znajduję podczas spotkania ze śpiewaczką, o której prawie wszyscy mi wze-

śniej wspominali. Znajduję ją na rozległym polu tytoniowych sadzonek przy pracy w pełnym słońcu. Janina Goldas daje się bez trudu namówić na śpiewanie. Mimo zaawansowanego wieku – jej wzrok zdradza energię i poczucie humoru. Snuje zaraz dawną balladę o wojnie tureckiej, o wojskach pod Kamieńcem Podolskim. Pieśń przywołuje odległe klimaty i epokę bohaterskich zmagania wojsk króla Sobieskiego. Na pytanie o źródło pieśni wskazuje na *sogrę*, czyli teściową, która się jej nauczyła podczas podróży przez ocean.

BALE

Do dziś z pasją opowiada się o pierwszych weselach i zabawach na brazylijskiej ziemi. Zawsze czterech muzykantów grało przy powitaniu młodych chlebem i solą, a potem do tańca. Były ocepiny z uroczystym zdejmowaniem welonu zdobionego świeżymi kwiatkami. Gości zapraszano wielu, bywało, że nawet i dwieście osób. Po muzyce wszyscy szli na *churrasco*, czyli mięso pieczone na ogniu. Do dziś potrawa ta stanowi narodową namiętność brazylijską bez której nie obejdzie się żadna większa uroczystość, szczególnie w krainie gauchów. Do niedawna małżeństwa zawierano w kręgu własnej, polskiej grupy. Od czasu zaniechania w latach siedemdziesiątych organizacji polskich zabaw, zwanych „balami”, coraz więcej zdarza się mieszanych małżeństw z „Brazyliankami” i dorastają już pierwsze dzieci z tych związków.

Z pewnym sentymentem wspomina się do dziś te polskie „bale”. Odbywały się zwykle raz w miesiącu w budynkach wiejskich szkół. Grywano

walczki, oberki i polki pamiętane jeszcze z Polski. Olga Rosiak wspomina, jak na „bale” jeździła z rodzicami na koniu. Pannie koniecznie musiał towarzyszyć ojciec lub brat, nigdy nie mogła iść tam sama. Wnętrza szkół dekorowano z tej okazji bibułkowymi kwiatkami. Tylko kawalerowie musieli płacić za wstęp i bawiono się potem do rana. Spotkań tych zaniechano czterdzieści lat temu, kiedy urzędowo zaczęto wymagać od wiejskich muzykantów licencji.

WIECZÓR

Na rozstajach oracz z koniem wraca z pola uznojony i uśmiechnięty jak z obrazu. Aby złudzenie było całkowite, przystaje nieopodal krzyża, pozdrawia z daleka jadących, daje się sfotografować, lekko zdziwiony zainteresowaniem.

Tuż przed domostwem Laura Rosiaka droga obniża się. Widać skromne gospodarstwo z witającymi nas kolejno dziećmiakami, psy ujadające na przybyszów. Zapada szybki zmierzch. Wchodzimy do ubogiego wnętrza. Cała rodzina krząta się, robiąc miejsca dla gości, dopełniając prezentacji. Córeczka Laurinha ma dzisiaj piąte urodziny. Przyjmuje skromne prezenciki. Na stole staje taca z różowym ciastem przygotowanym przez ciocię dziewczynki. Rodzina ubogich, lecz na swój sposób szczęśliwych ludzi, akceptuje życie takim, jakim jest.

KUCHNIA

Z pól wracają rolnicy, z wołami w jarzmach. Są Polakami i spieszą się na posiłek po pracy. Może porozmawiamy innym razem...

Siadamy do kolacji. Potrawy są pamiątką po opuszczonej niegdyś Polsce. Nie wszystkie jednak mogły się w Brazylii udać. Czasem bywało z tej przyczyny dramatycznie – jak np. z grzybami, kiedy po jednym z pierwszych obfitych grzybobrań na nowej ziemi, uśmiercona została cała polska wieś. Grzyby, podobne do rosnących w Polsce podgrzybków, okazały się trujące.

DZIEŃ

Ulica w Dom Feliciano często mówi po polsku, lecz powszechnie po portugalsku. Czas trochę inaczej tu płynie. Może będzie tak jeszcze do momentu zakończenia budowy drogi i szerszego otwarcia na świat. Tymczasem za kościołem Nossa Senhora de Czestochowa suszy się drewno, w księżym ogrodzie dojrzewają cytryny wyglądem przypominające pomarańcze. W hotelu „Lauro” należącym do Lauro



Górnickiego, podają do obiadu pyszny *creme bulle*, aposąsiedzku, w pobliżu przybytku uciech o wdzięcznej nazwie Lanche Sul wylegają się znudzone psy. Słychać muzykę Chopina. To z pobliskiej kancelarii adwokata. Ivan Cesar Stachlewski Barao Dias – informuje tablica nad wejściem do biura prawnika.

W klubie emerytek przy sportowej sali jest tłoczno. Tańczą w malutkim pomieszczeniu same ze sobą. Środek dnia, bez specjalnej okazji – i ta atmosfera jak w marynarskiej kajucie. Witają się „dobry wieczór”, pytają „czy jest dobrze?”

Wieczorem społeczność elektryzują taneczne i muzyczne popisy w sali gauchów, gdzie Brazylijczycy o włoskim, niemieckim i polskim pochodzeniu przebierają się w pumpy, wkładają kapelusze o niskich rondach i miękkie buty do kolan, by ćwiczyć układy, z których słynie cały stan. Stan Rio Grande do Sul jest też sławny z najpiękniejszych modelek brazylijskich pochodzących właśnie stąd.

Polskiej społeczności w Dom Feliciano pisane jest otwarcie na świat. Dzięki nowej drodze. Coraz liczniejsze pewnie będą też powroty do krainy pradziadków, aby przekonać się, że nie ma tam już biedy, jest prąd, a ruski to po prostu sąsiad. Ci, którzy już tam byli, chcą znowu wracać, kształcić w Polsce dzieci i pielgrzymować do Nossa Senhora de Czestochowa. Gorącym orędownikiem tego jest młody lider tutejszej społeczności – Marcio Rosiak, niezwykle popularny miejscowy radny, dumny ze swojej polskości. Pozostaje nadzieja, że kulturowe dziedzictwo miejscowej społeczności nadal będzie źródłem inspiracji i punktem odniesienia dla kolejnych generacji zamieszkujących tę ziemię o urodzaju jurajskiego parku.

MARCIO ROSIAK

Lider miejscowych Polaków. Jest radnym, prowadzi polskie audycje w radiu i współpracuje z Polakami w kraju. Mówi się, że zna mowę zwierząt.

Autor **Henryk Dumin** jest etnologiem; zajmuje się badaniem tradycji kultury w warunkach przerwanej ciągłości osadniczej; publicysta i współpracownik Polskiego Radia; laureat zeszłorocznej Nagrody im. Oskara Kolberga.



FRANCJA

KOBIETA PUBLICZNA

NIEŁATWO JEST ZMUSIĆ ZAGUBIONEGO W LONDYNI FRANCUSKIEGO TURYSTĘ,
ABY ZACZĄŁ MÓWIĆ PO ANGIELSKU.

Z dumą dzieli się swoim rodowitym językiem, nawet jeśli innymi władają równie biegle. Francuzi z niepoprawną przesadą chlubią się Napoleonem, wieżą Eiffla i festiwalem w Cannes. Jednak największe peany wznoszone są tu na cześć ich ponętnych rodaczek. Nie tylko Joanna d'Arc jest uznawana przez nich za narodową bohaterkę. Brigitte Bardot, Catherine Deneuve czy nawet nieustannie uciekająca przed francuskim fiskusem Laetitia Casta, gloryfikowane są przez Francuzów z jednakowym uwielbieniem.

W ŚWIETLE REFLEKTORÓW

Kawiarniany gwar w Paryżu jest dowodem życia jego mieszkańców. W tym magicznym mieście herbaciarnie przeplatają się z kafejkami, co sprawia, iż francuska bohema zdaje się być nieśmiertelną. Stoliki i krzesła, na zewnątrz każdego lokalu, są ustawione na podobieństwo teatralnej widowni – tak, aby każdy gość siedział z twarzą skierowaną do ulicy.

Gwiazdami tego współczesnego, bulwarowego teatru są niewątpliwie zmysłowe, eleganckie i szykowne Francuzki. W zależności od aktualnego trendu, w zamasytych spódnicach lub opinających

minispódniczkach, majestatycznym krokiem przemierzają tę miejską estradę.

Dla Francuzów kunsztowne opakowanie jest równie istotne, jak sam prezent, dlatego też tutejsze kobiety nie zapominają, że ich największym obowiązkiem każdego dnia jest gustowny strój i nienaganny makijaż. Na początku XX wieku, słynna francuska aktorka Kiki de Montparnasse, muza miejscowych artystów, postrzegana była przez swoich rodaków jako ideał kobiecości. Znana z wyjątkowo frywolnej osobowości Kiki, uwielbiała seks-skandale i szampańskie zabawy do białego rana. Szczycąc się noszeniem jedwabnych pończoch bez bielizny, natrętym amantom pluła w drinki.

Z pewnością to Francuzki są uznawane za najbardziej wyzwolone kobiety świata. Nie przestrzegają one europejskich konwenansów i prekursorsko przekraczają wszelkie, obyczajowe granice. W latach 20. jako pierwsze pozwoliły, aby Coco Chanel ubrała je w spodnie; w 70. – bez pruderii paliły staniki, demonstrując na plażach swoje feministyczne oswobodzenie. Francuzki, wychowane na lekturze „Niebezpiecznych związków” Pierra de Laclosa i pornograficznych powieściach

Markiza De Sade, w liczbie partnerów seksualnych coraz rzadziej ustępują Francuzom i coraz częściej opowiadają się za małżeńskimi trójkątami.

KRÓLOWE SZYKU

Największym uzależnieniem, jakiemu ulegają francuskie kobiety – jest moda. To stąd pochodzą najsłynniejsi projektanci i to tutaj od lat rodzi się ich tekstylna sztuka. Dziś Yves Saint Laurent, Christian Lacroix, Louis Vuitton czy Christian Dior z nienagannym połotem ubierają cały świat. Jednak to właśnie we Francji co trzecia kobieta pozwala sobie na przeznaczenie swoich oszczędności na kupno markowej torebki czy też butów, których cena przekracza jej miesięczną wypłatę. Najsłynniejsza w całej Europie, paryska ulica Montaigne, kusi wyszukany towarem w butikach i spektakularnymi przecenami. Dla większości Francuzek najważniejszym wydarzeniem w ciągu roku nie są wcale narodowe święta, tylko paryski tydzień mody, prezentujący nowe trendy na następny sezon.

Wtedy to do Paryża ze wszystkich stron zjeżdżają kobiety światowej sławy, próbując choć przez tydzień poczuć się

jak prawdziwa Francuzka. Podczas gdy Amerykanki i Brytyjki często ubierają się w odzież masowej produkcji, Francuzki stawiają na jakość. Tamtejszy rynek mody stworzył wiele marek o pośrednim standardzie dla mniej zamożnych obywaterek, które jednak, tak jak ich majątne rodaczki, zwracają uwagę na wysublimowany gatunek odzieży. Marki takie jak Heimstone, Brand Bazar, czy Zadig El Voltaire dostępne są tylko we Francji, ale już dziś zdobywają swoją popularność na internetowych aukcjach w całej Europie.

Pomimo, iż jedno z francuskich przysłów mówi, że kobiecie „wystarczy trzy razy powiedzieć, że jest ładna, aby za pierwszym razem podziękowała, uwierzyła za drugim, a wynagrodziła za trzecim”, zdobycie względów kobiety w tym wyrafinowanym kraju nie jest takie proste. Wrodzony snobizm i burżuazyjny styl sprawiają, iż francuskie kobiety cenią sobie nie tylko stroje uszyte ze znakomych materiałów, ale też prawdziwe perły i perfumy. Niestety, idący na randkę z Francuzką mężczyzna powinien być przygotowany na wizytę w modnej restauracji i zakup prawdziwego szampana.

I BÓG STWORZYŁ KOBIETĘ

Ślub prezydenta Nicolasa Sarkozy'ego z dużo młodszą modelką Carlą Bruni, poruszył przede wszystkim tradycjonalistki z południa Francji, które integrowały się w cierpieniu z jego byłą żoną. Mimo, że mąż stanu oficjalnie postawił na „piękno młodości”, gusta francuskich mężczyzn pozwalają kobietom na wyjątkowo długie poczucie własnej atrakcyjności. We Francji bowiem nie tylko dojrzałe wina są szczególnie doceniane. Urodziwa kobieta po 35. roku życia, przechadzająca się po francuskich ulicach, wzbudzi podziw niejednego mężczyzny. W kraju tym niezmiennie wielbione są dojrzałe ikony francuskiego kina, takie jak: Isabelle Adjani, Emmanuelle Beart i Juliette Binoche, które nadal mają rzesze swoich fanów, tak samo jak ich młodsze koleżanki po fachu. Słynąca z nieskazitelnego piękna, najpopularniejsza francuska kobieta Brigitte Bardot, nigdy nie przejmowała się kolejnymi zmarszczkami na swojej twarzy. „Dawno temu swoją młodość i urodę oddałam mężczyznom. Teraz to, co we mnie najlepsze, to mądrość i doświadczenie” – powiedziała sędziwa Bardot. W 2004 roku został przeprowadzony sondaż, według którego tylko 15 procent Francuzek po pięćdziesiątce i 27 procent kobiet po sześćdziesiątce nie uprawiało seksu w ciągu ostatnich 12 miesięcy.



Francja to pierwszy kraj europejski, w którym doszło do emancypacji kobiet. To tutaj w 1863 r. po raz pierwszy pozwolono kobietom na edukację uniwersytecką. W 1906 r. Maria Skłodowska-Curie, jako pierwsza kobieta, mogła wykładać na paryskim uniwersytecie Sorbona. Współczesne francuskie kobiety z pewnością częściej opowiedziałyby się za zasadami moralnymi Nany ze słynnej powieści Emila Zoli, niż za wzorowym zachowaniem Dziewicy Orleańskiej. Kontrowersyjne Francuzki, które niejednokrotnie budzą niepokój w konserwatywnych mężczyznach na całym świecie, nadal stanowią ogromną sferę ich najśmielszych fantazji. ○

AGNIESZKA BARTUSIAK:



Z wykształcenia jest filologiem polskim i dziennikarką. Współpracuje z wieloma redakcjami. Jest modelką reprezentującą największe światowe agencje.

Wiosenny trekking

Wybierając się wiosną w góry czy nawet do lasu na dłuższy spacer musimy pamiętać, że aura jest jeszcze bardzo zmienna. W zacienionych miejscach z pewnością leży jeszcze śnieg a podmuchy wiatru nie raz przypomną nam o zimie. Bądźmy na to wszystko przygotowani. Ponadto wiosna to również dobry czas na przetestowanie różnego rodzaju sprzętu przed wakacyjnymi wyprawami. Warto zatem sprawdzić nasze nowe akcesoria w terenie.

THE NORTH FACE APEX TREKKING PANT

Lekkie i łatwe w pakowaniu spodnie, wykonane z „odychającego” materiału Apex Universal z wodoodpornym wykończeniem. Zapewniają również dobrą ochronę przed wiatrem. Elastyczny pas z regulacją z przodu i miękkie wykończenie wokół bioder zapewniają komfort w czasie długich dni spędzonych na szlaku. Regulacja brzegów nogawek zapewnia lepszą ochronę przed błotem i wiatrem, a zamki na wysokości kostek ułatwiają zakładanie spodni.



Cena: 499 zł
www.thenorthface.com



Cena: 545 zł
www.buffalosystems.pl

BUFFALO SP6

Marka Buffalo powszechnie uważana jest za prekursora Soft Shell'u na świecie. To zatem idealny wybór dla profesjonalistów działających w trudnych warunkach atmosferycznych. Dzięki odporności na deszcz i wysokiej oddychalności utrzymuje użytkownika w komforcie termicznym niezależnie od temperatury. Oprócz odporności na wiatr jest wyjątkowo lekka oraz bardzo odporna na ścieranie, dlatego jest stosowana przez wyspecjalizowanych turystów i jednostki specjalne (m.in. ratownicze, czy militarne).

SIGG ABT (ACTIVE BOTTLE TOP)

Kolejna propozycja szwajcarskiej firmy Sigg. Szczelna, lekka i wytrzymała butelka, gwarantująca znakomite warunki przechowywania napojów, zachowując ich pierwotny smak. Jest higieniczna, łatwa do mycia, również w zmywarce. Butelka jest wolna od ftalanów i BPA (bisfenol A). Dostępne są również izolujące pokrowce z neoprenu i nylonu. Pojemność 0,6 L.



Cena: 58,80 zł
www.sklepsigg.pl

LAFUMA BELLANO

Damskie buty wykonane są ze skóry licowej. Idealne na piesze wycieczki w wilgotnych warunkach. Wodoodporne i oddychające. Język z pianki gwarantuje wygodę oraz chroni przed dostawaniem się wody i śniegu do środka. Górna cholewka buta od wewnątrz wykonana ze skóry, środek z oddychającej tkaniny. Wyjmowana, oddychająca wkładka EVA. Śródpodeszwa EVA z systemem amortyzującym wstrząsy. Podeszwa Vibram Revolution.



Cena: 519 zł
www.lafuma.com.pl



Cena: 65 zł
www.t-reignoutdoor.com

RETRAKTOR T-REIGN

Do tej pory retraktory kojarzyły nam się wyłącznie z prostymi i zawodnymi rolkami do identyfikatorów lub skipass'ów. Jednak retraktory firmy West Cost Co. zmieniły ten obraz. Wyposażone są w linki kevlarowe i wysokiej jakości stalowe mechanizmy, które zapewniają bezawaryjną pracę. Mocując retraktor np. do plecaka, możemy podwiesić na nim praktycznie dowolny sprzęt turystyczny. Latarka, szczyrzyk, nawigacja GPS będą zawsze pod ręką, a upuszczenie nie będzie skutkowało ich zniszczeniem lub zagubieniem.

DEUTER RISE 32+

Typowy plecak alpinistyczny i skitourowy o wąskim kształcie, pozwalającym na używanie go w ekstremalnych warunkach. Posiada wahadłowy pas biodrowy, który można zupełnie zdemontować. Po obu bokach plecaka umieszczono kieszenie jedną zapinaną na suwak, drugą otwartą wykonaną ze stretchu. Pojemność plecaka można zwiększyć poprzez wysunięcie komina o dodatkowe 10 litrów, w klapie od zewnątrz i wewnątrz znajdują się kieszenie zapinane na suwak.



Cena: 439 zł
www.bakosport.com.pl



Cena: 139 zł
www.milo.pl

MILO YON

To nowa przewiewna koszula trekkingowa gwarantująca najwyższy komfort podczas letnich wypadów za miasto. Wykonana jest z szybko schnącej, elastycznej tkaniny wykorzystującej antybakteryjne zalety włókien bambusowych. Dzięki temu znakomicie oddycha i transportuje wilgoć, a także jest miła w dotyku i nie przejmuje temperatury otoczenia.

NIKON D7000

To doskonała propozycja dla wszystkich fotografujących, którzy chcieliby rozwinąć swoją pasję i poszukują zaawansowanego aparatu, z dużym potencjałem twórczym. Model został wyposażony m.in. w nową matrycę CMOS formatu DX o rozdzielczość 16,2 mpix, szeroki zakres czułości od 100 do 6400 ISO oraz nowy, szybki i precyzyjny moduł autofokusa z 39 polami ostrości. Rozwiązanie to gwarantuje uzyskanie wyrazistych zdjęć, niemal w każdej sytuacji. Lustrzanka oferuje ponadto funkcję nagrywania filmów w rozdzielczości Full-HD. A wszystko to w solidnym i ergonomicznym korpusie.



Cena body: 4 439 zł
 Cena z obiektywem
 AF-S DX 18-105mm: 5 239 zł.
www.nikon.pl

SERCE W ŁATY

Tekst i zdjęcia: **Grzegorz Kapla**

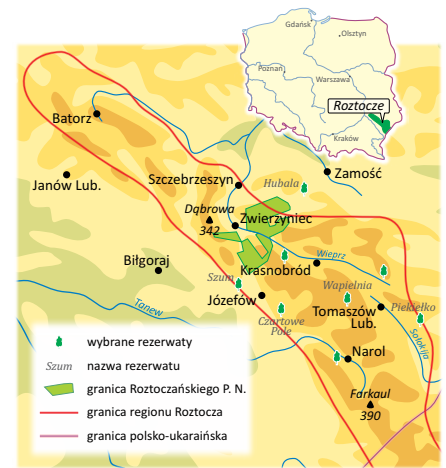
Roztocze. Płachetki pół długie, wąskie, przekładane miedziami tłustymi jak węgorze. Zapomniane chałupy z grubych bali malowanych na niebiesko lub zielono. Pierzyny na płotach i mgły poranne, złote jak aureole. Lasy mroczne i wielkie, pełne trzęsawisk i ruin zapomnianych przez ludzi, ale nie przez Boga. Siedzi on sobie w powstańczych kapliczkach niczym w dziupli. Przecież jest u siebie.





A to Polska właśnie | Roztocze

To wielka kraina. Ciągnie się od Wisły i Sanu aż po sam Lwów. Usypana z miękkich lessowych piachów, łatwo uległa naporowi czasu. Pomarszczyły ją wąwozy i pocięły meandry rzek: na południową stronę splywa Tanew, na północną Wieprz a środkiem ciągną się lasy, pośród których przed wiekami wznosił się Czerwień.



**DŁUGO, WĄSKO,
WIOSENIE**
Płachetki pól tu
długie, wąskie,
przekładane
miedzami tłustymi
jak węgorze.
Już po zimie!

To legendarna stolica sławnych Grodów Czerwieńskich, bogacących się na wyrobieniu purpury z czerwii, gnieźdzących się w tutejszych borach. Po barwnik z owadzich larw ciągnęli kupcy z Europy, Persji, a nawet Indii. Jeszcze dziś oracze z Guciowa wyciągają spod lemieszki kawałki mieczy i skorupy glinianych naczyń.

Tajemnicze artefakty można podziwiać w prywatnym guciowskim muzeum Staszka Jachymka – obok skamielin dinozaurów, geologicznych skarbów i pamiątek po Zamoyskiej ordynacji. Ogrom tu śladów po Zamoyskich, bo Roztocze

było perłą w koronie ich państwa w państwie, które przetrwało od założenia w 1590 roku aż do 6 września roku 1944, kiedy to rozparcelowali je komuniści.

Miłośnicy Roztocza tę krainę – łaciatą od pól, co wiosną malowane są we wszystkich odcieniach zieleni, a latem żółte od pszenicy – lubią za spotkania z ludźmi, za błękit nieba, za tę drogę co plecie się przez Godziszów i Otrocz do Turobina – niczym opowieść sprzed wieku. Tylko patrzeć, jak z łańka wyjdą Żydzi w długich chałatach, rozmodleni – bo to przecież szabas...

Nie wyjdą. Kiedyś kościół i synagoga stały obok siebie. Katolicy i Żydzi razem poszli do listopadowego powstania. Tym, co przeżyli, car odebrał majątki. Miastom – prawa miejskie. W roku 1942 hitlerowcy urządzili tutaj getto. Wzięli ludzi z całego Roztocza, zanim pomordowali ich w Bełżcu. Dziś pozostała już tylko pamięć. Dolegliwa – jak ból w amputowanej dawno ręce.

CO ĆMIŁ WIESZCZ?

Bramą do Roztocza jest Sandomierz. Miasto trzeba odwiedzić o świcie, zanim wygrzebią się z łóżek autokarowi wycieczkowicze. Pospacerować pośród porannych, długich cieni: od klasztoru benedyktynek przez Bramę Opatowską, kościół św. Ducha – aż do rynku. Obejrzyć kamienice Oleśnickich, Gomulki czy „Pod Ciżemką”. No i najpiękniejszy w Polsce renesansowy ratusz... Kazimierz Wielki lubił to miasto ze względu na „napitki, wesołe duchowieństwo, piękność kobiet, obfitość zwierza w lasach i najlepsze orzechy Europy”. Orzechy przywiózł z Italii św. Jacek i zasadził w Sandomierzu.

Legenda mówiła o tym, że rosły tak duże, iż w ich skorupce mieściły się skórzane rękawiczki królowej Jadwigi. Aż wreszcie odnaleziono je w skarbcach biskupich. I rzeczywiście – mieszczą się! Można się o tym przekonać w muzeum w Domu Długosza. Skarbów tam więcej: jest bezcenny krzyż, który Jagiełło uważał za najważniejsze trofeum, jakie zdobył pod Grunwaldem, są włosy Napoleona w puzderku i fajka, w której Mickiewicz palił jakieś indyjskie świństwo. Jest też cudowny obraz z Trzema Świętymi Niewiastami...

W katedrze – ciąg dalszy przygody, bo kryje ona malowidła z dziejów Sandomierza. Widać na nich okrutne rzeźby męczenników i przedstawione z dużym realizmem bitwy toczące się pod murami miasta.

JANÓW PO WĘGLARZACH

Z Sandomierza do Zwierzynica – samego serca Roztoczańskiego Parku Narodowego – najlepiej ruszyć przez Stalową Wolę i Janów Lubelski. W zachodniej części Stalowej Woli, niegdyś osobnej wsi – Rozwadowie, można zwiedzić klasztor franciszkański zbudowany w stylu tokańskim. Kapucynów sprowadził na swoje włości książę Jerzy Lubomirski, pochowany w tutejszej krypcie.

W Janowie Lubelskim przekraczamy granice Ordynacji. Miasteczko na miejscu puszczańskich osady węglarzy wybudowali, za zgodą króla, Za-



moyscy. Otrzymało herb z Matką Boską i nazwę od imienia Jana Sobiepana Zamoyskiego. Ma wielki las tuż za progiem. To w lasach janowskich toczyły się największe partyzanckie boje w czasie ostatniej wojny.

ŚWIĘTY ANTONI I 600 GARŃCÓW JAJ SZARAŃCZY

Przed wiekami, jak powiadają, mieszkał pod Łysą Górą diabeł. Może to za jego przyczyną przewalały się przez ten kraj wojny i zarazy. Aż do 8 maja 1664 r. kiedy to Szymonowi Tkaczowi objawił się

TU BIJE SERCE

Jeśli Zwierzyniec jest dziś stolicą Roztocza, to jego serce bije w Guciowie. Strzecha, drewniane ściany i płot z patyków... Oaza poetów.

św. Antoni. Nakazał post i pokutę. Nie uwierzyli Szymonowi sąsiedzi. Nie uwierzyli mu duchowni. Ale św. Antoni postanowił temu zaradzić. Ukazał się raz jeszcze i pobłogosławił źródło tak, że od-tąd woda jego stała się leczniczą. Od tego dnia – po dziś dzień ciągną tutaj wierni w najcięższych cierpieniach. Jeśli mają dość wiary, znajdują ulgę i uzdrowienie.

W 1667 roku bernardyni wybudowali na Łysej Górze klasztor. W kościele wymalowana jest historia objawień na XVII-wiecznych freskach. Legenda głosi, że diabeł odszedł stąd i zamieszkał pod mostem na Mokrelipiu. Kto przez most przechodził, to go upiór straszył, a czasem i na śmierć zadusił. Postawili więc ludzie krzyż drewniany, przy którym modlił się każdy kondukt żałobników. Od tej pory diabeł topi w rzece już tylko niewierzących.

MROCZNE WSPOMNIENIE

Pałac Zamoyskich w Łabuniach. Należał przed wojną do hrabiego Aleksandra Szeptyckiego. W 1941 r. Niemcy kazali starymu hrabiemu biegać wokół pałacu tak długo, aż zmarł z wyczerpania.

STRZAŁA W SERCU KRÓLA

Z Mokrelipia blisko do Szczepieszyna. Każdy słyszał o tym, że brzmi tu w trzcinie chrząszcz, ale pomnik szczepieszynski, jako żywo, bardziej przypomina świerszcza. Prawdziwy urok ma w sobie tutejszy rynek. W jednym rogu stoi ratusz, w drugim synagoga, obok niej cerkiew, a i kościół nieopodal. Jakby całą historię tych ziem chciał ktoś

zamknąć w jednej metaforze. Szkoda tylko, że nie ma już drzew w rynku.

Coś musi być w tej historii, bo w pobliskim Zwierzyńcu stoi kolejny pomnik ku czci robactwa. Pod lasem, nieopodal browaru, leży kamień z inskrypcją przypominającą, iż 27 sierpnia 1711 roku miasto padło ofiarą szarańczy. Zebrano ponad 650 korców żywego owada, a z ziemi wykopano 600 garnców szarańczy jaj. Przy takiej liczbie świerszczy Szczepieszyn musi się schować i to Zwierzyniec jest roztockańską stolicą.

Miasteczko powstało z ostoi myśliwskiej, którą Jan Zamoyski założył tylko po to, żeby podejmować tu gościńcą koronowane głowy. Bywali tu Michał Korybut Wiśniowiecki, Władysław IV, Jan Kazimierz i oczywiście Jan III Sobieski – co to przyjechał ustrzelić tura, ale sam został trafiony strzałą.

A nie była to zwyczajna strzała. Bo właśnie tutaj przyszedł pogromca Turków, wybawiciel Europy i Kościoła od pierwszego wejrzenia zakochał się w Marii Zamoyskiej, zwanej Marysienką. Nie wiadomo, gdzie szeptali sobie czule słówka, bo sławny, romantyczny biały kościółek na wodzie wybudowano dopiero w 1741 roku. Ufundował go, jako wotum, Tomasz Antoni Zamoyski – w podziękowanie św. Janowi Nepomucenowi, u którego wymodlił szczęśliwe narodziny syna. Jako że Nepomucen jest patronem tonących i wodniaków, kościółek musiał być na wodzie. I rychło zasłynął pośród rodaków, ufających, że modlitwa w jego cieniu sprawi, iż urodzi się im syn, zamiast córki.

GUCIOWSKIE SZUMY

Przedziwny, mroczny, niemal nietknięty ludzką ręką roztockański las, zaczyna się za wschodnimi rogatkami Zwierzyńca. Trzeba jechać wolno, bo Roztockański Park Narodowy słynie z obfitości płazów i choć zrobiono dla nich przepusty pod jezdnią, to zawsze jakaś traszka, zaskroniec, padalec czy żaba wylezie na drogę. Stawy kazał kopać ordynat Zamoyski, żeby zwierzyna miała łatwe dojście do wodopoju, a panowie szlachta miejsce do spacerowania z fuzją czy sztucerem. Teraz wokół jeziora galopują włochate koniki polskie. Wypuszczone na wolność, ale pod czujnym okiem strażników parku.

Jeśli Zwierzyniec jest dziś stolicą Roztocza, to jego serce bije w Guciowie. Anna i Stanisław Jachymkowie – poeci, co umiłowali tę krainę – wybrali to miejsce na swoją siedzibę. Zbudowali „Zagrodę Guciów”, w której gromadzą przykłady drewnianego budownictwa z regionu. Prowadzą też muzeum, pensjonat i regionalną restaurację



**W CZASIE
I PRZESTRZENI**

Nieważne: asfaltowe,
czy szutrowe –
roztoczańskie,
pochowane po parowach
drogi – przecinają czas
i przestrzeń.





SZUMY NA TANWI

Wiosna lubi ten zakątek – dlatego przychodzi wcześniej i zostaje, jak tylko długo się da.

z prawdziwymi staropolskimi specjałami. Można tu popробować najlepszego na świecie zsiadłego mleka i bigosu na dziczyźnie.

Warto tu zostać dłużej. Posiedzieć przy ogniu, albo przy drodze pogadać z miejscowymi mężczyznami, co wydają się zdrewniali niczym tolkienowskie Enty... Ich kobiety także odeszły kiedyś do innego życia – do miast, sklepów, do światła innych niż gwiazdy. Zostali sami faceci. Palą papierosy, tęsknią, sięją, orzą i potrafią robić rzeczy, jakie w innych miejscach Polski już zapomniano: świnię oprawią, nagotują świeżyny. Błędym świtem trzeba powędrować pośród podmokłych nadwieprzańskich łąk w poszukiwaniu bobra. Można go wypatrzeć zwłaszcza o tej porze, kiedy słońce mocuje się z mgłami.

ZATOPIONY DZWON

Droga wzdłuż rzeki wiedzie do Krasnobrodu, bajecznie położonego w samym środku Parku Krajobrazowego. Nie byłoby ślubu Jana Sobieskiego z Marysienką, on nie zostałby królem i nie ocalił Wiednia i Europy przed tureckim potopem, gdyby nie źródło w Krasnobrodzie. Ponoć w 1680 roku Marysienka była już chora śmiertelnie, kiedy wspomniła na cudowne uzdrowienia za sprawą Matki Boskiej Krasnobrodzkiej. Pomogło.

Od uzdrowienia Marysienki Sobieskiej sława krasnobrodzkich cudów zaczęła przyciągać pielgrzymów z całej Europy. Królowa zbudowała nad cudownym źródłem kaplicę z figurą. Figura została ponoć porąbana szablami i spalona przez kozaków Chmielnickiego, ale już rok później w cudowny sposób powróciła z zaświatów! Wtedy dopiero nawrócili się mieszkańcy Krasnobrodu, bo pod szwedzkim naporem wszyscy przechrzcili się na kalwinizm. W dniu, kiedy to się stało ich własny kościół zapadł się w bagnie. Kiedy wróciła święta figura, myśleli, że i kościół wróci. Ale nie. Topielisko zamknęło się nad nim na wieki. Czasem tylko, o zmroku, słychać spod ziemi uderzenia dzwonu.

Takich cudów kryje się po lasach więcej. W sercu Puszczy Solskiej, w Górecku nad Szumem szukali schronienia Polacy uciekający przed gniewem Chmielnickiego. Już, już kozacy mieli rozsiekać ich szablami, kiedy drogę zastąpił im św. Stanisław. Na pamiątkę wybudowali prostą kaplicę pod dębami. A kiedy ordynat Marcin Zamojski stanął pod Chocimem – do tegoż świętego modlił się o zwycięstwo, obiecując, że w zamian wystawi mu kościół. I wystawił. W pięknym miejscu. Po jednej stronie pagórki Roztocza, po drugiej równa jak nożem uciąć bezkresna ściana Puszczy Solskiej. Najlepiej widać ją z Góry Krzyżowej w pobliskiej Tarnowoli. Wspinaczka na szczyt trwa 25 minut, a widok spod krzyża uchodzi za najlepszy w regionie.

Po zejściu z góry warto skrócić na Czartowe Pole. Rezerwat obejmuje mroczny, ponury las przełomowego odcinka Sopotu (rzeki Sopot!) – aż do ruin XVIII-wiecznej papierni Lewka Sędrowicza, sławnej z czerpanego papieru a powa-

HEJ TAM, NA WYBORY!

Hetman Jan Zamojski. Tradycja przypisuje właśnie jemu pomysł wyboru króla przez szlachtę.

TYŁEM DO STOLICY

Z 52-metrowej wieży zamojskiego ratusza hejnał grany jest tylko na trzy strony, bo Jan Zamoyski nie popierał polityki króla i zakazał grać w kierunku Krakowa.





NA ZAMOJSKIM RYNKU

Parasole w ogródku piwnym równie piękne jak na rynku w Krakowie, ale kamieniczki barwniejsze.

BARWY I DETALE

Madonna na smoku – detal z elewacji jednej z kamieniczek w rynku Zamościa.



lonej przez nagłą powódź. Niegdyś obok papierni stała karczma, w której okoliczni chłopcy przepijali ostatnie grosze – aż do dnia, gdy ich żony dały na mszę, żeby to ukrócić. Z nieba spadł piorun i karczmę spalił. Od tej pory nad rzeką spotykać się zaczęły diabły i strzygi. Jeśli kto nocą tam zabłądził – musiał im grać na skrzypkach do świtu.

Nie mniej malownicze są unikatowe progi rzeczne (szumy) na Tanwi, w miejscowości Huta. Rzeka o ciemnopomarańczowej wodzie, spływa po wyraźnych skalnych progach, długą serią malowniczych kaskad.

KRWAWE DZIEJE

Na wschód od Huty leży Narol. Jeden z najwspanialszych roztoczańskich pałaców, siedziba hrabiowskiego rodu Łosiów – stanął w miejscu, gdzie Jan III Sobieski rozgromił turecki zagon, uwalniając z jasyru dwa tysiące polskich kobiet. Ich mężowie i synowie dali gardło w pogromie, jaki urządził Chmielnicki.

Samuel Łaszcz, który jeńców próbował wykupić – sam pierwszy gardło położył na wzgórze

zwanym od tamtej pory Krwawicą. Jeszcze dziś po wielkich nawałnicach woda płynie stamtąd czerwona. Minęło kilka stuleci, a los się powtórzył. W Bełzcu koło Narola hitlerowcy zamordowali sześćset tysięcy Żydów i Polaków schwytych za pomoc Żydom. Nie doczekali ocalenia. Dziś niemiecki obóz zagłady zamieniono w gigantyczne mauzoleum.

Z Bełzca kierujemy się w stronę Zamościa. W Łabuniach już z oddali po prawej stronie na wzgórzu wyłania się biały jak śnieg pałac wybudowany przez Jana Jakuba Zamoyskiego. W ubiegłym stuleciu jego właścicielem został Aleksander Szeptycki, który podarował pałac siostrom misjonarkom miłosierdzia. W 1941 Niemcy kazali staremu hrabiemu biegać wokół placu tak długo, aż zmarł z wyczerpania...

MIASTO – CZŁOWIEK

Zamość to stolica państwa stworzonego przez Zamoyskich. Hetman Jan Zamoyski był człowiekiem niezwykłym. Wojownik, mecenas sztuki, wizjoner, co nie zadowoliłby się jedynie pałacem. Wymyślił więc sobie idealne miasto – twierdzą. Zbudował je z architektem Bernardem Morando, wedle renesansowych prawideł. Dopiero car nakazał wysadzić w powietrze część umocnień, które przetrwały nawet Potop.

Szwedzi nie zdobyli jedynie Gdańska, Jasnej Góry i właśnie Zamościa. Strzegł go cudowny obraz namalowany w celi więziennej przez chłopaka, co miał umrzeć, oskarżony fałszywie. Namalował

Madonnę nocą, na więziennych drzwiach. Raniem bił od niej blask taki, że nikt już nie wątpił, iż stał się cud. Chłopak ocalał. Madonna opiekuje się miastem. Obraz można zobaczyć w zamojskiej kolegiacie.

Miasto ma kształt człowieka: głową jest pałac, sercem ratusz, kręgosłupem – ulica Grodzka. Trzy rynki na znak świętej Trójcy, ulice szerokie i proste, a każda tworzy oś widokową. Zamykają je katedra, pomnik Jana Zamoyskiego który niedawno stanął przed pałacem, albo dostojny ratusz, który przemyślnie łamie idealną symetrię rynku. Nigdy potem w Polsce nie powstało doskonalsze założenie urbanistyczne. Nigdy później nie wymyślono miasta z akademią kształcąca kadry dla Ordynacji, katedrą, cerkwią, kościołem ormiańskim i synagogą – dla podkreślenia zasady tolerancji. Czy może dziwić, że Zamość ma najpiękniejszy w kraju rynek z pełnymi arkadami, najstarszą aptekę, Joannę Żubr, pierwszą kobietę odznaczoną *Virtuti Militari*? Na rynku znajdziecie tablicę upamiętniającą miejsce, w którym Mszy wysłuchał Naczelnik Piłsudski, w katedrze – tablicę w miejscu gdzie klęczał Jan Paweł II. Św. Tomasz w herbie miasta ma u stóp tarczę z trzema kopiami. Są one herbem Zamoyskich. Otrzymali go od Władysława Łokietka, kiedy Florian Zamoyski zasłonił króla własnym ciałem, biorąc na siebie trzy krzyżackie kopie. Rozplątały mu brzuch a on walczył dalej, podtrzymując jelita lewą ręką.

Roztocze jest trochę, jak Florian: nie skarży się, nie poddaje i jak Hetman wierzy, że jest piękniejsze niż Kraków. Na zamojskim rynku łatwo złapać się na myśli, że jest to możliwe... ○

PASY, ŁATY

– GRUNT, ŻE PIĘKNE

Mówią: kraina w łaty, krajobrazy w pasy... Wystarczy spojrzeć na panoramę Roztocza z Góry Krzyżowej ponad Tarnowolą.



JESTEM NIEODKRYTA

To nieprawda co o mnie mówią. Dla poszukiwaczy, którzy potrafią patrzeć uważnie, wciąż mam wiele sekretów. Czekam, odkryj mnie na nowo. Ameryka.

Akademia Nikoną zaprasza już w maju na fotoekspedycję do USA. Naszym przewodnikiem będzie uznany fotograf Tomasz Tomaszewski. Las Vegas i parki narodowe... jest tak wiele do odkrycia. Zapraszamy.

Szczegóły na www.akademianikona.pl



AKADEMIA NIKONA





Rózgi plotą

Wierzba jest symbolem odrodzenia, przebudzenia z zimowego snu, zmartwychwstania. Wierzbowe gałązki pełniły niejedną funkcję w celebrowaniu wielkanocnych zwyczajów. W Niedzielę Palmową (zwaną też Wierzbną, czy Różdżkową) robiono z nich „palmy” i święcono je w kościele, dzięki czemu zyskiwały moc odstraszenia zła. Postawione w oknie, miały chronić przed burzą, wetknięte w ziemię na polu zapobiegały niszczeniu plonów. Poświęcone bazie jedzono, by ustrzec się przed różnymi chorobami. Zaś w wielkanocny poniedziałek, witki zaplatano w różgi, którymi smagano na szczęście dorosłych, dzieci i zwierzęta.



Poznaj Świat

Redaktor naczelny:
Janusz Czerwiński

Zespół i współpracownicy:
Wojciech Albiński, Marek Arcimowicz,
Ryszard Bądowski, Olgierd Budrewicz,
Marek Kamiński, Dorota Kobierowska
(honorowy sekretarz redakcji), Robert Mazurek,
Beata Pawlikowska, Dariusz Rosiak,
Wojciech Walczuk, Monika Witkowska,
Beata Wojciechowska (mapy)

Adres redakcji:
Kowale, ul. Glazurowa 7, 80-180 Gdańsk
e-mail: redakcja@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 980, 535 444 990
www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo:
PROBIER
spółka z ograniczoną odpowiedzialnością sp.k.
Kowale, ul. Glazurowa 7
80-180 Gdańsk
KONTO DLA PRENUMERATORÓW:
02 1140 1065 0000 2155 8200 1004

Produkcja, Prepress i Internet:
Krzysztof Urbański
krzysztof.urbanski@poznaj-swiat.pl

Koordinator ds. wydawniczych:
Katarzyna Rojek
e-mail: katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl

Druk:
RR DONNELLY Europe Sp. z o.o.

Dystrybucja:
TM Media Mirosław Tański

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Zastrzega sobie prawo do zmian tytułów
i opracowania redakcyjnego tekstów.

Reklama:
Aleksandra Harasimiuk
e-mail:
ola.harasimiuk@poznaj-swiat.pl
tel. 664 115 333
Olga Kołakowska
e-mail:
olga.kolakowska@poznaj-swiat.pl
tel. 501 050 624
Grzegorz Miedziński
e-mail:
grzegorz.miedzinski@poznaj-swiat.pl
tel. 501 641 706

Etiopia

13 MIESIĘCY SŁOŃCA W ROKU



www.DiversityToursEthiopia.com

DIVERSITY TOURS ETHIOPIA: Tel. +251-11-6612009 • Fax: +251-11-6612017 • Mob. +251-91-1615794

*Kto wynalazł
i po raz pierwszy
wyprodukował
karrimat?*

*Kto wynalazł i po raz pierwszy
zastosował system zmiennej
regulacji plecaka w marszu?*

**Kto pierwszy spośród firm
outdoorowych wyprodukował
lekkie buty trekkingowe?**

KTO...?

karrimor

LEGENDA W ZASIĘGU RĘKI

www.karrimor.com

Internetowy sklep firmowy: www.sklep.paker.pl

Więcej informacji i lista sklepów: www.paker.pl

INFOLINIA: 22-631-82-01



DYSTRYBUCJA W POLSCE

Granger's
ORIGINAL PERFORMANCE RESTORED

www.grangers.pl



**Kto zaimpregnował sprzęt
pierwszych zdobywców
Mt. Everestu?**

Produkty firmy Granger's czyszczą, poprawiają wodoodporność, oddychalność i hydrofobowość oraz walory estetyczne odzieży, butów, namiotów, plecaków już od ponad 70 lat!